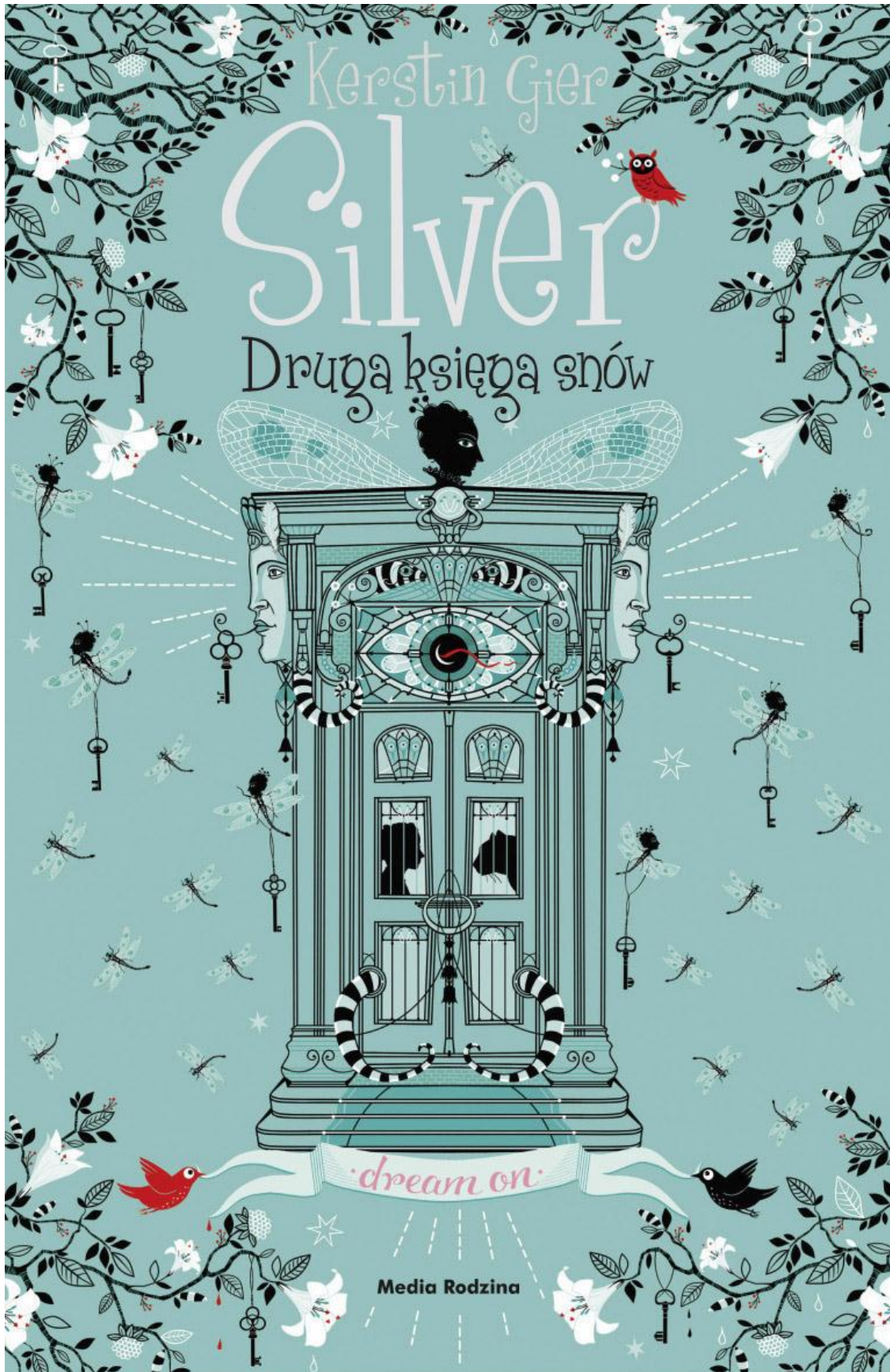


Kerstin Gier

Silver

Druga księga snów



dream on

Media Rodzina



Kerstin Gier

Silver

Druga księga snów



Tłumaczyła

AGNIESZKA HOFMANN



Media Rodzina

Spis treści

1. 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26
27 28 29 30 31 Tej samej nocy... Załącznik Reguły snienia Całoroczne
waniliowe rogaliki pocieszenia Lottie Spis osób: Witajcie, wszyscy
Śniący!

Tytuł oryginału
SILBER. DAS ZWEITE BUCH DER TRÄUME

Originally published as: Silber. Das zweite Buch der Träume
Copyright © S. Fischer Verlag GmbH, Frankfurt am Main 2014
Cover illustration by Eva Davidov-Schöffmann © Fischer Verlag
GmbH, Frankfurt am Main, 2016
Copyright © 2016 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.
All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydawca dziękuje Ewie Chotomskiej, autorce tekstu piosenki Myj zęby, za zgodę na wykorzystanie fragmentów utworu. W książce wykorzystano fragment utworu Marii Konopnickiej Zła zima.

ISBN 978-83-8008-264-9

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 60
mediarodzina@mediarodzina.pl
www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

Dla Leonie. Jestem z Ciebie taka dumna.



1.

Charles nie utrudniał mi zbytnio sprawy i dość szybko znalazłam jego drzwi: widniało na nich jego naturalnych rozmiarów zdjęcie. Uśmiechał się z niego szeroko, ubrany w śnieżnobiały fartuch z wyszytym na kieszonce napisem „Lek. stom. dr Charles Spencer”. Pod nim znajdowało się hasło: „Najlepsze dla twoich zębów”.

Nie spodziewałam się jednak, że fotografia zacznie śpiewać, kiedy dotknę klamki.

„Bo wiem dobrze ooo tyym, kto ich nie myyyje, ten ma kłopoooty”, pobekiwał ile sił w płucach przyjemnym tenorem Charles. Z przestraczem rozejrzałam się po korytarzu. Dobry Boże, nie dałoby się trochę ciszej? Już i tak cały czas miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, choć oprócz mnie i podobizny Charlesa nie było tu żywej duszy: jak okiem sięgnąć tylko drzwi. Moje własne znajdowały się tuż za rogiem. W gruncie rzeczy niczego nie pragnęłam bardziej, jak pognać z powrotem i przerwać tę całą akcję. Miałam wręcz zabójcze wyrzuty sumienia. To, co zamierałam zrobić, było gorsze niż czytanie czyjegoś sekretne pamiętnika. W dodatku musiałam dopuścić się kradzieży, chociaż można się było spierać, czy to naprawdę stanowiło czyn aż tak

niemoralny. Pod względem prawnym była to oczywiście kradzież, ale w futrzanej czapce typu uszanka, którą podprowadziłam Charlesowi, i tak mało komu było do twarzy. Prawie każdy wyglądał w czymś takim jak przymulona owca i Charles nie stanowił wyjątku, więc prawdę mówiąc, oddałam mu swym uczynkiem przysługę. Miałam nadzieję, że nikt nie wejdzie do mojego pokoju i nie zobaczy mnie, jak leżę w łóżku w tej kretyńskiej czapce. Właśnie to robiłam bowiem w rzeczywistości: leżałam w łóżku i spałam. Z kradzioną uszanką na głowie. Tyle tylko, że nie śniłam o niczym przyjemnym, a szpiegowałam. We śnie. Kogoś, kto być może właśnie zamierzał złamać serce Lottie (specjalistce od zwariowanych plecionych fryzur, wypiekaczce ciasteczek, psiej szamance i najlepszej pocieszycielce dziewczęcych dusz wszech czasów). A ponieważ nie było na świecie nikogo o równie łagodnym sercu jak Lottie (która oficjalnie była również naszą nianią), nie mogłam do tego dopuścić. Miałam nadzieję, że w tym przypadku cel uświęcał środki. Prawda?

Westchnęłam. Dlaczego wszystko musiało być zawsze tak strasznie skomplikowane?

– Nie robię tego dla siebie, tylko dla Lottie – powiedziałam półgłosem i jedynie na wypadek, gdybym miała jakiegoś niewidzialnego słuchacza, po czym wzięłam głęboki wdech i nacisnęłam klamkę.

– No, no, tylko bez machlojek! – Charles ze zdjęcia pogroził mi palcem wskazującym i podjął piosenkę: Szczotka, pasta, kubek, ciepła woda, tak się zaczyna wielka...?

– Yyy... przygoda? – wyszeptałam zbита z tropu.

– Zgadza się! Choć brzmi ładniej, gdy się to śpiewa. – Drzwi się uchylily, a Charles radośnie wyśpiewywał dalej: – Bo to bardzo ważna rzecz, żeby zdrowe zęby mieć!

– Doprawdy nie pojmuję, co Lottie w tobie widzi – mruknęłam i wśliznęłam się do środka, nie omieszkawszy uprzednio rzucić okiem przez ramię. Wciąż nikogo.

Za drzwiami na szczęście nie czekał na mnie gabinet dentystyczny, lecz słoneczne pole golfowe. Oraz Charles w kraciastych spodniach, wymachujący kijem golfowym, tym razem w trójwymiarze. Poczułam wielką ulgę, że nie wparowałam do snu z gatunku pikantnych (badania

naukowe dowodzą, że ponad trzydzieści pięć procent snów traktuje o seksie), po czym szybko dostosowałam swój wygląd do okoliczności: koszulka polo, lniane spodnie, buty do golfa i – nie mogłam się oprzeć – stylowa czapeczka z daszkiem. Spacerowym krokiem, jak gdyby nigdy nic, podeszłam bliżej. Drzwi na korytarz zamknęły się za mną cicho. Stałam na środku murawy niczym jakieś osobliwe dzieło sztuki.

Trafiona przez Charlesa piłka wylądowała na trawie i potoczyła się eleganckim łukiem prosto do dołka. Towarzysz Charlesa, mężczyzna w tym samym wieku, o wyjątkowo pięknych zębach, zaklął pod nosem.

– No, i co ty na to? – Charles odwrócił się do niego z triumfalnym uśmiechem. Potem jego spojrzenie padło na mnie i mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. – O, witaj, mała Liv. Widziałaś to? *Hole in one*, zaliczenie dołka jednym uderzeniem. I tak oto brawurowo wygrałam naszą małą partyjkę.

– Ekhem... tak, wspaniale – przytaknęłam z aprobatą.

– Nieprawdaż? – Charles roześmiał się rehotliwie i objął mnie ramieniem. – Pozwól, że ci przedstawię: ten facet o ponurym spojrzeniu to mój dawny kumpel ze studiów, Antony. Bez obaw, wszystko z nim w porządku, tylko nie przywykł do tego, że ze mną przegrywa.

– W rzeczy samej. – Antony uściśnął moją dłoń. – Jestem tym typem przyjaciela, który ma przewagę wręcz we wszystkim: lepsze oceny w szkole, lepsza bryka, gabinet przynoszący większe dochody, no i zawsze wrywałam fajniejsze dziewczyny. – Zaśmiał się.

– I w przeciwieństwie do Charliego mam jeszcze włosy.

Aha, więc to ten rodzaj snu. Zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro, że musiałam go zakłócić.

Antony przecesał palcami bujną fryzurę, a z twarzy Charlesa wyparował wyraz triumfu.

– Niektóre kobiety uważają, że łysi mężczyźni są atrakcyjni – mruknął.

– O tak! – przytaknęłam pośpiesznie. – Na przykład Lottie.

I moja mama. W końcu była zakochana w łysym bracie Charlesa, Erneście. Choć raczej nie z powodu łysiny, tylko pomimo niej.

– Kim jest Lottie? – zapytał Antony. Czekałam na odpowiedź niemal z takim samym napięciem jak on. Zaraz się okaże, czy Charles

ma poważne zamiary.

Uśmiechnął się na wzmiankę jej imienia, dobre i to.

– Lottie będzie... co to za hałas? – Przenikliwy dźwięk, który rozniósł się po polu golfowym, przerwał jego wyjaśnienia.

I to akurat teraz.

– Za wcześnie na budzik – mruknęłam zaniepokojona.

– Moim zdaniem to czujnik dymu – wtrącił Antony.

Odwrociłam się w panice do drzwi. Jeśli Charles się teraz obudzi, to jego sen się zapadnie, a ja runę w nicość, co było nadzwyczaj nieprzyjemnym doświadczeniem, którego nie chciałabym przeżywać powtórnie. Podczas gdy wysoki dźwięk narastał, a niebo zaczęło pękać od rys, puściłam się pędem do drzwi i doskoczyłam do klamki w tym samym momencie, w którym ziemia zaczęła usuwać mi się spod nóg. Jednym susem przesadziłam próg, wypadłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi.

Uratowana. Tylko moja misja zakończyła się ewidentną porażką. W kwestii uczuć Charlesa do Lottie byłam tak samo mądra jak przedtem. Chociaż uśmiechnął się na wzmiankę jej imienia.

Charles ze zdjęcia zaczął śpiewać dentystyczną piosenkę.

– Och, zamknij dziób – warknęłam, a Charles zamilkł urażony.

I wtedy to usłyszałam: ciszę przerwał znajomy, złowrogi szelest, rozlegający się zaledwie kilka metrów dalej. Chociaż nikogo nie było widać, a głos rozsądku w mojej głowie mówił, że to sen, nie mogłam powstrzymać lęku podchodzącego mi do gardła i równie złowrogiemu jak ów szmer. Nie zważając na to, co robię i przed kim uciekam, rzuciłam się do biegu.



Dyszałam tak mocno, że nie słyszałam nic oprócz swojego oddechu, ale byłam pewna, że szelest podążał za mną. I coraz bardziej się przybliżał. Posuwistym ślizgiem skręciłam za róg, w korytarz, w którym znajdowały się moje drzwi. Szelest to nawet nie było właściwe określenie, bo kojarzyło się co najwyżej z niegroźnym szczurem – a ten dźwięk brzmiał upiornie. Był to najbardziej niesamowity odgłos, jaki kiedykolwiek słyszałam (a słyszałam go już parokrotnie, włączając w to ten raz) – przypominał szmer odsuwanej zasłony, za którą czaił się uzbrojony w piłę mechaniczną i toczący wokół wzrokiem morderca o zapadłych policzkach z ociekającym krwią...

Zatrzymałam się gwałtownie. Pod drzwiami ktoś na mnie czekał. Na szczęście nie był to uzbrojony w piłę morderca o zapadłych policzkach, tylko ktoś znacznie ładniejszy.

Henry. Mój chłopak, już od ośmiu i pół tygodnia. I to nie tylko we śnie, ale w prawdziwym życiu. (Swoją drogą, odnosiłam wrażenie, że znacznie więcej czasu spędzaliśmy ze sobą w naszych snach niż na jawie). Jak zwykle opierał się plecami o ścianę, z rękoma założonymi na piersi, i się uśmiechał. Był to ów szczególny uśmiech, przeznaczony

tylko dla mnie i czyniący ze mnie najszczęśliwszą dziewczynę na świecie. W normalnej sytuacji odwzajemniłabym go (mając nadzieję, że byłby to równie szczególny uśmiech) i padłabym mu w ramiona, ale teraz nie było na to czasu.

– Nocny trening? – zapytał z ciekawością, kiedy przyhamowałam przed nim i zamiast go pocałować, załomotałam pięścią w drzwi. – Czy przed czymś uciekasz?

– Opowiem ci w środku! – wysapałam, nie przestając walić w drzwi. Pokrywa skrzynki na listy uniosła się i z wnętrza – wyjątkowo wolno – wysunęła się najpierw kartka, a potem ołówek.

– Proszę napisać hasło dnia, złożyć kartkę i wsunąć z powrotem do skrzynki – zaświergotał uprzejmie

Mr Wu.

Zakłęłam po cichu. Mój system zabezpieczeń wprawdzie świetnie się sprawdzał, jeśli chodzi o obcych intruzów, ale nieszczególnie, gdy człowiek sam musiał błyskawicznie się schronić.

– We śnie istnieją bardziej efektywne metody niż ucieczka, Liv. – Henry uważnie rozejrzał się po korytarzu i stanął przy mnie. – Możesz po prostu odfrunąć albo przemienić się w coś szybkiego, czego nie da się dogonić. Na przykład w geparda. Lub w raketę na Księżyc...

– Wiesz, nie każdemu przemiany przychodzą z taką łatwością jak tobie, a już na pewno nie przemiana w jakąś głupią raketę!

– warknęłam. Ołówek w moim ręku leciutko drżał, ale w obecności Henry'ego mój strach znacznie zelżał. Nic nie szeleściło. Mimo to byłam pewna, że nie jesteśmy sami. Czy mi się zdawało, czy rzeczywiście zrobiło się trochę ciemniej? I chłodniej?

– Ostatnim razem byłaś takim słodkim kociakiem – powiedział Henry, który sprawiał wrażenie, jakby nie zauważał żadnych zmian.

Owszem, byłam. Ale po pierwsze, wcale nie zamierzałam przemienić się w słodkiego kociaka, tylko w groźnego, wielkiego jaguara, a po drugie, wtedy nikt za mną nie laził, a jedynie trochę eksperymentowaliśmy z Henrym dla zabawy. Było dla mnie zagadką, w jaki sposób można się skoncentrować i szybko zmienić postać w sytuacji, gdy człowiekowi zagraża coś przerażającego i niewidzialnego, a ze strachu trzęsą mu się kolana. Henry

prawdopodobnie tylko dlatego był taki dobry w te klocki, że nigdy się nie bał. Teraz też jedynie uśmiechał się beztrąsko.

Z zaciśniętymi zębami nabazgrałam na kartce „Filcowe bambosze z pomponami”, złożyłam ją w trójkąt i wsunęłam w szczelinę.

– Trochę nieporządnie, ale poprawnie – odezwał się ze środka Mr Wu i drzwi się otwały. Chwyciłam Henry’ego za ramię, pociągnęłam go przez próg i zatrzęsnęłam drzwiami. Dopiero wówczas odetchnęłam z ulgą. Udało się.

– Czy następnym razem można by odrobinę szybciej?
– naskoczyłam na Mr Wu. (W realnym życiu nigdy nie zdobyłabym się na coś takiego).

– Żółwie mogą więcej opowiedzieć o drodze niż zajęce, panno Oliwo. – Mr Wu uklonił mi się (czego prawdziwy

Mr Wu nigdy by nie zrobił) i skinął krótko głową Henry’emu.

– Witamy w Restauracji Snów panny Oliwy, nieznajomy chłopcze z potarganymi włosami.

Rzeczywiście wylądowaliśmy w miejscu przypominającym restaurację, w dodatku dość szpetną, ze stolikami z czarnego tworzywa ozdobionymi jaskrawoczerwonymi bieźnikami i z pomarańczowymi lampionami zwisającymi z sufitu. W powietrzu unosiła się woń ostro przysmażonego kurczaka. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jaka byłam głodna. To był głupi pomysł, by iść spać bez kolacji, bo moje sny w takich sytuacjach całkowicie wymykały się spod kontroli.

Henry wlepił zdumione spojrzenie w Mr Wu.

– On jest nowy?

– Dzisiejszej nocy jestem strażnikiem wrót – oświadczył uroczyście Mr Wu. – Nazywają mnie Wu Tygryś Łapa, Obrońca Sierot i Uciśnionych. Daj głodnemu rybę, a nasyci głód. Naucz go łowić ryby, a nigdy więcej nie będzie cierpiał głodu.

Henry parsknął śmiechem, a ja uświadomiłam sobie, że się czerwienię. Moje sny stawały się żenujące. Na domiar złego sypiący sentencjami Mr Wu ubrany był w czarną, błyszczącą jedwabną piżamę z wyszytą głową tygrysa, a z potylicy dyndał mu metrowy warkocz. Jego odpowiednik w realu, mój pierwszy trener kung-fu w Kalifornii, nie wystroiłby się tak nawet w Halloween.

– No dobra – rzucił Henry, ciągle się śmiejąc. – W takim razie poproszę kaczkę w sosie słodko-kwaśnym.

– Dziękuję, Mr Wu – powiedziałam pośpiesznie i jednym gestem wymazałam go wraz z całą restauracją.

Znaleźliśmy się w niewielkim parku w Berkeley Hills w Kalifornii, do którego już kilka razy zabierałam Henry’ego w moich snach – było to pierwsze miejsce, jakie przyszło mi do głowy. Roztaczał się stąd przepiękny widok na zatokę, nad którą akurat zachodziło słońce, zalewając niebo spektakularnymi barwami.

Henry jednak skrzywił się z niezadowoleniem.

– Smakowicie pachniało w tej restauracji – rzekł. – A teraz burczy mi w brzuchu.

– Mnie również, ale choćbyśmy nie wiem ile zjedli, i tak byśmy się nie najedli. – Opadłam na ławkę. – W końcu to tylko sen. Cholera, zapomniałam podać Mr Wu nowe hasło. Kto wie, kto zaglądał mi przez ramię, kiedy je zapisywałam.

– No jak to kto, ja. „Foliowe bambetle z pomidorami” to bardzo oryginalne hasło. – Czy on znowu się śmiał? – To znaczy, mam na myśli to, że nikt by na to nie wpadł.

– Hasło brzmi „Filcowe bambosze z pomponami” – sprostowałam, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

– Poważnie? Gryzmolisz jak kura pazurem – powiedział Henry i usiadł obok mnie. – A teraz chciałbym się dowiedzieć, przed czym uciekałaś. I dlaczego nie dostałem nawet buziaka na powitanie.

Natychmiast spowaźniałam.

– Tam znowu był ten... szelest. Nie słyszałaś?

Henry pokręcił przecząco głową.

– Ale to tam było. Jakaś niewidzialna, zła istota. – Wiedziałam, jak to brzmiało. Jakbym czytała na głos kiepski horror. Mniejsza o to. – Szelest i szept, który podchodzi coraz bliżej. – Wzdrygnęłam się. – Zupełnie tak samo jak poprzednim razem, gdy nas prześladował, a ty nas uratowałaś, wchodząc do snu Amy.

– A gdzie dokładnie to słyszałaś? – Mina Henry’ego nie zdradzała w najmniejszym stopniu, co myślał, niestety.

– W drugim korytarzu na lewo. – Wykonałam nieokreślony gest w stronę morza. – Myślisz, że to mogła być Anabel? Na pewno do perfekcji opanowała sztukę stawania się niewidzialną i złowrogiego szeleszczenia. Albo to był Arthur. Nic na świecie nie sprawiłoby mu większej frajdy, jak wystraszyć mnie na śmierć.

I w sumie nie mogłam mu mieć tego za złe. W końcu to ja niemal osiem i pół tygodnia temu zламаłam mu szczękę. Brzmi strasznie, wiem, powiem tylko tyle (bo inaczej będzie zbyt długo i skomplikowanie): zasłużył. Zresztą i tak na próżno. Ponieważ w całej tej historii to jego dziewczyna Anabel okazała się tą złą. A dokładniej rzecz biorąc, szurniętą, jak potem wyszło. Naukowo jej przypadłość określano „nagłymi wielopostaciowymi zaburzeniami psychotycznymi z objawami schizofrenii”, i to właśnie z powodu tych zaburzeń Anabel przebywała obecnie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym i nikomu nie mogła zrobić krzywdy – chyba że we śnie. Anabel była święcie przekonana, że to demon obdarzył nas zdolnością spotykania się w snach i świadomego ich kształtowania – dość złośliwy demon nocy z czasów przedchrześcijańskich, który chciał zawładnąć światem. Na moje szczęście owa próba zawładnięcia skończyła się fiaskiem, kiedy Anabel wraz z Arthurem szykowali się do przelania mojej krwi. (Mówiłam, że będzie długo i skomplikowanie¹). Wiara w demona stanowiła przejaw jej choroby. Byłam zadowolona,

że demon istniał tylko w chorej wyobraźni Anabel, ponieważ z zasady miałam pewien problem ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, a z demonami w szczególności. Z drugiej jednak strony nie znajdowałam żadnego sensownego wytłumaczenia całej tej sprawy ze snami. Dla uproszczenia traktowałam ją jako jedno ze „zjawisk psychologiczno-fizycznych podlegających logicznemu wyjaśnieniu, których zgodnie z aktualnym stanem nauki nie da się do końca wytłumaczyć”. To było rozsądniejsze niż wiara w demony. Moje przekonania uległy jednak chwilowemu zachwianiu w zetknięciu z szelestem... Ale o tym wolałam nie wspominać Henry’emu.

On zaś nadal czekał, aż będę kontynuować.

– Drugi korytarz w lewo – powtórzył. Nie zająknął się słówkiem o Anabel i Arthurze. Bardzo niechętnie o nich mówił, wszak jeszcze

niedawno, bo do pamiętnego wieczoru zadusznego osiem i pół tygodnia temu, oboje zaliczali się do jego najlepszych przyjaciół. – A byłaś tam, bo...? – Popatrzył na mnie pytająco.

– Bo miałam tam coś do załatwienia. – Niepewnie podrapałam się po ramieniu i mimowolnie ściszyłam głos. – Coś absolutnie niemoralnego. Chciałam... nie, musiałam kogoś inwigilować we śnie.

– To nie jest niemoralne, tylko nadzwyczaj praktyczne
– zaprzeczył Henry. – Robię to nieustannie.

– Naprawdę? A kogo? I dlaczego?

Wzruszył ramionami i łypnął w bok.

– Czasami to całkiem przydatne. Albo zabawne, w zależności od sytuacji. A kogo chciałaś... eee... musiałaś inwigilować?

– Charlesa Spencera.

– Nudnego wujka-dentystę Graysona? – Henry popatrzył z pewnym rozczarowaniem. – Dlaczego akurat jego?

Westchnęłam.

– Mia – czyli moja młodsza siostra – widziała Charlesa w kawiarni z inną kobietą. Przysięgała, że wymieniali zakochane spojrzenia i prawie trzymali się za ręce. Wiem, Lottie i Charles oficjalnie nie są jeszcze parą, ale on z nią intensywnie flirtuje i już dwa razy byli razem w kinie. Nawet ślepy widzi, że Lottie jest w nim zakochana, choć ona się do tego nie przyznaje. Szyje mu bambosze na Boże Narodzenie, a to już mówi wszy... Co się tak głupio śmiejesz? To poważna sprawa. Lottie jeszcze nigdy nie była tak zauroczona, w żadnym mężczyźnie, i byłoby straszne, gdyby dla niego okazała się tylko zabawką.

– Przepraszam! – Henry na próżno próbował zapanować nad kącikami ust. – Teraz już wiem, skąd to hasło... No dobra, mów dalej.

– Musiałam ustalić, co Charles naprawdę czuje do Lottie. Więc zwinęłam mu tę okropną uszankę i weszłam do jego snu. – Przypomniało mi się, że właśnie teraz leżałam w łóżku w tej czapce. Pewnie miałam już kompletnie przepocone włosy. A Henry z pewnością wyobrażał sobie, jak wyglądam w tej czapce. Za chwilę znowu zaczniesz się śmiać, co doskonale rozumiałam.

Ale on na moje kontrolne spojrzenie odpowiedział niewinnym trzepotaniem powiek.

– Bardzo dobrze. I jak to zrobiłaś?

Zmarszczyłam czoło, nie rozumiejąc.

– No, przeszłam przez jego drzwi.

– No wiem. Ale jako kto lub co?

– Jako ja, oczywiście. W czapce z daszkiem, bo we śnie grał w golfa i musiałam dostosować swój ubiór. Już, już miał mi opowiedzieć o Lottie, ale w tym momencie odezwał się ten głupi... – Z przerażeniem zasłoniłam usta ręką. – Cholera! Zupełnie zapomniałam! Czujnik dymu! Zaczął wyć, a ja myślałam tylko o tym, by jak najprędzej wydostać się ze snu, zanim Charles się obudzi. Jestem naprawdę złym człowiekiem! Powinnam się obudzić i zawiadomić straż pożarną.

Henry na wieść o możliwym pożarze w mieszkaniu Charlesa zareagował całkowitą obojętnością. Uśmiechnął się do mnie i pogładził koniuszkami palców mój policzek.

– Liv, chyba zdajesz sobie sprawę, że ludzie w swoich snach niekoniecznie muszą być szczerzy, co? Doświadczenie mi mówi, że większości kłamstwo przychodzi łatwiej we śnie niż na jawie. Jeśli chcesz dowiedzieć się o kimś prawdy, to nic nie wskórasz, wparowując do jego snu i wypytyjąc, bo odpowie ci dokładnie to samo, co powiedziałby, gdyby nie śnił.

To oczywiście brzmiało logicznie. Prawdę mówiąc, ta myśl też przyszła mi już do głowy. W gruncie rzeczy wpakowałam się do snu Charlesa bez żadnego planu, bez wyrafinowania, powodowana wyłącznie chęcią ochrony Lottie.

– No a jak miałam się do tego zabrać? Tylko mi nie mów, że powinnam się przemienić w raketę na Księżyc.

– No wiesz, najlepiej, gdy inwigilowany w ogóle nie orientuje się, że tam jesteś. Niewidzialny widz i słuchacz dowie się we śnie najwięcej. Przy odrobinie cierpliwości nawet wszystkiego.

– Ale ja wcale nie chcę wiedzieć o Charlesie wszystkiego – powiedziałam i wzdrygnęłam się na samą myśl². – Chcę tylko wiedzieć, czy traktuje Lottie poważnie. Bo jeśli nie, to... – Zacisnęłam dłonie w pięści. W żadnym razie nie dopuścimy z Mią, żeby ktoś skrzywdził Lottie, a już na pewno nie Charles. Zresztą Mia wołała skumać ją z przystojnym weterynarzem z Pilgrim's Lane. – Chyba że

właśnie umarł z powodu zaccadzenia, bo nie zadzwoniłam po straż pożarną, więc i tak jest już po temacie.

– Kocham cię – oznajmił niespodziewanie Henry i przyciągnął mnie do siebie. Natychmiast zapomniałam o Charlesie. Henry nie szastał na lewo i prawo tymi magicznymi dwoma słowami. W ciągu ostatnich ośmiu i pół tygodnia wypowiedział je dokładnie trzy razy i za każdym razem wprawiało mnie to w zakłopotanie. Jedyłą poprawną i ogólnie przyjętą odpowiedzią było chyba „Ja też cię kocham”, ale to jakoś nie mogło mi przejść przez gardło. Nie dlatego, że go nie kochałam, wręcz przeciwnie, lecz dlatego, że „Ja też cię kocham” nie miało takiej mocy jak spontaniczne „kocham cię”.

– Mimo że nie potrafię zamienić się w raketę na Księżyc ani stać się niewidzialna? – powiedziałam zamiast tego.

Henry pokiwał głową.

– Jeszcze się tego nauczysz. Jesteś straszliwie utalentowana. Pod każdym względem. – Pochylił się i zaczął mnie całować. Sen właśnie zrobił się całkiem fajny.

Całą tę historię można poznać w powieści *Silver. Pierwsza księga snów*. [\[wróć\]](#)

Pamiętamy wszak, że: ponad trzydzieści pięć procent wszystkich snów to sny o tematyce erotycznej. Błeee. [\[wróć\]](#)



Minusem nocnego śnienia przy pełnej świadomości było niewyspanie na drugi dzień. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wypracowałam jednak pewne metody, pomagające zrekompensować brak snu: gorący prysznic, potem kilka litrów zimnej wody na twarz, a na koniec, na pobudzenie krążenia, poczwórne espresso, zakamuflowane pod czapą mlecznej pianki, żeby Lottie nie prawiała mi kazań o wrażliwości ścian żołądka u nastolatków. Włoski automat do kawy, który po naciśnięciu guzika miał świeże ziarna i ubijał mleko na pianę, był jednym z czynników, dzięki którym życie w domu Spencerów okazało się wcale nie takie najgorsze. Lottie była wprawdzie zdania, że kawę powinno się pić najwcześniej po skończeniu osiemnastu lat, ale według mamy takie ograniczenia wiekowe nie obowiązywały nawet w przypadku alkoholu, seksu i narkotyków, dlatego miałam Nielimitowany dostęp do kofeiny.

W połowie drogi do kuchni natknęłam się na swoją młodszą siostrę. Właśnie wróciła z dworu z suczką Buttercup i przycisnęła mi lodowatą rękę do policzka.

– Czujesz? – zawołała z zachwytem. – W wiadomościach

podawali, że w tym roku mogą być nawet białe święta, a styczeń ma być najmroźniejszy od jedenastu lat... Głupio tylko, że zgubiłam rękawiczkę. Jedną z tych szarych w ciapki. Nie widziałas jej gdzieś przypadkiem? To moje ulubione.

– Nie, niestety. Sprawdzalas w kryjówkach Butter?

Buttercup przywarła do podłogi u mych stóp i wyglądała przy tym tak niewinnie i słodko, jakby nigdy, przenigdy nie przyszło jej do łba, by podwędzać rękawiczki, skarpetki i buty i oddawać dopiero, gdy były kompletnie pogryzione. Podrapałam ją energicznie po brzuchu i przez chwilę paplałam do niej w niemowlęcym języku (uwielbiała to!), po czym wstałam i pomaszerowałam za Mią do kuchni, a ściśle mówiąc, do automatu do kawy. Buttercup podreptała za mną. Ona jednak nie po kawę, lecz po rostbef, który Ernest właśnie kładł na stole.

Już od prawie czterech miesięcy mieszkaliśmy w Londynie, w obszernym, przytulnym domu z palonej cegły w dzielnicy Hampstead, ale choć bardzo lubiłam to miasto i po raz pierwszy od wielu lat miałam duży, ładny pokój tylko dla siebie, nadal czułam się tu trochę jak gość.

Może dlatego, że po prostu nigdzie do tej pory nie nauczyłam się czuć jak u siebie. Zanim mama poznała Ernesta Spencera i postanowiła spędzić z nim resztę życia, niemal co roku przeprowadzała się wraz z Mią, Lottie, Buttercup i mną w inne miejsce. Mieszkaliśmy w Niemczech, Szkocji, Indiach, Holandii, RPA i oczywiście USA, skąd pochodziła mama. Nasi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam osiem lat, ale tata, podobnie jak mama, nie miał skłonności do zapuszczania korzeni. Cieszył się za każdym razem, kiedy jego firma proponowała mu nowe stanowisko w kraju, którego jeszcze nie znał. Tata był Niemcem i aktualnie mieszkał wraz ze swoimi dwiema walizkami (bo, jak powtarzał, żaden człowiek nie musi posiadać więcej, niż mieści się w dwóch walizkach) w Zurychu, dokąd mieliśmy pojechać na Boże Narodzenie.

Nie powinno zatem dziwić, że przez te wszystkie lata nie pragnęliśmy niczego innego, jak tylko tego, by osiąść gdzieś na stałe. Wciąż marzyliśmy o domu, w którym mogłybyśmy zostać i urządzić się na zawsze. Domu z dużą ilością miejsca, pokojem dla każdej z nas,

ogrodem, w którym Buttercup mogłaby się wyszaleć, i jabłonką, na którą mogłybyśmy się wspinać. Teraz wprawdzie mieszkaliśmy w dokładnie takim domu (nawet z drzewem, tyle że była to wiśnia), ale to nie było to: to nie był nasz dom, tylko dom Ernesta i jego dwojga dzieci, siedemnastoletnich bliźniąt Florence i Graysona. Oprócz nich mieszkał tu jeszcze miły rudy kocur o imieniu Spot i wszyscy oni spędzili tu całe swoje życie. I choćby Ernest nie wiem ile razy powtarzał, że jego dom jest odtąd również naszym domem – to nie czułyśmy tego. Może dlatego, że nigdzie na futrynach nie było naciętych karbów, przy których widniałyby nasze imiona, i że ciemne miejsce na perskim dywanie czy wyszczerbiony kafelek w kuchni nie kojarzyły nam się z żadną historią, bo nie byłyśmy przy tym, jak podczas jedzenia *fondue* siedem lat temu zapaliła się serwetka, ani przy tym, jak Florence jako pięciolatka tak bardzo wściekła się na Graysona, że rzuciła w niego butelką wody.

A może po prostu musiało upłynąć trochę więcej czasu. Jedno było pewne: że podczas naszego krótkiego pobytu tutaj nie pozostawiłyśmy jeszcze żadnych śladów ani nie powstały żadne nasze historie.

Mama jednak usilnie już nad tym pracowała. Od niepamiętnych czasów upierała się przy tym, by w niedzielę rano zasiadać do wspólnego, sutego śniadania (termin „rano” traktowała przy tym bardzo dosłownie), który to zwyczaj od razu wprowadziła u Spencerów, ku wielkiej dezaprobie Florence i Graysona, w szczególności dzisiaj. Sądząc po minie Florence, znowu była w nastroju na rzucanie butelką. Oboje wrócili z imprezy o wpół do czwartej i teraz ziewali na wyścigi, Florence zakrywając usta ręką, Grayson bez zahamowań, wydając z siebie przeciągłe „uuuuuuaaaaaaaaa”. Przynajmniej nie byłam jedyną osobą, którą dręczyła senność, może tylko różniliśmy się metodami jej zwalczania. Podczas gdy ja siorbałam kawę i czekałam, aż kofeina trafi do mojego krwiobiegu, Florence nadziewała cząstki pomarańczy na widelec i sztywno wkładała je do ust. Najwyraźniej była przekonana, że pokona znużenie witaminą C.

Cienie pod jej karmelobrazowymi oczami na pewno zaraz znikną i będzie wyglądała nieskazitelnie jak zawsze. Z kolei Grayson opychał się górą jajecznicy i tostami, nie prezentując przy tym najmniejszych cieni pod oczami. Gdyby nie ziewanie, w ogóle nie byłoby po nim widać

zmęczenia. Przydałoby mu się tylko golenie.

Mama, Ernest i Lottie, wyspani i w świetnych humorach, patrzyli na nas rozpromienieni, a ponieważ mama wyjątkowo była dziś kompletnie ubrana i uczesana, a nie jak zazwyczaj w niedzielny poranek w odważnym negliżu (bez niczego pod spodem, nawiasem mówiąc), odwzajemniłam jej uśmiech.

Może dlatego, że szczęście mamy było w jakiś sposób zaraźliwe, a wszystko wydawało się takie przytulne i świąteczne. Zimowe słońce zaglądało do środka przez ozdobione girlandami okna wykuszowe, rozżarzając czerwone papierowe gwiazdy, w powietrzu pachniało smażonym masłem, pomarańczą, wanilią i cynamonem (Lottie upiekła górę gofrów, uśmiechających się do mnie ze środka stołu), a siedząca obok Mia wyglądała jak mały, różowolicy, świąteczny aniołek w okularach.

Tyle że nie zachowywała się jak anioł.

– Przepraszam, czy my jesteśmy w zoo? – zapytała, kiedy Grayson po raz ósmy prawie wywichnął sobie szczękę przy ziewaniu.

– Tak – odparł niewzruszenie Grayson. – Karmienie hipopotamów. Przesuń, proszę, masło w moją stronę.

Uśmiechnęłam się szeroko. Grayson był kolejnym powodem, dla którego podobało mi się mieszkanie w tym domu. Był nawet lepszy niż automat do kawy. Po pierwsze, pomagał mi w matmie, kiedy czegoś nie kapowałam (w końcu był o dwie klasy wyżej), po drugie, stanowił naprawdę przyjemny obiekt obserwacji, nawet niewyspany i ziewający jak hipopotam, a po trzecie był... był po prostu miły.

W przeciwieństwie do swojej siostry.

– Szkoda, że Henry wczoraj znowu... nie miał czasu – zwróciła się do mnie Florence i chociaż jej głos aż ociekał współczuciem, to wyraźnie słyszałam w nim złośliwą satysfakcję. Już samo to, że zrobiła niewielką pauzę przed „nie miał czasu”... – Naprawdę sporo straciliście. Świetnie się bawiliśmy. Prawda, Grayson?

Grayson wydał z siebie odgłos ziewania, ale moja mama nachyliła się i z niepokojem otaksowała mnie wzrokiem.

– Liv, kochanie, wczoraj bez kolacji znikłaś w swoim pokoju. Czy powinnam się martwić?

Otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć, ale mama nawijała dalej.

– To nie jest normalne, żeby w twoim wieku w sobotę wieczorem siedzieć w domu i wcześniej kłaść się spać. Przecież nie musisz żyć jak mniszka i unikać prywatek tylko dlatego, że twój chłopak nie ma czasu.

Rzuciłam jej ponure spojrzenie przez szkła okularów. Cała mama. Mówiliśmy tutaj o imprezie urodzinowej jakiegoś koleśia z klasy maturalnej, którego prawie nie znałam, w dodatku byłam zaproszona tylko jako osoba towarzysząca Henry’ego. Zrobiłabym z siebie idiotkę, gdybym poszła tam sama. Nie mówiąc już o tym, że przypuszczalnie i tak niewiele straciłam – obojętne, co gadała Florence. Wszystkie imprezy wyglądały jednakowo: za dużo ludzi w ciasnym pomieszczeniu, za głośna muzyka i za mało jedzenia. Rozmawiać można było, jedynie krzycząc, ktoś zawsze się upijał i zachowywał od czapy, a w tańcu nieustannie zbierało się kuksańce – moje wyobrażenia o dobrej zabawie były zupełnie inne.

– Poza tym... – Mama nachyliła się jeszcze bardziej. – Poza tym, skoro Henry musi niańczyć młodsze rodzeństwo, co oczywiście bardzo pochwalam, to czy coś stoi na przeszkodzie, żebyś trochę mu w tym pomogła?

Głupia sprawa, ale tym razem mama trafiła w dziesiątkę, czyli w mój słaby punkt. W ciągu ośmiu i pół tygodnia naszego związku Henry często odwiedzał mnie tutaj, spędzaliśmy czas w moim pokoju, parku, kinie, na imprezach, w szkolnej bibliotece, kawiarni za rogiem¹ i oczywiście w moich snach. Ale ani razu nie byłam u niego w domu.

Z rodziny Henry’ego poznałam jedynie jego młodszą czteroletnią siostrę Amy, i to tylko we śnie. Wiedziałam, że ma jeszcze brata, Milo, dwunastolatka, ale Henry rzadko o nim opowiadał, a o rodzicach to już w ogóle. Ostatnio często się zastanawiałam, czy Henry przypadkiem umyślnie nie trzyma mnie na dystans od rodziny. Większość faktów o niej znałam nie od niego, tylko z blogu Secrecy. To od niej dowiedziałam się, że jego rodzice się rozstali, że ojciec był już trzy razy żonaty, a teraz podobno planował uczynić żoną numer cztery bułgarską byłą modelkę prezentującą bieliznę. Jeśli wierzyć Secrecy, Henry oprócz Milo i Amy miał liczne starsze rodzeństwo.

Mama puściła do mnie oko, a ja pośpiesznie odsunęłam na bok te

myśli. Kiedy mama puszczała oko, zwykle robiło się sprośnie. A tym samym obciachowo.

– Kiedyś bardzo lubiłam niańczyć dzieci. Zwłaszcza jak spały.
– Mrugnęła jeszcze raz. Tym razem również i Mia zaalarmowana opuściła nóż na talerz. – Szczególnie dobrze pamiętam kanapę Millerów...

I to by było na tyle, jeśli chodzi o błogi przedświąteczny nastrój.

– Mamo! – rzuciła ostro Mia, a ja jednocześnie z nią zaprotestowałam:

– Nie teraz!

Kanapę Millerów już znałyśmy. I pragnęłyśmy za wszelką cenę sprawić, by mama nie opowiadała przy śniadaniu, co na niej przeżyła. Choćby w jej własnym interesie.

Zanim zdążyła zaczerpnąć oddechu (bo najgorsze było to, że miała w repertuarze nie jedną taką historię, tylko niemal niewyczerpany ich zapas), dodałam pośpiesznie:

– Wczoraj zostałam w domu, bo czułam, że bierze mnie przeziębienie. Poza tym miałam jeszcze mnóstwo lekcji do odrobienia.

Nie mogłam przecież powiedzieć, że chciałam iść wcześniej do łóżka z powodu tajnej misji, i to ubrana w niewypowiedziane szkaradną futrzaną czapkę, którą ukradłam Charlesowi. Oczywiście nikomu nie zdradziliśmy, co robiliśmy po nocach w naszych snach – zresztą pewnie i tak nikt by nam nie uwierzył. I wsadziliby nas do czubków razem z Anabel. Z obecnych przy stole tylko Grayson wiedział o snach. Byłam prawie pewna, że od wydarzeń sprzed ośmiu i pół tygodnia ani razu nie przekroczył progu drzwi we śnie, a nawet więcej, wierzył, że my również trzymamy się z dala od korytarzy. Grayson nigdy nie czuł się dobrze, wnikając w sny innych, uważał to za upiorne i niebezpieczne i byłby przerażony, gdyby wiedział, że po prostu nie mogliśmy przestać. W przeciwieństwie do Henry’ego on na pewno uznałby moją wczorajszą nocną akcję za niemoralną.

Swoją drogą, żeby pozbyć się zapachu owczej wełny z czapki, musiałam dwukrotnie umyć włosy, a mimo to wciąż coś było z nimi nie tak. Kiedy Lottie, przyniósłszy sobie drugą porcję jajecznicy, usiadła obok mnie, moje naelektryzowane włosy zatrzeszczały i stanęły dęba, by

natychmiast przywrzeć do jej różowego sweterka z angory. Wszyscy po kolei parsknęli śmiechem, nawet ja, kiedy pochwyliłam swoje odbicie w lustrze nad kredensem.

– Jak jeżozwierz – zawyrokowała Mia, a ja usiłowałam przyklepać jakoś włosy. – Zaiste, prawdziwe zoo dziś tu mamy. À propos, dla kogo jest to dodatkowe nakrycie? – Pokazała na pusty talerz obok Lottie.
– Wujek Charles też będzie na śniadaniu?

Lottie i ja jednocześnie drgnęłyśmy na wzmiankę jego imienia, ona prawdopodobnie z radości, ja raczej z poczucia winy. Jak na zawołanie rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Przygotowałam się na najgorsze. Swąd spalenizny, który nagle uderzył mnie w nozdrza, ku mojej uldze wydobywał się z tosterka.

Energiczne kroki w korytarzu nie należały jednak do Charlesa, tylko do kogoś innego. Ewidentnie. Mia jęknęła cicho i popatrzyła na mnie znacząco. Ja zaś przewróciłam oczami. Już chyba wołałabym osmalonego sadzą Charlesa. Oczywiście tylko lekko osmalonego.

Z pomieszczenia ulotniły się resztki ciepłego, przedświątecznego nastroju i oto w drzwiach stanęła Bestia w Ochrach. Zwana również Diabłem z Apaszką od Hermésa, czyli oficjalnie Philippa Adelaide Spencer. Dla Graysona i Florence po prostu babcia. Przyjaciółki z kółka brydżowego podobno mówiły na nią „Brzoskwiniowa Pippa”, ale w to uwierzę dopiero wtedy, gdy usłyszę na własne uszy.

– O, widzę, że zaczęliście beze mnie – powiedziała w ramach powitania. – Czy to amerykański zwyczaj?

Wymieniłyśmy z Mią spojrzenia. Jeśli drzwi wejściowe nie stały otworem, to Bestia w Ochrach musiała być w posiadaniu kluczy. Zatrważające.

– Zaczęliśmy, bo spóźniłaś się pół godziny, mamó – sprostował Ernest i wstał, żeby ucałować ją w oba policzki.

– Naprawdę? A na którą godzinę mnie zaprosiłaś?

– Na żadną – oznajmił Ernest. – Sama się wczoraj zaprosiłaś, nie pamiętasz? Nagrałaś się na sekretarkę i powiedziałaś, że przyjdiesz na śniadanie o wpół do dziesiątej.

– Nonsens, nic nie mówiłam o śniadaniu. Oczywiście zjadłam w domu. Dziękuję, kochanie.

Grayson pomógł jej zdjąć płaszcz (w odcieniach ochry) z kołnierzem, dla którego oddał życie jakiś lis, a Florence rozpromieniła się i rzekła:

– O, masz na sobie ten komplecik – w odcieniach ochry, jak zauważyłam – w którym tak ci do twarzy, *granny!*

Lottie również próbowała wstać z miejsca, ale żelaznym chwytem przytrzymałam ją za rękaw swetra. Ostatnio, witając się z Bestią, dygnęła i nie mogłam dopuścić, by zrobiła coś takiego drugi raz.

Pani Spencer była wysoką, szczupłą kobietą, wyglądającą na znacznie mniej niż swoje siedemdziesiąt pięć lat. Z pełną gracją, wyprostowaną postawą, długą szyją, elegancką, krótką fryzurą i chłodnymi, niebieskimi oczami, którymi taksowała nas po kolei, idealnie nadawałaby się do roli złej macochy w *Królewnie Śnieżce* – w sequelu pod tytułem *Trzydzieści lat później*.

Gwoli wyjaśnienia: nie zawsze byliśmy nastawione do niej tak wrogo. Początkowo próbowałyśmy szczerze polubić matkę Ernesta albo przynajmniej wykazać dla niej jakieś zrozumienie. Pod koniec sierpnia wyruszyła w trzymiesięczną podróż dookoła świata na pokładzie wycieczkowca „Queen Elizabeth”, a kiedy pod koniec listopada wróciła, wypoczęta, opalona i obładowana pamiątkami, przekonała się, że jej ukochany syn sprowadził sobie do domu Amerykankę wraz z córkami, niańką i psem. Nic więc dziwnego, że w pierwszej chwili oniemiała ze zdumienia. Niestety, stan ten nie utrzymał się zbyt długo, zaraz bowiem zaczęła nawijać i nie przestała do dziś. Skupiała się głównie na tym, by z zaskakującą otwartością insynuować, że nasza mama zajmuje się wyłudzeniem spadków i że usidliła Ernesta, stosując niecne sztuczki. Zazwyczaj dołączała do tego ogólnikowe oskarżenia pod adresem Amerykanów, których miała za niecywilizowanych i nadętych idiotów. To, że mama miała dwa tytuły doktorskie, nie robiło na niej najmniejszego wrażenia, w końcu otrzymała je w USA, a nie w jakimś cywilizowanym kraju. (Ignorowała przy tym skrupulatnie, że mama wykładała w Oksfordzie). Za jeszcze gorszych od Amerykanów pani Spencer uważała Niemców, ponieważ to oni doprowadzili do II wojny światowej. Między innymi. Dlatego Mia i ja byliśmy dla niej nie tylko niecywilizowanymi i nadętymi idiotkami (po matce), lecz także z natury

rzeczy podstępnyimi nikkzemnicami (po ojcu). Z kolei Lottie, jako osoba pochodzenia wyłącznie niemieckiego, uchodziła tylko za podstępną nikkzemnicę, a nasz pies... Cóż, pani Spencer, zdaje się, w ogóle nie lubiła zwierząt, a jeśli już, to tylko na talerzu w postaci usmażonej. Albo w charakterze futra wokół szyi.

Choćbyśmy nie wiem jak bardzo starały się obalić jej uprzedzenia i wzbudzić w niej sympatię – na próżno. (No dobra, „nie wiem jak bardzo się starały” to może za dużo powiedziane). Od jakiegoś czasu już nawet zaprzestałyśmy wysiłków. Jak mawiała Lottie? Jak do lasa wołasz, tak ci się odezwie. Czy jakoś tak. Ostatecznie byłyśmy dość wkurzonym lasem. Przynajmniej ja z Mią. Mama nadal miała nadzieję na cudowną odmianę, a Lottie – ach, Lottie była przypadkiem beznadziejnym. Święcie wierzyła w dobro drzemiące w człowieku. Wierzyła nawet w dobro drzemiące w Bestii.

Bestia popatrzyła na Lottie i zażądała tonem gorzkim jak piołun:
– Dla mnie poproszę tylko herbatę. Earl grey. Z kapką cytryny.
– Już podaję!

Lottie była już nie do zatrzymania, zerwała się z miejsca, niemal rozdierając przy tym sweter, bo wciąż trzymałam ją za rękaw. Grayson wtrącił wprawdzie „Ja to mogę zrobić”, ale Lottie odsunęła go na bok. Wielokrotnie wyjaśniałyśmy pani Spencer, że Lottie nie jest naszą służącą (poza tym niedziele miała wolne), ale te tłumaczenia jakoś do niej nie trafiały. Była zdania, że ktoś, komu płaciło się pensję, nie mógł być jednocześnie przyjaciółką.

– Tylko w prawdziwej filiżance do herbaty, nie w którymś z tych topornych kubków, w których wszyscy pijecie tę waszą wstrętną kawę. – Pani Spencer usiadła. Jak zawsze w jej obecności ogarnęło mnie nagle uczucie, że ubrałam się zbyt lekko. Zateśkniłam za grubym dzierganym na drutach swetrem. I większą ilością kawy w topornym kubku.

– Bochra – szepnęła do mnie Mia.
– Słucham? – odpowiedziałam szeptem.
– Bestia w Ochrach jest za długi. Mówmy po prostu Bochra.
– Dobra. – Zachichotałam. „Bochra” brzmiało wyśmienicie.

Bochra zmierzyła nas wzrokiem pełnym dezaprobaty (mama i Florence też – w końcu szeptanie i chichotanie przy stole w istocie nie

świadczyło o dobrych manierach), uznała jednak, że nie warto się do nas odzywać.

– Grayson, skarbie, gdzie jest mała słodka Emily? – zapytała.

– Przy odrobinie szczęścia leży jeszcze w łóżku i śpi. – Grayson zabrał się z powrotem za jajecznicę i posmarował sobie tost. Tak na oko siedemnastą kromkę. Niewiarygodne, ile był w stanie wepchnąć w siebie, nie przybierając nawet grama tłuszczu. – Mała słodka Emily.

Czy to zabrzmiało ociupinkę ironicznie? Popatrzyłam ciekawie na Graysona. Emily była jego dziewczyną, chodziła tak jak on do klasy maturalnej, była redaktorką naczelną szkolnej gazetki, amazonką zdobywającą medale w ujeżdżaniu, ale nie była ani mała, ani słodka. Bestia w... eee... Bochra jednak najwyraźniej pałała do Emily sympatią, zawsze bowiem wspominała o niej w samych superlatywach i chwaliła Graysona za dobry gust w kwestii wyboru kobiet, którego z pewnością nie odziedziczył po swoim ojcu.

Bochra westchnęła zde gustowana².

– Och, miałam nadzieję ją tu zastać. Lecz dziś najwyraźniej zaprosiliście tylko personel.

Poszukałam wzrokiem Lottie, ale ta nic nie słyszała, pobrzękiwała głośno porcelaną, szykując się do parzenia perfekcyjnej herbaty.

– Lottie tu mieszka – powiedziała Mia, nawet nie siląc się na uprzejmość. – Więc, za przeproszeniem, gdzie ma jeść śniadanie?

Pani Spencer uniosła jedną brew.

– Cóż, o ile wiem, moja wnuczka musiała odstąpić waszej niańce pomieszczenia na poddaszu, gdzie miejsca jest pod dostatkiem.

Ach, stara śpiewka.

– Mamo! Naprawdę wystarczająco przedyskutowaliśmy tę kwestię. Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? Proszę... – Ernest wyglądał żałośnie. Mama trzymała się kurczowo obrusa, jakby obawiała się, że inaczej zerwie się na równie nogi i ucieknie.

– No dobrze, zmiana tematu: musisz przyjść i wymienić baterie w moich czujnikach dymu, Erneście – zażądała pani Spencer.

– U Charlesa był dziś w środku nocy alarm, bo wyczerpała się bateria.

Och, to dobrze. To znaczy, że jeszcze żyje!

– Chyba dostałabym zawału, gdyby coś takiego zdarzyło się

u mnie. – Demonstracyjnie przyłożyła dłoń do sweterka w odcieniach ochry, mniej więcej w tym miejscu, w którym znajdowałby się rozrusznik, gdyby miała słabe serce. Nie miała. Była zdrowa jak ryba.

– Proszę bardzo. – Lottie postawiła przed nią filiżankę z herbatą. – Earl grey, z kapką cytryny.

– Dziękuję, panno... eee...

– Wastlhuber.

– Wababuba – powtórzyła pani Spencer.

– Ach, proszę po prostu mówić mi Lottie.

Pani Spencer popatrzyła na nią ze zgrozą.

– Z całą pewnością nie – powiedziała z naciskiem i zaczęła szukać czegoś w torebce. Pewnie soli trzeźwiących.

– Ach, wyluzuj, Bochra – mruknęła Mia po niemiecku. Żadne ze Spencerów nie znało niemieckiego, dlatego czasami używałyśmy go w charakterze tajemnego języka. Tylko w wyjątkowych przypadkach, ma się rozumieć.

Bochra zaaplikowała do herbaty tabletkę słodziku z osobistego pudełeczka i zamieszała.

– Dlaczego w ogóle tu jestem... Jak wicie, co roku w Święto Trzech Króli organizuję u siebie małą herbatkę.

– Małą, dobre sobie – mruknął Grayson, ale jego słowa utonęły w entuzjastycznym komentarzu Florence.

– Uwielbiam, po prostu uwielbiam twoje styczniowe herbatki, babciu!

Jakby chodziło o najbardziej odlotową imprezę wszech czasów.

Pani Spencer uśmiechnęła się blado.

– Cóż, miałam nadzieję, że nie będę do tego zmuszona, ale ponieważ moje przyjaciółki nieustannie się dopytują, a tutaj, jak widać, nikt nie chce iść za głosem rozsądku – w tym miejscu chrząknęła znacząco i popatrzyła ze smutkiem na Ernesta – nie pozostaje mi nic innego, jak objąć zaproszeniem twój nowy *entourage*, synu.

Kiedy nikt nie zareagował – my z Mią dlatego, że nie wiedziałyśmy, co to znaczy *entourage*, i zastanawiałyśmy się, czy to coś obraźliwego – dodała z westchnieniem:

– To znaczy, że bardzo – znowu chrząknęła, tym razem świdrując

spojrzeniem mamę – że bardzo cieszyłabym się, mogąc powitać cię, droga Ann, wraz z twoimi córkami, w moich progach.

To dziwne, ale udało jej się nadać swoim słowom ton rozkazu. I założyłam się, że nikt inny na świecie nie wyglądał na mniej uradowanego niż ona, kiedy mówiła: „bardzo cieszyłabym się”.

Ernest był chyba tego samego zdania.

– Jeśli ty... – zaczął, marszcząc czoło, ale mama weszła mu w słowo.

– To takie miłe z twojej strony, Philippo – powiedziała serdecznym tonem. – Chętnie przyjdziemy, prawda, dziewczynki?

Upłynęło kilka sekund, ale ponieważ mama spoglądała na nas z tak wielką nadzieją, przemogłyśmy się w końcu i potaknęłyśmy z uśmiechem.

Trudno, w Święto Trzech Króli pójdziemy na angielską herbatkę i damy się zlustrować gronu starszych pań. Przeżyłyśmy już gorsze rzeczy.

Pani Spencer z zadowoleniem łyknęła herbaty. Pewnie by się nią udławiła, gdyby wiedziała, że Święto Trzech Króli będzie dniem śmierci Mr Snugglesa i że właśnie zaprosiła do siebie jego morderczynie. One zaś kompletnie nie miały pojęcia, kim w ogóle był Mr Snuggles. W błogiej nieświadomości sięgnęłyśmy po cynamonowe gofry.

Raz byliśmy nawet na cmentarzu, dokładnie na Highgate, żeby sprawdzić, czy po historii z Arthurem i Anabel nie pozostał mi uraz do takich miejsc. Nie pozostał. Na cmentarzu było fantastycznie. [wróć]

Przebywając z nią, człowiek siłą rzeczy przyswajał mnóstwo dziwnych słów. Zdegustowany. Resentymenty. Afront. Zachnąć się. Morwa. National Trust. Degrengolada. Mezalians. Wszystko to były wyrazy, których jeszcze trzy tygodnie temu bym nie użyła, a teraz bez trudu przechodziły mi przez usta. [wróć]



Blog Frognal Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

25 grudnia

Merry Christmas, everybody! Jak tam ferie? Korzystacie ze swobody? Pod choinką znaleźliście to, o czym marzyliście? Niestety, nie każdy. U Porterów-Peregrinów były zgrzyty. Persefona się pobeczała, bo zamiast upragnionego prezentu wypakowała nieduży zegarek od Cartiera. Tylko co jej biedni rodzice mieli począć? Jasper Grant przecież nie dałby się owinać w papier w mikołaje, prawda? Ach, rozumiem ją doskonale. Już teraz tęsknię za Jasperem. Bez niego to już nie będzie to samo! Cały długi trymestr we Francji – tylko po to, by spróbować uratować jakoś ocenę końcową z francuskiego – a czy on w ogóle pomyślał o nas? Kto zamiast niego będzie dostarczał materiału na soczyste imprezowe skandale? I jak Frognal Flames mają wygrać mecze rewanżowe bez (prawie) najlepszego gracza? Drużyna i tak jest już

mocno osłabiona po tym, jak zdjęli Arthura Hamiltona z funkcji kapitana. I nie, jeszcze nie wiem, co takiego wydarzyło się po jesiennym balu i dlaczego Arthur poprzytykał się z Jasperem, Graysonem Spencerem i Henrym Harperem, więc przestańcie zasypywać mnie e-mailami z tego powodu. Ale już ja się dowiem, a wtedy natychmiast was o tym powiadomię, słowo!

Aktualnie w Londynie jest dosyć spokojnie, choćby dlatego, że Hazel-mam-dosć-bycia-obiektym-drwin-Pritchard pojechała w odwiedziny do babci na Jersey i nie biega po Hampstead, sapiąc jak lokomotywa. Dyrektorka Cook przebywa w Kornwalii, podobnie jak mniej więcej jedna trzecia wszystkich uczniów (hej, czy jest tu w ogóle ktoś, kto NIE MA wiejskiego domku w St. Ives?), a pani Lawrence poleciała na Lanzarote. Zupełnie tak samo jak pan Vanhagen, notabene. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

A wy? Jak spędzacie ferie? Siedzicie w domowych pieleszach, tak jak bliźniaki Spencerów? Chętnie uchyliłabym rąbka tajemnicy i powiedziała, co robię, ale wtedy odgadlibyście, kim jestem, a wówczas nie byłoby już tak ciekawie. Pogódźcie się z tym – nigdy się nie dowiecie.

Do zobaczenia!

Wasza **Secrecy** w megaświątecznym nastroju

PS À propos świąt: Liv i Mia Silver pojechały do Zurychu odwiedzić ojca, nie będzie ich całe dziesięć dni – ale wątpię, żeby Henry bardzo tęsknił za swoją dziewczyną. Łączy ich raczej platoniczny związek: są parą już od kilku tygodni, a nadal ze sobą nie spali. Tylko całuski i trzymanie się za rączki... Hm, co o tym sądzić? Ponieważ wiemy, że Henry Harper raczej nie słynie z powściągliwości, wina leży pewnie po stronie Liv. Czy jest pruderyjna? Oziębła? A może należy do jakiejś wspólnoty religijnej, w której seks przedmałżeński jest zabroniony? Albo po prostu jest trochę niedorozwinięta jak na swój wiek, biedaczka.



Podczas schodzenia do lądowania poszukałam ręki Mii, bo przebijający się przez pokrywę chmur samolot wykonał kilka gwałtownych skoków w stylu „zaraz się rozbijemy”. Ale po wyjściu z chmur zobaczyłyśmy pod sobą Tamizę i zaśnieżony Londyn, a dręczący mnie niepokój zamienił się w czystą radość.

Mia ścisnęła moją dłoń.

– Nie bój się, nic nam się nie stanie. Ale następnym razem mogłabyś sporządzić testament i zapisać młodszej siostrze cały swój majątek, tak dla poprawienia nastroju.

– Po pierwsze, w przypadku katastrofy samolotu byłabyś tak samo nieżywa jak ja, a po drugie, nie mam nic, co mogłabym zapisać ci w testamencie.

– Zapominasz o gitarze i prezencie świątecznym od ciotki Gertrudy. – Mia zaśmiała się złośliwie.

– Nie, przepraszam bardzo, chciałabym zostać pochowana razem z nimi.

W kwestii prezentów nasza amerykańska ciotka jak co roku przeszła samą siebie: Mia dostała karetkę Barbie (do kompletu z Gołącym

się Kenem?) zaprzęzoną w różowego pegaza, a ja zestaw do hodowli triopsów, czyli prehistorycznych skorupiaków. Obydwa prezenty jak zwykle bardzo nam się przydadzą.

Już dawno przestałyśmy mieć jakiegokolwiek oczekiwania w kwestii prezentów choinkowych – z jakichś powodów Święty Mikołaj niezbyt nas lubił. W tym roku też nie przyniósł pilnie potrzebnych smartfonów, które zastąpiłyby nasze przedpotopowe komórki. Zamiast tego byłyśmy teraz posiadaczkami niezwykle stylowych pokrowców na przedpotopowe komórki, ręcznie wykonanych z filcu przez Lottie.

– Zastanawiam się, po kiego grzyba muszę co roku pisać ten idiotyczny list do Świętego Mikołaja, skoro i tak nigdy nie dostajemy tego, co byśmy chciały – powiedziała Mia. – W każdym razie nie przypominam sobie, żebym wspominała w liście o jakimś plastikowym koniu ze skrzydłami. Albo o doświadczeniach z pogranicza śmierci na wyciągu krzeselkowym.

– Albo o siniakach na całym ciele – dodałam.

– Co takiego niezrozumiałego jest w noktowizorze, zestawie pluskiew i rudej peruce z grzywką? – Mia prychnęła żałośnie. – Zamiast tego człowiek dostaje sweter, poduszkę, płyty DVD i wyjazd na narty! I jeszcze musi udawać, że się cieszy! Pomyśl tylko, ile smartfonów tata mógłby kupić za te pieniądze.

– Wystarczyłby mi jeden – zapewniłam ją. Ze swojej komórki nawet nie mogłam dzwonić z zagranicy. A to oznaczało, że od dziesięciu dni nie słyszałam głosu Henry’ego. W każdym razie nie przez telefon.

Ostatni raz jeździłyśmy z Mią na nartach osiem lat temu. Dlatego kiedy tata pierwszego dnia zabrał nas na szczyt, byłyśmy strasznie spięte. Tata przekonywał, że z jazdą na nartach jest jak z jazdą na rowerze – tego się nie zapomina. Cóż – zdołałyśmy doszczętnie obalić jego tezę. Byłam chyba pierwszą osobą, która pokonała trasę narciarską zawodów Pucharu Świata w slalomie gigancie od samego początku do samego końca na tyłku. Tata pękał ze śmiechu i ochrzcił moją pupę mianem *Chuenisbär gli*¹. Tym samym zagrał mi na ambicji i następnego dnia leżałam już tylko przez połowę czasu spędzonego na stoku.

Ostatniego dnia spokojnie zostawiłam tatę daleko w tyle. Płacąc jednak za to wysoką cenę.

Przynajmniej już nie kuśtykałam, kiedy ciągnąc walizki, minęłam bramkę, zakwasy też nie dokuczały mi aż tak bardzo.

Z daleka, zanim jeszcze dojrzałyśmy mamę, usłyszałyśmy jej wołanie: „Huhu, tu jesteśmy”, a co dziwne, wcale mi nie przeszkadzało, kiedy u jej boku zobaczyłam Ernesta. Widocznie nie tylko pogodziłam się już z tym, że stał się częścią naszego życia, ale najwyraźniej w ciągu ostatnich czterech miesięcy musiałam go polubić. Byłam tylko ociupinkę rozczarowana, że Henry się nie pojawił. Powiedział, że przyjedzie po mnie na lotnisko.

– Ależ wy wyglądacie, jakie wypoczęte! – zdumiała się mama, kiedy już nas wyściskała. – Rumiane i krzepkie jak szwajcarskie dziewczoje.

– To są odmrożenia – wyjaśniła Mia. – Przy odrobinie szczęścia już nigdy więcej nie będziemy musiały używać różu.

Mama się zaśmiała.

– Ach, ależ się za wami stęskniłam – powiedziała. Wyglądała fantastycznie, choć znowu odwiedziła tego fryzjera, który był odpowiedzialny za fryzurę Kamili, księżnej Kornwalii. Miałam nadzieję, że ja w jej wieku też będę tak dobrze się prezentować. Oczywiście pomijając fryzurę.

Chociaż bardzo się starałam, nigdzie nie mogłam dostrzec ciemnej, zmierzwionej czupryny. Powoli zaczynałam być troszkę więcej niż rozczarowana. A może Henry pomylił lotniska?

Ernest, dżentelmen w każdym calu, wziął od nas walizki.

– Tym razem nie przywiozłaś sera? – zapytał, puszczając do mnie oko.

– Miałyśmy dla was Toblerone, ale Mia pożarła ją jeszcze przed odlotem.

– Kabel!

– Lepszy kabel niż obżartuch!

– Zaraz cię kopnę w twój *Chuenisbärgli*! – zagroziła Mia.

Mama westchnęła.

– Jeśli się dobrze zastanowić, to bez was było tak spokojnie.

Chodźcie już! Lottie załadowała do piekarnika buchtę według przepisu swojej babci, a podobno trzeba je jeść jeszcze ciepłe.

Chociaż nie miałyśmy pojęcia, czym są buchty, pośpieszyłyśmy się. Stęskniłyśmy się za potrawami Lottie. Na dłuższą metę jedzenie *raclette* dzień w dzień robiło się nudne. Podczas gdy my spędzałyśmy ferie w Szwajcarii, Lottie odwiedziła rodzinę i przyjaciół w Bawarii, a wracając stamtąd, zawsze przywoziła w bagażu mnóstwo nowych, wspaniałych przepisów o dziwacznych nazwach i aż się paliła, by je wypróbować. Nie istniało nic piękniejszego niż testowanie potraw i wypieków Lottie.

W drodze do domu mama i Ernest opowiadali, co słyhać (właściwie to nic, ale mimo to dziwnie nie zamykały im się buzie), Mia zaś chwaliła się narciarskimi przygodami. Ciut przy tym przesadzała – nie wisiałyśmy na wyciągu krzesłkowym pół dnia, tylko kwadrans i wcale nie było ciemno, kiedy pogotowie górskie nas uratowało, ściągając nas po linach, tylko wyciąg po prostu ruszył dalej, ach, i w rzeczywistości nie było tam żadnego psa ratowniczego. Ale, hej, o ileż to było ciekawsze od opowieści mamy i Ernesta. Pozwoliłam siostrze radośnie zmyślać, włączyłam komórkę i poszukałam SMS-a od Henry'ego. Znalazłam wiadomość od operatora sieci, który informował mnie, że znajduję się w Wielkiej Brytanii, oraz jedenaście wiadomości od Persefony, która tęskniła za swoim jeszcze-nie-ale-może-kiedyś-chłopakiem-Jasperem i przeklinała francuskie uczennice. Henry nie napisał.

Hm. Czy powinnam się martwić?

W ciągu ostatnich dziesięciu dni nie spotykaliśmy się we śnie tak często, jak planowaliśmy... I to z mojej winy, a właściwie z powodu niezwyklej mieszanki ruchu, świeżego górskiego powietrza i *raclette*, wszystkiego w nadmiarze. Spałam tak głęboko, że następnego dnia nie mogłam nawet przypomnieć sobie, czy w ogóle widziałam swoje drzwi. Całkiem możliwe, że Henry był zły z tego powodu. Ale przecież ja często czekałam przed jego drzwiami, kiedy on nie przychodził. We śnie nie można się było umówić co do minuty – no bo kto śni zgodnie z rozkładem jazdy?

Pod choinkę Henry dał mi jednego z tych japońskich kotów z uniesioną łapką na szczęście. Co byłoby całkiem OK – uważam, że to zabawne stworzenia – gdyby nie fakt, że ja poświęciłam około tysiąca

godzin mozolnej pracy na wykonanie pozytywki grającej melodyjkę
Dream a little

dream z moją fotografią na wieczku. Pozytywka była w kształcie gwiazdy. Może nie powinnam tego robić. Pudełeczko dosłownie krzyczało „Kocham cię!”. Nie byłam pewna, co miał mi powiedzieć upominek za sześć pięćdziesiąt z azjatyckiego sklepu.

Gapiłam się przez okno i rozważałam, czy wysłać Henry’emu SMS-a („Wróciłam, gdzie jesteś?”), ale uznałam, że nie. Londyn wyglądał z przestworzy jak obrazek z kiczowatej śnieżnej kuli, z dachami, drzewami i ulicami posypanymi połyskliwym cukrem pudrem, ale na dole nie było widać ani trochę sypkiego brokatu. Błoto pośniegowe nie ma w sobie nic romantycznego, a dokładniej rzecz biorąc, nie jest nawet białe. Gdyby ktoś chciał opisać mój nastrój, to „błoto pośniegowe” byłoby najwłaściwszym określeniem. Bezmiar szczęścia i radosnego podekscytowania, które odczuwałam w chwili przylotu, równał się bezmiarowi przygnębienia, jakiego doświadczałam, gdy wysiadałam z samochodu zaparkowanego przez Ernesta na podjeździe jego, pardon, naszego domu. Niestety, mój nastrój nie poprawił się, kiedy drzwi otworzyła nam akurat Emily, dziewczyna Graysona. Była mniej więcej ostatnią osobą, którą chciałam teraz widzieć.

– Ach, jesteście już – powiedziała Emily. Wyglądała przy tym równie radośnie jak ja. Obiektywnie rzecz biorąc, była śliczną dziewczyną o błyszczących, gładkich brązowych włosach i ładnej cerze, wysoką i wysportowaną, ale nie

mogłam nic na to poradzić, że kojarzyła mi się ze złą guwernantką z jakiegoś filmu kostiumowego, coś w stylu panny Rottenmeier z *Heidi*. I z koniem jednocześnie. Czyli końska guwernantka. Wyglądała nad wiek poważnie, na pewno nie na swoje osiemnaście lat, a to za sprawą dystyngowanych, pozapinanych pod samą szyję strojów, a także szczególnego, wszystkowiedzącego i wyniosłego spojrzenia, którym zwykła każdego mierzyć. Przez jedną nanosekundę kusiło mnie, żeby obrócić się na pięcie i odejść. W tym momencie jednak do przedpokoju wpadła, powiewając uszami, Buttercup, a za nią wylegli Grayson, Florence i Lottie.

Oraz ktoś o promiennych szarych oczach i sterczących na wszystkie strony ciemnoblonde włosach. Z ulgi prawie zaczęłam płakać. Henry.

Odsunął Emily na bok i wziął mnie w ramiona.

– Hej, wróciłaś, moja serowa panienko – mruknął w moje włosy.
– Bardzo się za tobą stęskniłem.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się dużo mocniej, niż to było konieczne.

– Ładnie pachniesz – wyszeptałam. Wprawdzie to nie było do końca to, co chciałam powiedzieć, ale pierwsze, co przyszło mi na myśl.

– To nie ja, tylko to coś o niemieckiej nazwie nie do wypowiedzenia, co upiekła Lottie. – Henry nie kwapił się, żeby wypuścić mnie z objęć. Jeśli o mnie chodzi, to właściwie nie musiał tego robić, nigdy więcej. Głupio tylko, że nie byliśmy sami.

– Wszystkich zaprosiłam! – zawołała Lottie. Nawiasem mówiąc, miała na stopach pantofle z filcu, uszyte na święta dla Charlesa. W ostatniej chwili postanowiła jednak mu ich nie dawać. Bo, jak powiedziała, niektórzy nie doceniają własnoręcznie wykonanych prezentów. Była to mądra decyzja, ponieważ Charles dzień przed Wigilią wręczył jej czekoladowego mikołaja w sreberku. Małego mikołaja. W porównaniu z nim nawet japoński kot wyglądał niczym karatowy brylant.

– To spontaniczna impreza pod hasłem „Witajcie w domu małe narciarskie zajaczki”! – Lottie popatrzyła na nas promiennie. Jeśli miała jeszcze złamane serce z powodu Charlesa, to umiejętnie to maskowała.

– Zaśpiewalibyśmy piosenkę na waszą cześć. – W głosie Florence brzmiała wyraźna drwina. – Ale co, do licha, rymuje się z „zajaczki”?

– Strączki – podsunął Grayson.

– Głupie – powiedziała Emily, a ja bez patrzenia wiedziałam, jaką ma przy tym minę.

– Nie, „głupie” się nie rymuje. Ale rączki. I bolączki
– kontynuował Grayson, a ja zaczęłam idiotycznie chichotać w sweter Henry’ego. Ach, pięknie znowu być w domu. – I zielone łączki.

– Pajączki budzą się ze śpiączki, a bączki drżą z gorączki – dodała Mia. – A papużki nierozłączki wcinają pączki. – Dała mi kuksańca

w plecy. – Hej, wy, nierozłączki, tarasujecie drogę, a tam czekają buchty.

Buchty okazały się ogromniastymi, puszystymi drożdżowymi bułami z chrupiącą skórką, nadziewanymi musem śliwkowym. Życie w ciągu dwudziestu minut stało się po prostu cudowne. Siedziałam w kuchni z najukochańszymi ludźmi, piłam gorącą czekoladę i jadłam przepyszne wypieki – w tej chwili nie mogłam sobie wyobrazić niczego piękniejszego. Wszyscy gadaliśmy jeden przez drugiego: Mia dalej (z pełną buzią) zmyślała bujdy o wyjeździe narciarskim, Florence trajlowała o prywatce, którą planowali razem z Graysonem z okazji swoich osiemnastych urodzin w lutym, a Lottie opowiadała o bawarskim kremie, który zamierzała wyczarować dla nas jutro. Nie musiałam nawet puszczać dłoni Henry’ego, nadal trzymaliśmy się za ręce pod stołem, słuchaliśmy, śmialiśmy się i wymienialiśmy wymowne spojrzenia. Po drugiej buchcie byłam pewna, że za moment pęknę ze szczęścia. Może nie tylko ze szczęścia – buchty smakowały wprawdzie puszyście i lekko, ale puchły w żołądku i dwukrotnie powiększały swoją objętość. Czułam, jak na mojej twarzy wykwita szeroki, błogi uśmiech.

I wtedy perfekcyjne dwadzieścia minut dobiegło końca.

– Jestem pod wrażeniem, jak spokojnie to przyjmujesz, Liv – oznajmiła siedząca naprzeciwko Emily. Zjadła zaledwie pół buchty, i to nożem i widelcem, co oznaczało, że nie trzymali się z Graysonem za ręce pod stołem. – Nie podejrzewałam cię o to, szacun.

O co jej chodziło?

– No cóż, my z rodu Silverów jesteśmy odporni – odparłam ostrożnie. – Ale coś mi się zdaje, że nie dam rady pochłonąć trzeciej buchty. Więc to raczej Grayson powinien ci imponować. O ile dobrze liczę, właśnie je czwartą.

– Piątą – poprawił z pełną buzią Grayson. – Jedną mogłem zjeść przedtem...

– Nie podziwiam cię z powodu liczby kalorii, które pochłaniasz, Liv, tylko twojego stoicyzmu – wpadła mu w słowo Emily.

Stoicyzm – tego słowa użyła ostatnio Bochra (skarżyła się, że bezpowrotnie go utraciła w obliczu faktu, iż Ernest i mama są teraz parą), stąd wiedziałam, co oznaczało: równowagę, opanowanie,

niewzruszoność.

– W odniesieniu do czego? – zapytałam podejrzliwie.

Henry ścisnął moją dłoń trochę mocniej i zaczął się zbierać do powstania.

– Może pójdziemy na górę do twojego pokoju i... eee...
rozpakujemy walizkę?

Emily bez drgnienia powiek odwzajemniła moje spojrzenie, całkowicie ignorując fakt, że Grayson świdrował ją wzrokiem, jakby chciał ją nabić na widelec.

– Em – rzucił ostrzegawczo.

– No co? Tylko mówię, że ją podziwiam. – Emily nadal patrzyła mi prosto w oczy. – Nie sądzę, aby inni byli w stanie zachować taki spokój, gdyby ich życie seksualne stało się przedmiotem dyskusji na forum. – I dodała, uśmiechając się lekko: – A właściwie brak życia seksualnego.

Henry jęknął cicho i przestał mnie ciągnąć za rękę, Grayson zaś z głośnym brzękiem upuścił widelec na talerz, aż mama, Lottie, Florence i Ernest, pogrążeni w rozmowie na drugim krańcu stołu, zamilkli. Na sekundę zrobiło się cicho jak w kościele.

– Słucham? – zapytała Mia w moim imieniu. Byłam jej bardzo wdzięczna, że odezwała się zamiast mnie. – Kto i gdzie dyskutuje na temat życia seksualnego Liv?

– Życia seksualnego? – powtórzyła jak echo mama. Na to hasło zawsze czujnie nadstawiała uszu.

– No jak to, chyba każdy we Frognał. – Emily odchyliła się do tyłu i skrzyżowała ręce na piersi. – Oni nie mają żadnych innych zainteresowań. Jeśli cię to pocieszy, większość nie sądzi, że jesteś oziębła.

– Słucham? – zapytała Mia powtórnie, a mama powtórzyła jak echo:

– Oziębła?

Z trudem przełknęłam ślinę.

Florence westchnęła.

– Em! Liv chyba jeszcze tego nie widziała. – Przypatrywała mi się współczująco. – Czy na wyjeździe zaglądałaś do Internetu?

Pokręciłam powoli głową. Ze stoicyzmem, można powiedzieć.

– Ach tak. – Emily ponownie pozwoliła sobie na lekki uśmiech. – Myślałam, że Henry już dawno ci o tym powiedział.

Nie. Nie powiedział. Czymkolwiek było „to”.

– Nie miałem jeszcze okazji – wyznał Henry. – Poza tym Liv jest ponad to. To tylko idiotyczne plotki, którymi nikt się nie interesuje.

– Jasne, Secrecy udostępniła tylko dwieście czterdzieści dwa komentarze pod swoją notką... – oświadczyła Florence.

Mia zerwała się i chwyciła iPada Lottie z kredensu. Słuszny krok. Ja też powinnam w końcu porzucić swój godny podziwu stoicyzm. Puściłam dłoń Henry’ego i wstałam.

– Tak jak mówiłem, to tylko jakieś nieciekawe plotki – powtórzył Henry.

– Absolutne nudy – zawtórował mu Grayson. – Mogę dostać jeszcze jedną buchtę, Lottie?

– Och – rzekła Mia z wzrokiem utkwionym w iPadzie. – A. Niech. To. Cholera.

Wyjęłam jej tablet z ręki i przebiegłam wzrokiem post Secrecy. Jedna nienawistna szpila za drugą, jak zawsze. Biedna Hazel Pritchard, Secrecy szczególnie się na nią uwzięła². Ach, o mnie i Henrym było w postscriptum. „... są parą już od kilku tygodni, a nadal ze sobą nie spali”.

Taa, to się akurat zgadzało. Skąd ona to wiedziała? A może po prostu zgadywała?

„Tylko całuski i trzymanie się za rączki... Hm, co o tym sądzić? Ponieważ wiemy, że Henry Harper raczej nie słynie z powściągliwości, wina leży pewnie po stronie Liv”.

Co to niby miało znaczyć, że Henry nie słynie z powściągliwości? Mnie wcale nie wydawał się taki powściągliwy. I ja też nie byłam. Ale przecież nie trzeba wszystkiego robić na łapu-capu.

„Czy jest pruderyjna? Oziębła? A może należy do jakiejś wspólnoty religijnej, w której seks przedmałżeński jest zabroniony? Albo po prostu jest trochę niedorozwinięta jak na swój wiek, biedaczka”.

Aha. Phi. No, skoro tak. Może rzeczywiście byłam trochę

niedzisiejsza. I co z tego?

Uniosłam głowę z niejaką ulgą i uśmiechnęłam się szeroko do Henry'ego.

– Macie rację. To naprawdę totalnie nudne, nieciekawe plotki.

Henry odwzajemnił uśmiech, a Grayson z zadowolonym pomrukiem wziął sobie kolejną buchtę. Lekki uśmiech Emily wyglądał na odrobinę skwaszony, ale może się myliłam – w końcu ona zazwyczaj wyglądała na skwaszoną. Florence, mama, Ernest i Lottie podjęli rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Czułam tak wielką ulgę, że znowu obudził się we mnie apetyt. Może by tak jeszcze malutką buchtę...

– Nie ciesz się za wcześnie – ostrzegła mnie Mia i dotknęła palcem wskazującym ekranu. Pomiędzy komentarzami internautów jeszcze raz odezwała się Secrecy.

„Nie bądźcie tak bardzo surowi dla biednej Liv – rola lubianej dziewczyny jest dla niej całkiem nowa. Jeszcze nie tak dawno temu należała do tego rodzaju uczennic, którym zanurzano głowę w sedesie. Biedulka mogłaby dokładnie opisać wam wnętrze muszli klozetowej w szkole w Berkeley”.

– Skąd ona o tym wie? – zapytała cicho Mia.

– Nie mam pojęcia. – Uśmiech spelzł z mojej twarzy. Jeśli o mnie chodzi, to Secrecy i cała szkoła mogli dywagować o moim życiu seksualnym, ile chcieli, ale ta historia z Berkeley była tajemnicą, której nie znała nawet moja mama. Nie licząc czterech dziewczyn, które zanurzyły moją głowę w kiblu, wiedziały o tym tylko Mia i Lottie.

Oraz... Henry.

Powoli odwróciłam głowę, by na niego spojrzeć. W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

Chuenisbärgli – znajdująca się w Alpach Berneńskich trasa narciarska, uchodząca za najtrudniejszy tor slalomu giganta na świecie (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Dlatego Hazel również znajdowała się na sporządzonej przez Mię liście podejrzanych – Mia miała bowiem teorię, że Secrecy była na tyle cwana, że nie cofała się nawet przed kompromitowaniem samej siebie, byle tylko chronić swoją tożsamość. [\[wróć\]](#)



We śnie biegłam po Frognal Academy, a wszyscy gapili się na mnie, chichotali i szeptali między sobą. Na klatce schodowej minęła mnie z wdziękiem Emily, kłusując na grzbiecie rasowego gniadosza, i zawołała:

– Nie bądźcie tacy surowi dla biednej Liv. Przecież to nie jej wina, że Henry nie chce z nią sypiać.

Na szczęście w tym momencie dostrzegłam w ścianie korytarza zielone drzwi i uświadomiłam sobie, że to tylko sen.

– Ona jest po prostu trochę niedorozwinięta pod względem fizycznym i duchowym – powiedziała Emily.

Rozzłościło mnie, że miała czelność obrażać mnie w moim własnym śnie. Czy nie oznaczało to w gruncie rzeczy, że to moja podświadomość wygadywała te niecne rzeczy o mnie? Absolutnie nie mogłam na to pozwolić. Jednym gestem zlikwidowałam konia i Emily klapnęła boleśnie na kamienną podłogę.

– Au! – oburzyła się.

– Liv! Zwariowałaś? – Florence pomogła przyjaciółce wstać.

– Mogła zrobić sobie krzywdę.

– Mój sen, moje zasady! – oznajmiłam i chwyciłam za klamkę.
– I mam głęboko w *Chuenisbärgli*, co ludzie o mnie myślą. – Jedno pstryknięcie i Emily, Florence i wszyscy inni zamienili się w bańki mydlane. Szybowały w powietrzu i jedna po drugiej pękały z cichym „plop”. Zadowolona wymknęłam się przez zielone drzwi na korytarz.

– Aktywacja protokołu bezpieczeństwa Mr Wu – powiedziałam cicho. Kiedy nikt nie słuchał, lubiłam rozmawiać z drzwiami jak na pokładzie statku „Enterprise”. Zwariowane było to, że niedawno bez mojego udziału drzwi bardzo się zmieniły. Początkowo były soczyście zielone i wyglądały jak drzwi przytulnego wiejskiego domku w Cotswolds. Ostatnimi czasy wzbogaciły się o kapitele po obu stronach, doszedł także dodatkowy świetlik. Nadal były zielone, ale nie była to już głęboka zieleń, tylko świeży odcień mięty, i teraz bardziej pasowały do tajemniczej wiktoriańskiej willi niż do wiejskiego domku.

Zmiany te przypisywałam metamorfozie, którą sama przeszłam. Podobne zjawisko zaobserwowałam także w przypadku innych drzwi w tym labiryncie. Niektóre zmieniały jedynie kolor, z innych obłaziła farba, jeszcze inne całkowicie zmieniały kształt i wielkość. Podejrzałam, że wiązało się to ze stanem ducha ich właścicieli. Orientowanie się w tym wszystkim było dosyć trudne, drzwi dodatkowo bowiem nieustannie wymieniały się miejscami.

Klamka w kształcie jaszczurki jednak została. Zwierzątko mrugnęło do mnie jednym okiem, kiedy delikatnie zamykałam za sobą drzwi. W samą porę, by dostrzec znikającą za rogiem zmierzwioną czuprynę Henry’ego. Chciałam go zawołać, ale zrezygnowałam – któż to wie, jak głośno odbijało się echo w korytarzach i kogo lub co mogło zwabić? Poza tym dokąd, do cholery, zmierzał Henry? Jego drzwi znajdowały się dokładnie naprzeciwko moich i byliśmy ze sobą umówieni. W tym właśnie miejscu. I to akurat teraz, o ile się nie myliłam.

Postanowiłam iść za nim, w końcu miałam na głowie ważniejsze rzeczy niż sterczenie tu jak parasol i czekanie na niego. Przykładowo porozmawiać z nim wreszcie. I to naprawdę porozmawiać, a nie tylko się obściskować.

Bezszelestnie – byłam boso – pobiegłam za nim. Po południu nie

mieliśmy już okazji, by pogadać o tym, skąd Secrecy znała historię ze szkolną łazienką w Berkeley. Henry zaraz po telefonie wyszedł, żeby odebrać młodszego brata. Od kolegi, jak powiedział.

– A nie może tego zrobić twoja mama? – zapytała Emily. Cieszyłam się, że to nie ja zadałam to pytanie, bo chyba nie przeżyłabym pogardy w spojrzeniu Henry’ego, którym zmierzył Emily.

Ona jednak zupełnie to zignorowała. Kiedy Henry wyszedł, zwróciła się do Graysona:

– Sądziłam, że pani Harper ma pod kontrolą ten problem?
– Em! – ostrzegł ją Grayson, dziwnie łypiąc na mnie z ukosa.
– No co? – Emily pokręciła głową, nie rozumiejąc. Grayson chwycił ją za łokieć i pociągnął na stronę.

Problem? Jaki problem?

I wtedy uświadomiłam sobie, że pora porozmawiać z Henrym. Jak niewiele wiedziałam o swoim chłopaku to jedno. A właściwie, jak niewiele mówił mi o sobie. Ale fakt, że nawet Emily była lepiej poinformowana ode mnie, zranił mnie bardziej, niż chciałam przyznać. Kilka razy wahałam się, czy powinnam go przycisnąć i zadać mu wszystkie te pytania, które z biegiem czasu nagromadziły się w mojej głowie, ale w końcu rezygnowałam. W powieściach i filmach bohaterka, która zawsze chciała wszystko wiedzieć, okazywała się opętaną manią kontrolowania żołą i rychło kończyła jako była dziewczyna. W zależności od gatunku filmu lub powieści padała ofiarą przestępstwa i w głębi ducha wszyscy się z tego cieszyli. Ale żołą żołą, a ja musiałam wreszcie się dowiedzieć, na czym stoję.

Korytarz, w który skręcił Henry, wyglądał na pusty, ale wydało mi się, że słyszę kroki dobiegające z lewego odgałęzienia za imponującymi czerwonymi drzwiami, więc przyśpieszyłam. Zaraz powinnam go dogonić.

Rozmowa, a nie przytulanki, przykazałam sobie w duchu. Nie zaszkodzi powtórzyć to kilka razy jak mantrę.

– Aaa! – Wpadłam na coś twardego, a właściwie na kogoś, kto właśnie chciał skręcić za róg, tylko z naprzeciwka.

– Boże święty, Liv! – wykrzyknął ten ktoś, najwyraźniej równie wystraszony jak ja.

Nie był to Henry, tylko Arthur Hamilton. Ten Arthur Hamilton, któremu złamałam szczękę i który razem ze swoją szurniętą dziewczyną chciał zeszłej jesieni przeciąć mi tętnicę szyjną. Ten Arthur, którego od czasu katastrofy na cmentarzu widywałam tylko w szkole i to najchętniej z daleka. Kiedy nasze drogi przypadkiem się krzyżowały, świdrowaliśmy się nawzajem wzrokiem jak dwaj wrodzy generałowie, którzy spotykają się poza polem bitwy, demonstrując siłę i nieprzejednanie.

Poczułam nagłą potrzebę odsunięcia się na bezpieczną odległość. Na groźne spojrzenie generała było już jednak za późno – niestety, patrzyłam jak zalękniona sarenka.

Arthur pierwszy wziął się w garść i przywołał na twarz uśmiech.

Nadal definitywnie był najpiękniejszym chłopakiem wszechświata, o regularnych rysach twarzy, wielkich niebieskich oczach, porcelanowej skórze i złotych anielskich lokach, ale coś się zmieniło. Nie zewnętrznie: po kontuzji nie pozostała nawet blizna, choć Arthur przez wiele tygodni chodził z odrutowaną szczęką. Nie, to była niewidoczna skaza, jakby to, co się stało, zaatakowało otaczającą go tajemniczą aurę, jego perfekcyjny blask zwycięzcy. Jego uśmiech zaś zdecydowanie utracił hipnotyczne oddziaływanie.

– Liv Silver. Szykowne ubranko.

Nie musiałam sprawdzać, żeby wiedzieć, co miałam na sobie – to samo, co w realu: powyciągane spodnie od piżamy w niebieskie ciapki i stary T-shirt Graysona, który uratowałam przed wyrzuceniem na szmaty, ponieważ zdobiąca go panda w różowym tutu wydała mi się zabawna. Pod spodem widniał napis „Za dużo pasztetu do baletu”.

Szlag by to! Dlaczego ganiałam po korytarzach w piżamie? Trzeba było przeistoczyć się w jaguara. Wówczas może Arthur okazałby mi odrobinę więcej respektu.

– Dzięki – odparłam z maksymalną godnością. – Widziałeś Henry’ego? Powinien gdzieś tu być.

– Dlaczego mnie nie dziwi, że wciąż się tu wałęsasz? – Arthur zaśmiał się cicho. – To było jasne, że nie przestaniesz. I co porabiasz? Zakradasz się do snów nauczycieli, żeby dostać lepsze oceny?

Nieglupi pomysł.

– Wiesz, jakoś mi nie leży szpiclowanie. – Jak trzeba, potrafiłam być też wyniosła. Nawet w piżamie. – A ty? Co tu robisz? Przyszedłeś w odwiedziny do starego dobrego demona? Jak mu tam było? Coś na „I”. Coś jak „więcej wody do sauny” po fińsku. Lelua? Lilalu? Luleli?

Choć to naprawdę było śmieszne – *löylyä* rzeczywiście oznaczało „lać wodę w saunie¹” – Arthur przestał się śmiać.

– Ach tak, prawda – powiedziałam przeciągle. – Demona przecież nie ma, Anabel wymyśliła go sobie.

– Anabel – powtórzył Arthur. Zabrzmiało to tak, jakby wypowiedanie tego imienia sprawiało mu fizyczny ból. – Anabel jest chora.

– Co ty nie powiesz – odparłam, siląc się na zawziętość. A może powinnam okazać współczucie Anabel? Pomimo że zwabiła mnie w pułapkę i zdzieliła w głowę żeliwnym świecznikiem? A potem związała, zamierzając spokojnie przeciąć mi tętnicę szyjną, nie zapominajmy. Głupio tylko, że naprawdę jej współczułam. Wiedzieliśmy, że Anabel spędziła pierwsze lata swojego życia w jakiejś podejrzanej sekcie wyznającej kult demonów, razem z matką, która później odebrała sobie życie w szpitalu psychiatrycznym. Nic dziwnego, że kompletnie jej odbiło.

Arthur uważnie mierzył mnie wzrokiem, jakby umiał czytać w moich myślach. Przełknęłam ślinę i nadałam swemu spojrzeniu wyjątkowo ponury wyraz. Jeszcze tego brakowało, żeby Arthur pomyślał, że jestem wyrozumiała dla jego byłej dziewczyny. Albo, nie daj Boże, dla niego. Chociaż – on przecież kochał Anabel, a wiadomo, że ludzie z miłości robią najbardziej szalone rzeczy. A teraz jego ukochana była w zakładzie dla nerwowo chorych, kumple przestali z nim gadać, nawet przestał być kapitanem drużyny koszykarskiej. Biedny A... Chwila! Akurat, biedny! Jeszcze tylko tego brakowało, żebym miała wyrzuty sumienia z powodu jego złamanej szczęki.

– Robiła złe rzeczy, ale... – Arthur zająknął się, a we mnie znowu wezbrała fala współczucia. – To nie ona napisała księgę.

Miał na myśli wyświechtany zeszyt, z którego Anabel zaczerpnęła swoje rytuały zaklinające demona. Spłonął tej samej nocy, której Arthur i Anabel zwabili mnie do rodzinnego grobowca Hamiltonów, by

z podziemnego świata uwolnić urojonego demona Anabel z wykorzystaniem mojej ani trochę neurojonej krwi.

Trauma traumą, ale gdyby Henry i Grayson nie zjawili się w porę, to nóż Anabel pozbawiłby mnie życia. A teraz koniec ze współczuciem i wyrozumiałością.

– Racja, księgę napisał ktoś, kto też był chory – stwierdziłam.

– Być może – przyznał Arthur i zamilkł na kilka sekund. Potem zatoczył ręką krąg w geście, który sprawiał wrażenie zarazem bezradnego i aroganckiego. – Ale w takim razie jak wytłumaczysz to tutaj?

Sama zadawałam sobie to pytanie. Z udawaną obojętnością wzruszyłam ramionami.

– Cóż. Jak to możliwe, że jestem w Londynie, a jednocześnie rozmawiam z moją babcią w Bostonie? Dlaczego brama garażowa otwiera się, kiedy z odległości kilometra wcisnę guzik pilota? Dlaczego ludzie mogą odwiedzać się w swoich snach? Prawdę mówiąc, wszystko to są dla mnie zjawiska niewytłumaczalne. Ale to, że ich nie rozumiem, nie musi oznaczać, że są dziełem demona. Na wszystko jest jakieś naukowe wytłumaczenie.

Arthur uśmiechnął się z wyższością.

– Ach tak? Łudź się dalej, Liv Silver, jeśli jest ci z tym dobrze. I pozdrów ode mnie Henry'ego.

– Dzięki. A ty pozdrów ode mnie demona Lilalumisia, jeśli go spotkasz – odparłam i przybrałam minę wrogiego generała, odwracając się do odejścia. – Muszę lecieć. Do zobaczenia, niestety.

Arthur skinął krótko głową.

– Tak, tego się nie da uniknąć. – I dodał cicho: – Bądź ostrożna, Liv. Nie jesteśmy sami w tych korytarzach.

Oparłam się pokusie obejrzenia się za siebie i powiedzenia mu, że może sobie wsadzić swoją udawaną troskę i ukryte groźby gdzieś, i odmaszerowałam, dobrze wiedząc, że patrzył za mną, prawdopodobnie zatrzymując wzrok na moim tyłku w ciapkowatej piżamie. Poczulałam chęć, by dla efektu przeistoczyć się w jaguara, ale uznałam, że ryzyko, iż znowu mi się nie uda i będę musiała zmykać jako głupi kociak, jest jednak zbyt duże.

Gdzie, do licha, podziewał się Henry? Nigdy go nie było, kiedy był potrzebny.

Wiedziałam to, ponieważ podczas naszego pobytu w Utrechcie Lottie zaprzyjaźniła się z jednym miłym Finem, który nauczył nas rozmaitych, kompletnie nieprzydatnych zwrotów po fińsku. Miał na imię Matti. Ciekawe, co się z nim stało? Był o wiele przystojniejszy od Charlesa, miłośnika czapek i dentysty w jednym... [\[wróć\]](#)



Żeby nie zbłąźnić się przed Arthurem i nie odmaszerować w tym samym kierunku, z którego przyszłam, ruszyłam przed siebie korytarzem i skręciłam raz, żeby zniknąć mu z oczu, w razie gdyby, co mało prawdopodobne, nadal odprowadzał mnie wzrokiem. Na wszelki wypadek powtórzyłam manewr jeszcze raz. Kiedy w końcu zatrzymałam się i ukradkiem obejrzałam za siebie, żadne z drzwi nie wydały mi się znajome. Gdzie ja, do cholery, wylądowałam? Nigdy wcześniej nie zapuszczałam się tak daleko. Może należało nakreślić kredą znaki na ścianach, żeby znaleźć drogę powrotną. Na ramiona wystąpiła mi gęsia skórka, ale zmusiłam się do zaczekania jeszcze chwilkę. W końcu obróciłam się na pięcie i trzy minuty później ostrożnie wyjrzałam na korytarz, w którym wcześniej spotkałam Arthura. Nie było po nim śladu. Ale po Henrym również.

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Arthura. Nie byłam sama? Akurat. Byłam samiuteńka jak palec.

Szybkim krokiem ruszyłam w drogę powrotną. Prawie spodziewałam się, że te przeklęte korytarze zaczną zmieniać układ jak w jakimś labiryncie, ale na szczęście pozostały na swoim miejscu.

Wkrótce z ulgą skręciłam w odnogę, gdzie znajdowały się moje drzwi.

Henry'ego nadal nie było. I co teraz? Czekać na niego czy dać sobie spokój i wyspać się choć trochę? Nie, postanowiłam, że z nim porozmawiam. Nie zamierzałam odkładać tego na kolejną noc.

Moje drzwi były oddalone o niespełna czterdzieści metrów, więc czułam się dość pewnie, by podjąć kolejną próbę przeistoczenia się w jaguara. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się taka umiejętność. Niestety, nie mogłam się skupić, dlatego eksperyment znowu zakończył się klapą. Jedynie moje spodnie od piżamy wzbogaciły się o deseń przypominający futro jaguara. Oraz ogon. Ups. Zakręciłam tyłkiem i zachichotałam. Niezła rzecz taki ogon. Mimo wszystko precz z tym. Zanim jednak zdołałam pozbyć się dodatku, ktoś objął mnie od tyłu ramieniem.

– To dla mnie zrobiłaś się na bóstwo?

Henry. Akurat teraz.

Nie cierpiałam, kiedy zakradał się od tyłu. I byłam wściekła na siebie, że go nie usłyszałam. Kto wie, ile czasu już mnie obserwował, podczas gdy ja idiotycznie wymachiwałam kitą.

Przyciągnął mnie do siebie, a ja prawie uległam, tak wspaniałe to było uczucie. Znajome i słuszne, jakby nie istniały żadne problemy.

– Gdzie ty się podziewałaś? – Próbowałam zwiększyć nieco dystans między nami, ale poniosłam sromotną klęskę. – Przed chwilą spotkałam Arthura. Sam na sam. – Ostatnie słowa wypowiedziałam, mam nadzieję, dostatecznie oskarżycielskim tonem.

Henry obsypał mój przedziałek pocałunkami. To również było cudowne. Niestety.

– Jak dobrze, że w razie czego moja piękna i mądra dziewczyna zna kung-fu– mrucał pomiędzy pocałunkami. – A z tym gepardzim ogonem to w ogóle wszyscy się ciebie piekielnie boją. Co takiego mówił Arthur?

– Jaguarzym – skorygowałam. – To miał być jaguar. A Arthur niewiele mówił, rzucił tylko kilka dziwnych spostrzeżeń. I oczywiście nie śmiał się z moich żartów. Wiesz, co znaczy *löylyä* po fińsku?

Henry zaśmiał się i ujął w dłonie moją twarz.

– „Pocałuj mnie”? – zgadnął, a w jego szarych oczach pojawił się

błysk.

– Nie! – Odsunęłam go od siebie. Rozmowa, nie przytulanki, tak brzmiała moja nowa mantra. Choć w tej chwili wydała mi się wyjątkowo głupia.

Nic mi jednak po tym przy tych wszystkich pytaniach, które mnie nurtowały. Na przykład: Dokąd ci się tak śpieszyło przed chwilą? Albo: Dlaczego jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się u ciebie w domu? Czy mówisz serio, kiedy zapewniasz mnie, że mnie kochasz, a skoro tak, dlaczego nie opowiadasz mi, jakie masz zmartwienia? Dlaczego Grayson i Emily wiedzą coś o twojej mamie i jej problemach? I co miał znaczyć ten japoński kot z uniesioną łapą?

Jednak żadne z tych pytań nie przeszło mi przez gardło.

– Skąd Secrecy wiedziała o tej sprawie ze szkolnym kibelem w Berkeley?

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę, Liv, nie powinnaś przejmować się tym, co wypisuje ta złośliwa bzdziągwa.

– Nie przejmowałabym się, gdyby nie pisała o rzeczach, o których nie mogła wiedzieć. Chyba że... – zamilkłam.

– Chyba że co?

– Chyba że ktoś jej o tym powiedział.

– No – zgodził się Henry, wzruszając ramionami.

– No? Opowiedziałam o tym tylko tobie, Henry. – Zabrzmiało to o wiele poważniej, niż zamierzałam, może nawet ciut zbyt dramatycznie.
– Więc... – Przygryzłam wargę.

Otworzył szeroko oczy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem w zмовie z Secrecy?

Milczałam, wciąż wymownie przygryzając wargę.

Oczy Henry'ego zrobiły się jeszcze większe.

– Och, ty... myślisz, że to ja jestem Secrecy?

Bardzo się starał powstrzymać, lecz w końcu parsknął głośnym śmiechem. Chichotał i rechotał, a to, niestety, było zaraźliwe. Czułam, jak moje kąciki ust się unoszą. Henry nachylił się ku mnie, żeby mnie pocałować.

– Jesteś taka słodka! Kocham cię, Liv! Kocham cię tak bardzo.

A potem przez długi czas nie mówiliśmy nic, a ja posłałam głupią mantrę w niebyt. Czy gdzie tam jest właściwie miejsce dla mantr.

Aż... aż usłyszeliśmy śmiech. Śmiech niczym ze starego dreszczowca, głęboki, z echem i okazałą nutą obłędu. Przetaczał się korytarzem w naszą stronę i był tak sztampowy, że w ogóle nie czułam strachu. Odsunęłam się od Henry'ego, żeby rozejrzeć się za źródłem tego dźwięku. Jeśli to miał być sposób Arthura, by udowodnić, że nie jesteśmy sami, to dość żałosny.

W pewnej odległości dostrzegliśmy w korytarzu jakąś postać, która zdawała się rosnąć na naszych oczach.

– Co to ma być? – zapytał Henry.

Też nie wiedziałam. Przez moment pomyślałam o demonie, ale byłam przekonana, że demon nigdy nie ubrałby się w pelerynę i kapelusz z obwisłym rondem, choćby dlatego, by się nie ośmieszać. A może się myliłam? Postać w kapeluszu – sądząc po sylwetce i głosie był to mężczyzna – zaśmiała się powtórnie, tym razem

bardziej donośnie, a rechot wielokrotnie odbił się echem od ścian.

Uniósł rękę i pomachał, po czym ruszył w naszą stronę, powiewając peleryną.

Czułam się rozdarta. Z jednej strony ciekawiło mnie, kim był przybysz i czego chciał. W końcu nadal śniliśmy, a poza tym miałam przy sobie Henry'ego. Co wielkiego mogło się stać? Z drugiej strony wewnętrzny głos podszeptował mi, że powinnam czym prędzej wziąć nogi za pas.

Mężczyzna był już tylko o kilka metrów od nas.

– Kim jesteście, że ośmielacie się wałęsać po nocnych rewirach senatora Morta Norda? – przemówił.

Postanowiłam posłuchać wewnętrznego głosu.

– Senator Mort Nord? Jak śmierć i północ? – powtórzył Henry. Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam za sobą. Do naszych drzwi nie było już daleko. – Powiedział Nord, czyli północ? – Henry nadal gapił się za siebie. – To śmierć ma teraz rejony?

– Mógłbyś wyjaśnić tę kwestię innym razem? – zawołałam.

– Zaczekajcie! Słyszycie? Ten ton ma odrost. – Senator Mort Nord

podjął pościg, bredząc niezrozumiale. – Ten ton ma odrost!

Z jakiegoś powodu Henry szalenie zainteresował się jego słowami.

– Odrost? – Niechętnie pozwolił prowadzić się dalej. – Co to znaczy?

No nie, jeszcze wdawał się w dyskusje z tym typem! Nie wiedział, że wariatów najlepiej ignorować? Nie zdziwiłabym się, gdyby ścigający nas facet za chwilę wyczarował spod peleryny kosę.

Typ znowu zaniósł się szaleńczym śmiechem. Tym razem zdjął mnie strach.

– Nie zatrzymuj się – ofuknęłam Henry’ego, który ponownie zwolnił.

Tam! Drzwi Graysona. Wyglądały jak zwykle, czyli jak dokładna kopia pomalowanych białą farbą drzwi naszego domu, łącznie z donicami na rośliny i kamienną figurą tłuścioszka zwanego Straszliwym Freddym. Nasz ratunek!

– Czekaście! To ten trans, mordo – zawołał senator Mort. A przynajmniej tyle w pośpiechu zrozumiałam z jego słów. Jedno było pewne, nie zamierzałam czekać.

Miałam nadzieję, że Grayson nie zmienił zabezpieczeń, bo inaczej senator Mort zaraz nas dopadnie. Nachyliłam się ku Freddy’emu i wyszeptałam mu do ucha (miał głowę orła, a zatem nie wiadomo było dokładnie, w którym miejscu powinno się ono znajdować, ale nie było czasu na takie niuanse):

– Ydderf, Ydderf, Ydderf. Tylko szybko! Jesteśmy ścigani!

– Zezwala się wejść – pisnął lekko urażony Freddy. Szarpnęłam za klamkę, wepchnęłam Henry’ego do środka i zatrzasnęłam drzwi, zanim dopadł nas typek w kapeluszu z obwisłym rondem.

– W samą porę! – wysapałam.

Henry nie odpowiedział, a moja ręka zawisła w próżni.

– Henry? To nie jest śmieszne! – Z przerażeniem rozejrzałam się wokół. Po Henrym nie było śladu.



– Proszę opisać aerobowe pozyskiwanie ADB w komórce ludzkiej z uwzględnieniem glikolizy i bilansu ADB.

W pierwszej chwili przeraziłam się, że bredzący senator Mort wśliznął się za nami do snu Graysona, ale pytanie zadał pan Bridgewater, nauczyciel biologii. Znajdowaliśmy się w klasie Frogmal Academy. Poblady Grayson siedział sam jeden przy stoliku. Po przeciwnej stronie zasiadali czterej nauczyciele. Najwyraźniej trwał jakiś egzamin.

– To znaczy, ma pan na myśli aerobowe pozyskiwanie ATP?
– zapytał Grayson i zdeorientowany łypnął na mnie z ukosa.

– ADB – poprawił go pan Bridgewater, a Grayson poblady jeszcze bardziej.

Przy ścianie ustawiono kilka krzeseł dla widzów. Na palcach przemknęłam się do nich i usiadłam obok Emily, starannie drapując na siedzeniu mój ogon jaguara.

Martwiłam się o Henry'ego i jednocześnie byłam na niego zła, przy czym to ostatnie przeważało. Może tylko zamienił się w podmuch powietrza? Wiedziałam, że to potrafił. Albo się obudził. Tak czy siak,

miałam do niego żal, że zostawił mnie samą. Zwłaszcza że, moim zdaniem,

naprawdę mógł traktować tego gościa w obwisłym kapeluszu trochę bardziej serio.

– Jak mu idzie? – szeptem zapytałam Emily o Graysona.

Położyła palec na ustach.

– Pst. Niektórzy chcą się czegoś nauczyć!

Mój ogon drgnął z rozdrażnienia. Nawet we snach Graysona Emily działała jak tłumik. Tłumiła wszelką radość.

– ATP powstaje przez... – zaczął Grayson.

– Nie ATP – przerwał mu pan Bridgewater. – ADB! Proszę nie próbować prześliznąć się po temacie, Grayson!

– Ale... to się nazywa ATP. Adenozynotrójfosforan. Nauczyłem się wszystkiego o ATP i syntazie ATP. Mam narysować...? – W głosie Graysona pobrzmiwała desperacja.

– Młody człowieku, to ci się bardzo chwali, ale my pytamy dziś z ADB – wyjaśnił jeden z egzaminatorów u boku pana Bridgewatera.

– Więc, bardzo proszę, mamy ograniczony czas.

– ADB... ADB... Aaaaadeeeeebeeeee... – Grayson przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

Biedulek. Zawsze śnił takie okropne sny o frajerach. Chętnie bym się wtrąciła, ale wtedy mógłby się zorientować, że to tylko jego sen i – co gorsza – że weszłam do niego bez pozwolenia. Nie, lepiej, jeśli nie będę zwracała uwagi i wymknę się, gdy tylko teren za drzwiami będzie czysty.

– Obawiam się, że nie znam terminu ADB – powiedział w końcu Grayson.

Emily prychnęła.

– Typowe – rzuciła, nawet nie starając się zniżyć głosu.

Grayson łypnął w naszą stronę. Wydawał się tak nieszczęśliwy, że serce ścisnęło mi się z żalu. Uśmiechnęłam się krzepiąco. Niestety, nie wiedziałam ani co to ATP, ani ADB, w przeciwnym razie może potrafiłabym mu jakoś pomóc.

– A zatem nie zna pan terminu ADB? – powtórzył pan Bridgewater

i wymienił zatroskane spojrzenia z kolegami. – No, niech się pan spokojnie zastanowi... Co może oznaczać ten skrót?

Antypatyczny durny Bridgewater. Anakondy dyskryminują banany. Absurdalny drakoński bezzamin...

Grayson westchnął.

– Naprawdę nie wiem. – I dodał nieśmiało: – A co to znaczy?

– O mój Boże! – Pulchniutka nauczycielka po lewej pokręciła głową ze współczuciem. – ADB to antydietetyczny dwuskwarczan boczku. To przecież wie każdy!

– Antydietetyczny dwuskwarczan boczku? – Grayson popatrzył na nią niedowierzająco. – Jakim cudem antydietetyczny dwuskwarczan boczku może być syntetyzowany

w komórkach ludzkich? I co to w ogóle ma wspólnego z biologią?

Miał absolutną rację. To był naprawdę najbardziej idiotyczny sen wszech czasów. Antydietetyczny dwuskwarczan boczku – czy podświadomość Graysona rzeczywiście nie miała na podorzędziu nic lepszego?

– Do tego jest bezczelny! – Pulchna cmoknęła i zwróciła się do kolegów. – Cóż, ja ze swej strony nie zamierzam dłużej trwonić czasu. Moja ocena nie podlega dyskusji. W tym przypadku nie możemy przyznać żadnych punktów.

– Niestety, przychyliam się do tego stanowiska – powiedział zmartwiony pan Bridgewater. – Przykro mi, ale nie zdał pan.

Grayson wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Ale... ale... – szeptał kompletnie załamany.

– Mówiłam ci, że musisz się więcej uczyć – oznajmiła surowo Emily, a w jej głosie słychać było cień satysfakcji. – Mniej balowania i koszykówki, a więcej myślenia o przyszłości!

Chciałam się sprzeciwić, ale naraz wszystko wokół pociemniało. Ziemia usunęła mi się spod nóg i runęłam w ziejącą pustką otchłań.

Grayson obudził się, a ja z łomoczącym sercem poszłam w jego ślady.

Zadyszana usiadłam na łóżku wyprostowana jak struna – nienawidziłam, kiedy to się działo. To przeokropne uczucie lecieć w nicość, w której nie było nawet tlenu i człowiek dusił się w mękach,

spadając w nieskończoność. Prawdę mówiąc, byłam przekonana, że właśnie to się czuje, umierając.

Podświetlone cyfry budzika wskazywały czwartą dziesiątą. Niedziela, szósty stycznia. Ostatni dzień ferii. Niestety, nie zanosіło się na leniuchowanie, tego popołudnia bowiem miała się odbyć słynna herbatka z okazji Święta Trzech Króli u pani Bochry Spencer, a ja wciąż nie wiedziałam, co na siebie włożyć, ponieważ w ferie nie było czasu na przetrząśnięcie szaf mamy i Lottie. Mimo to miałam jeszcze chwilę, żeby pospać, a to wydało mi się w tej chwili o wiele ważniejsze niż kwestia wyboru garderoby. Najpierw musiałam jednak iść do kibelka. Z westchnieniem zwlokłam się z łóżka i poczłapałam do drzwi. Księżyc stał prawie w pełni i na pięterku było dość jasno. Od jakiegoś czasu tak już się przyzwyczaiłam do tego domu, że dotarłabym do łazienki nawet z zamkniętymi oczami, i to nie następując na skrzypiącą deskę w przedpokoju, którą Ernest chciał wymienić od niepamiętnych czasów. Deska pod naciskiem wydawała dość ordynarny odgłos, który Mia porównywała do „ciotki Gertrudy po zupie fasolowej” i z tego powodu często stawała na niej umyślnie. Elegancko ominęłam deskę, w końcu nie chciałam nikogo budzić. Już zamierzałam położyć rękę na klamce drzwi łazienki, kiedy ze środka dobiegł mnie szum splukiwanej wody. Odruchowo zawróciłam, ale przystanąłam, przypomniawszy sobie, że jestem w realnym świecie, gdzie nie grozi mi spotkanie z senatorem Mortem i spółką. Nie mówiąc o tym, że senator na pewno nie myłby rąk tak dokładnie. Niecierpliwie przestąpiłam z nogi na nogę, aż w końcu drzwi łazienki otworzyły się i ze środka wyczłapał Grayson, jak to on, z gołym torsem, w samych spodniach od piżamy (sypiał tak niezależnie od temperatur panujących na zewnątrz). Ale kimże ja byłam, by uskarżać się z tego powodu? Poza tym o tej porze nie nosiłam ani szkieł kontaktowych, ani okularów, więc widziałam go jak przez mgłę.

– Też nie śpisz? – zapytałam uprzejmie. Grayson wydał z siebie okrzyk przestachu. Najwyraźniej nie obudził się do końca i mnie nie zauważył. Mrużąc oczy, próbował skupić na mnie wzrok.

– Liv! Nie strasz mnie.

– Przepraszam.

– Właśnie mi się śniłaś.

– Jakie to słodkie.

Westchnął.

– Nie. To nie był miły sen. Raczej koszmar. Kompletnie zawałem ustny egzamin z biologii! Kiedy mi powiedzieli, że nie zdałem, z przerażenia się obudziłem. Jeszcze wali mi serce.

Bo nie miałaś pojęcia o antydietetycznym dwuskwarczanie boczku – ojej, moja ty mimozo! Ja spotkałam dziś Arthura i senatora Morta, a czy się uskarżam?

– A ty?

– Hm?

– Dlaczego nie śpisz?

– Eee... pełnia jest – odparłam. – Poza tym musiałam siusiu.

– Masz na sobie moją starą koszulkę. – Wzrok Graysona najwyraźniej dostroił się do księżycowej poświaty. – We śnie też byłaś w nią ubrana.

Ups. Grząski teren. Wstrzymałam na chwilę oddech.

– Miałaś ogon – dorzucił z namysłem.

– O... ogon? – powtórzyłam, usiłując nadać głosowi nutę dezaprobaty w stylu Emily. Mogłabym przysiąc, że Grayson się zaczerwienił. W półmroku niewiele jednak było widać.

– Ogon leoparda – wyjaśnił.

Nie, do cholery! Nie leoparda, jaguara!

– Dziwne. – Pokręciłam głową. – Ciekawe, co by na to powiedział wujaszek Freud? A wiewiórka w tym śnie nie występowała?

Grayson nie odpowiedział. A potem odezwał się cicho:

– Liv, chyba już tego nie robicie, co?

Przełknęłam ślinę.

– Co masz na myśli?

– Sny, drzwi... Nie wychodźcie już na ten korytarz, ty i Henry, co? To skończone? – W jego głosie słychać było taką powagę i troskę, że nie byłam w stanie skłamać. Nie wiem, co bym odpowiedziała, gdyby w tym momencie nie rozległ się dźwięk à la „ciotka Gertruda po zupie fasolowej”. Ktoś stanął na desce. To była Mia, w przeciwieństwie do mnie wyglądająca schludnie i słodko w białej koszuli nocnej

z falbankami, którą ciotka Gertruda dała mi pod choinkę trzy lata temu. Nie włożyłam jej ani razu, za to Mia ją uwielbiała, bo czuła się w niej jak pensjonarka z wiktoriańskiej powieści przygodowej. Lottie też ją lubiła, bo uważała, że Mia wygląda w niej jak anioł. I z oddaniem prasowała falbankę po falbance.

– Ja pierwsza – powiedziałam. Mia nic nie odrzekła, tylko ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń minęła nas i skierowała się ku schodom.

– Hej! – zawołałam trochę głośniej. Zero reakcji.

Dokąd ona szła? Do łazienki na parterze?

A może chciała podprowadzić resztki bucht, które zarezerwował dla siebie Grayson?

– Mia? – Coś z nią było nie tak.

– Ona lunatkuje – wyszeptał Grayson. – To się podobno zdarza w czasie pełni.

Oczywiście, miał rację. Mia lunatykowała. Tak jak i ja w dzieciństwie. Trochę chwiejnie, ale z determinacją zaczęła schodzić po schodach. Razem z Graysonem podążyliśmy za nią.

– Może powinniśmy ją obudzić? – zapytałam, też szeptem.

– Lepiej nie. Jeszcze spadnie ze schodów.

Na dole Mia zastygła i przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. Po chwili ruszyła do drzwi wyjściowych.

– Może rzeczywiście powinniśmy ją obudzić – stwierdził Grayson. Mia już naciskała klamkę.

Objęłam ją ramieniem.

– Mia, skarbie, na zewnątrz jest osiem stopni mrozu. Trochę za zimno na spacer bez butów.

Mia popatrzyła na mnie, ale jej spojrzenie przeszło mnie na wylot.

– To jest upiorne – powiedziałam.

Grayson pstryknął parę razy palcami przed nosem Mii, lecz nawet nie drgnęła jej powieka.

W jej dziwnym spojrzeniu nic się nie zmieniło, ale pozwoliła zaprowadzić się z powrotem na górę. Ja wsparłam ją z prawej, Grayson z lewej strony i wspólnymi siłami doholowaliśmy małą wiktoriańską pensjonarkę do jej pokoju. Kiedy przykryta leżała już w łóżku, zamknęła

nagle rozwarte szeroko oczy i wymamrotała:

– Znam pana, panie Holmes. Rozwikła pan tę sprawę.

– Może pan być tego pewien, Watsonie – wyszeptałam i położyłam głowę na poduszce obok niej. Tylko na chwilę.

– To ja zejść na dół i na wszelki wypadek zamknę drzwi na zasuwę, w razie gdyby to się powtórzyło – powiedział Grayson i ziewnął.

– Dzięki. – Idąc za impulsem, ułożyłam się wygodnie obok siostry. Byłam zbyt zmęczona, by wrócić do siebie. Nawet zbyt zmęczona, by jeszcze skorzystać z toalety. – Jesteś naprawdę miły, Grayson.

– Nie poganiaj mnie, Sherlocku – wymruczała Mia.

– Ty też jesteś miła – odparł Grayson. Ale może tylko mi się to śniło.



Lottie oczywiście nie została zaproszona do pani Spencer na tradycyjną herbatkę z okazji Święta Trzech Króli, i dobrze. Bo, po pierwsze, Bochra zaplanowała na ten dzień wyswatanie Charlesa (zdobywcy nagrody za najbardziej romantyczny prezent świąteczny wszech czasów) ze świeżo rozwiedzioną wnuczką swojej przyjaciółki, w czym Lottie tylko by przeszkadzała. A po drugie, Lottie raczej nie byłaby z nas dumna, zaiste nie popisałyśmy się bowiem nawet odrobiną dobrych manier, które nam wpajała.

A wszystko zaczęło się całkiem nieźle. Punktualnie, ubrane stosownie do okazji, nacisnęłyśmy dzwonek do drzwi pani Spencer.

Czułam się wyspana i dzięki temu gotowa do kolejnej potyczki z Bochrą. Mama obudziła mnie dopiero koło południa, kiedy zadzwonił Henry. Chciał mi powiedzieć, że nie został podstępnie zamordowany we śnie przez senatora Morta. Okazało się, że jego młodsza siostra Amy obudziła go akurat w tym momencie, w którym ratowałam nas, wchodząc do snu Graysona. Nie było mowy o spaniu, ponieważ Amy zwymiotowała, i to dokładnie na dywanik przy łóżku Henry'ego. Dziewczynka wprawdzie czuła się już lepiej, ale Henry zakomunikował

mi, że teraz on ma mdłości.

Mimo to umówiliśmy się na kolejną noc – sny miały ten plus, że umożliwiały spotkania także wtedy, gdy człowiek leżał zmożony chorobą, a co najważniejsze, bez groźby zarażenia nawet przy intensywnych pocałunkach. Oczywiście przedtem mieliśmy jeszcze trochę spraw do omówienia, wszak minionej nocy nam to umknęło.

Najpierw jednak musiałam jakoś przetrwać tę herbatkę.

Dom Bochry znajdował się bliżej, niż myślałam, na końcu spokojnej ulicy na wzgórzu nieopodal Golders Hill Park. Był to wyjątkowo piękny, stary dom, jak większość tutejszych budynków wyłożony czerwonym klinkierem, z białymi drzwiami i oknami. Okazał się wprawdzie nieduży, ale otaczała go wielkopańska aura, no i wydał mi się zbyt obszerny dla mieszkającej samotnie starszej pani. Ale może Bochra miała służącą. Albo dwie. I lokaja. Na pewno zaś musiała zatrudniać ogrodnika. Tylko w ogródku od frontu rosły niezliczone bukszpany i cisy przycięte w kule i kolumny. Były uwolnione od czap śniegu i przyszczyżone tak akuratnie, jakby jeszcze rano ktoś obrabiał je nożyczkami do paznokci. Na samym środku sterczał ptak, którego górna połowa przypominała gigantyczną kaczkę albo bociana z nadwagą, dolna zaś pawia, i choć był to tylko krzew bukszpanu, odniosłam wrażenie, jakby mierzył mnie wyjątkowo szyderczym wzrokiem.

– Ogródnik to tu się napracuje – rzekła mama.

– Tak. – Ernest uśmiechnął się trochę z przymusem. – Ogrodnicy często przychodzą tu i odchodzą. Trudno sprostać wymaganiom mamy.

– Wskazał na kaczkobocianopawia. – Nikomu nie wolno strzyc Mr Snugglesa, może to robić tylko ona sama.

Ci Anglicy! Nawet swoim roślinom nadają imiona.

– Zaiste, kunsztownie przycięty... sęp – powiedziała mama.

Przez krótką chwilę uśmiech na twarzy Ernesta nie wydawał się sztuczny, lecz całkiem szczery.

– To paw – sprostował i cmoknął mamę w policzek. – Widzisz, tu ma ogon.

– Och. Naturalnie. Skoro tak, to jest to jednoznacznie paw. – Mama nerwowo poprawiła włosy. Było oczywiste, że straszliwie bała się pani Spencer i jej przyjaciółek, ale w życiu by się do tego nie przyznała,

wręcz przeciwnie, udawała, że wszystko to sprawia jej wielką przyjemność. My z Mią też się trochę obawiałyśmy, ale tylko dlatego, że Grayson, wychodząc, zapytał mimochodem, czy opanowałyśmy wszystkie zwrotki hymnu. U babci panuje bowiem zwyczaj, że w Święto Trzech Króli wszyscy salutują przed portretem królowej, a potem z ręką na sercu grzmiącym głosem odśpiewują hymn.

– Bez obawy, to się dzieje pod sam koniec, kiedy wszyscy mają już mocno w czubie od ponczu pomarańczowego – dodał Grayson. Niezbyt nas to uspokoiło. Gdyby wspomniał o tym hymnie wcześniej, mogłabym przynajmniej wyszukać tekst w Internecie. Teraz w pośpiechu przypominałam sobie tylko początek hymnu Holandii: „*Wilhelmus van Nassouwe / ben ik, van Duitsen bloed*”, ale tym mogłabym zabłysnąć jedynie wówczas, gdyby Bochra zaprosiła jakiegoś Holendra.

Pełną godzinę zmarnowałam na wybór stroju, który zaakceptowała Lottie, a kolejną na odpieranie jej ataków na moje włosy. Na próżno. W końcu uległam i pozwoliłam, by zmajstrowała na mojej głowie skomplikowaną plecioną fryzurę. Lottie twierdziła, że dokładnie tak samo była uczesana Scarlett Johansson na gali rozdania Oscarów, lecz ja uznałam, że moja głowa wygląda jak koszyk na owoce, tylko bez owoców. Nic dziwnego, że paw gapił się tak szyderczo.

– *Oh, say can you see, by the dawn's early light*¹ – zaintonowała Mia. – Tylko że to nie ten hymn, prawda?

– Prawda. Biada ci, jeśli to zaśpiewasz!

Mia uśmiechnęła się szeroko.

– Mam wrażenie, jakbym była w *Dumie i uprzedzeniu*. Pierwsza wizyta u lady Katarzyny de Bourgh... de Bochra – wyszeptwała. Pomimo nocnej wycieczki prezentowała się rześko i różowo, nadal wyglądała niczym szwajcarska góralka. Jej jasne włosy opadały gładko na ramiona, Lottie zaczesła jej tylko grzywkę do tyłu i upięła w formie plecionej malutkiej korony. Chętnie bym się z nią zamieniła. A jeszcze chętniej z Florence, która rozpuściła swe kasztanowe pukle, opadające na bladozieloną sukienkę, którą lady de Bochra i jej przyjaciółki uznały za „absolutnie czarującą”, i słusznie.

Pani Spencer, otworzywszy drzwi, westchnęła głęboko.

– Och, wszyscy przyszliście – przywitała nas ze źle skrywanym rozczarowaniem. – Przynajmniej zostawiliście w domu tego niewychowanego kundla.

– Buttercup nie jest... – zaczęła Mia, ale mama dźgnęła ją łokciem w bok, nakazując milczenie.

– Nie mogliśmy nie skorzystać z tak wspaniałego zaproszenia – powiedziała mama. – Niezmiernie się cieszymy.

Właśnie. I z tej radości aż nam napływają łzy do oczu.

W środku dom sprawiał podobne wrażenie jak oglądany z zewnątrz. Pełno tu było zadbanych antyków, był świątecznie udekorowany kominek, szpinet (naprawdę jak w *Dumie i uprzedzeniu!*) i stół imponująco zastawiony torcikami, ciasteczkami i sandwiczami. Nigdzie nie dostrzegłam zapowiedzianego przez Graysona ponczu pomarańczowego,

były za to piękne stroiki z kwiatów, mnóstwo herbaty w pękatych dzbankach i uśmiechające się uprzejmie starsze panie o ustach pomalowanych koralowymi pomadkami. A także – o nie! – Emily. Grayson wlepił w nią wzrok ze zdumieniem, kiedy zaszczębiotała „Niespodzianka!”. Przewróciłam oczami. Naprawdę nigdzie nie dało się uciec przed Miss Psuje zabawę?

Najwyraźniej nie. Przynajmniej z takiego założenia wychodziła Bestia w Ochrach – dziś notabene ustrojona w dyskretne beże. Jak się okazało, zaprosiła Emily, by sprawić radość Graysonowi i dlatego że „też należy do rodziny”.

Emily i Grayson nie zaprzeczyli, na co znowu przewróciłam oczami. Rozglądałam się dalej – gdzieś przecież musiał być ten poncz. Miałam na niego coraz większą ochotę.

Celem i sensem spotkania najwyraźniej było stanie z filiżanką herbaty w rękę, prowadzenie konwersacji, pociąganie od czasu do czasu łyka napoju i uśmiechanie się. Tylko zaawansowanym udawało się jeszcze coś zjeść. Całej reszcie mogłam sprostać bez trudu.

Jedynie w przypadku Emily miałam niejake trudności z uśmiechaniem się, zwłaszcza kiedy tknęła palcem moją fryzurę, a potem, kręcąc głową z politowaniem, powiedziała:

– Wiesz, Liv, jeśli chodzi o styl, to mniej znaczy czasem więcej.

Miałam w zanadrzu co najmniej cztery cięte riposty², ale w przypadku Emily żarty to strata czasu i atlasu. Zwróciłam się ku innym gościom. Nie było ich zbyt wielu. Jejmoście o koralowych ustach były przyjaciółkami pani Spencer od brydża, znały się od czasów szkoły i jeśli dobrze rozumiałam, nazywały się Bitsy Bee, Tipsy i Cherry. (Miałam nadzieję, że to nie były ich prawdziwe imiona). Cherry przyprowadziła ze sobą wnuczkę, młodą kobietę o imieniu Rebecca, wyglądającą tak, jakby też skrycie marzyła o ponczu. Nic dziwnego, gdyż Cherry (Sherry? Chérie?) wyjaśniła wszystkim, iż Rebecca jest świeżo po rozwodzie i na gwałt potrzebuje nowego mężczyzny, ale tym razem takiego, który spodoba się babci i jej przyjaciółkom. Na przykład stomatologa.

Wszystkie starsze panie były znów singielkami, tylko Tipsy jeszcze nie owdowiała i przyszła w towarzystwie męża. Nachmurzony starzec prowadził ożywioną rozmowę z innym starcem, którego Bochra przedstawiła nam jako „admirala”. Admirał miał bielusienką brodę, budzące lęk krzaczaste brwi i bardzo żołnierską, wyprostowaną postawę, i w ogóle wyglądał, jakby za chwilę miał stanąć twarzą do portretu królowej i zaintonować hymn. Ale, ale, gdzie ten portret? Nad kominkiem wisiała tylko olejna martwa natura z bażantami, upozowanymi malowniczo obok misy winogron. Podczas gdy ja przyglądałam się malowidłu – bażanty istotnie wyglądały na bardzo nieżywe – z kuchni przyszedł Charles. Próbowiałam spojrzeć na niego przychylnym wzrokiem, czyli niejako oczami Lottie: był barczysty, miał promienne spojrzenie i olśniewająco białe zęby, wokół ust zmarszczki od uśmiechania się, odstające uszy w stylu księcia Karola, łysinę, choć dopiero przekroczył trzydziestkę, szkaradną kamizelkę w romby... No dobra, musiałam jeszcze trochę poćwiczyć patrzenie oczami Lottie.

Charles ostrożnie doniósł na stół ogromny dzban. Przyglądając się jego uszom, przypomniałam sobie, że wciąż mam w pokoju jego koszmarną traperską czapę. Ogarnęły mnie przelotne wyrzuty sumienia.

– Czy to poncz? – zagadnęłam dla odwrócenia uwagi.

Charles przytaknął.

– Słynny poncz mamy. Chcesz kubek?

Rozejrzałam się szybko za Ernestem i mamą: byli pogrążeni w rozmowie z Bitsy Bee. Kazałam nalać sobie trunku. Mama i tak nie miałyby nic przeciwko temu. Poncz smakował wybornie – pomarańczami, cynamonem i nutą goździków. W ogóle nie wyczuwało się w nim alkoholu. Za to wyraźnie dało się zauważyć spojrzenia, jakimi mierzyła Charlesa zgromadzona wokół szpinetu grupka, złożona z Tipsy, Bochry, Cherry i świeżo rozwiedzionej wnuczki. Ich zainteresowanie nie umknęło uwadze Charlesa, który pomachał im z uśmiechem, na co wszystkie, z wyjątkiem Rebekki, zachichotały.

Zakaślałam, a Charles zwrócił się ku mnie.

– Jak się ma Lottie? – zapytał. – Szkoda, że nie przyszła.

Szkoda? A co z kobietą w kawiarni, którą trzymał za rękę? I z wnuczką Cherry, którą zmierzył wzrokiem zaledwie sekundę temu?

Nie, tym razem Charles nie wywinie mi się z powodu awarii czujnika dymu. Wzięłam jeszcze jeden łyk ponczu.

– Lottie ma się świetnie – oznajmiłam i dodałam: – Poszła do kina z przyjacielem.

– Och! – Charles zaczął skubać dolną wargę. – Jak... miło.

– Owszem, też tak uważam. Jonathan to sympatyczny facet.

– Jaki Jonathan? – zapytała Mia, która wyrosła obok mnie jak spod ziemi.

Ten Jonathan, którego właśnie wymyśliłam, ty niemądra.

– Jonathan Lottie – wyjaśniłam, obserwując z niepokojem, że w naszą stronę ruszyli również Grayson i Emily. A za nimi Bochra i rozwiedziona wnuczka.

– Ach! Ten Jonathan. Tak, rzeczywiście jest sympatyczny. – Mia chwyciła dwa cieniutkie sandwicze naraz. – A jaki romantyczny – ciągnęła z pełną buzią. – Podarował Lottie pod choinkę takiego śmiesznego japońskiego kota.

Posłałam jej ponure spojrzenie.

– Takiego plastikowego? – upewniła się z pogardą Emily. – A co w nim, przepraszam bardzo, takiego romantycznego?

– To jest... to może być bardzo romantyczne – mruknęłam. Boże, potrzebowałam więcej ponczu. Niewiele myśląc i nie zważając na to, że

w tym czasie dołączyła do nas Bochra, wyjęłam chochlę z rąk Charlesa i napełniłam kubek.

– Plastikowy kot nie jest romantyczny, tylko tandetny – upierała się Emily.

Nie, nie jest! Jest symbolem. Może nie do końca symbolem miłości, ale tradycyjnym symbolem szczęścia wywodzącym się ze znanego kultu maneki-neko. Przeczytałam o tym w Wikipedii. Zastanawiałam się, czy nie zakasować tym Emily. Ta przemądrzała kwoka też mogła jednak zaglądać do Wikipedii i wiedzieć, że kult ten zainspirował także Hello Kitty.

– Co dostałaś od Graysona, Emily? – zapytała Mia. Bardzo dobre pytanie.

Emily wskazała na swoją szyję.

– Ten przepiękny wisiołek.

– Leżąca ósemka, symbol nieskończoności. – Bochra uśmiechnęła się wzruszona. – Prześliczny.

Symbol nieskończoności? Czy jego kompletnie pogięło? Opróżniłam duszkiem kubek z ponczem, usiłując przeszyć Graysona drwiącym spojrzeniem.

– Tak, mój wnuk jednak ma styl. – Pani Spencer pogłaskała Graysona po policzku, a on zaczerwienił się z lekka. – W sprawach sercowych również. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o moich synach. – Z głębokim westchnieniem oderwała się od Graysona i położyła Charlesowi rękę na ramieniu. – Czy byłbyś łaskaw pokazać Rebecce ogród, póki jeszcze jest widno, mój kochany? Ona bardzo interesuje się roślinami, ma doktorat z biologii. I gra w golfa, nieprawdaż, skarbie? Charles również gra w golfa. Może zagracie kiedyś razem? A teraz sio, do ogrodu! I uśmiechnij się, Rebecco, niech Charles zobaczy, jakie masz piękne zęby.

Rebecca zmusiła się do heroicznego uśmiechu. Było mi jej szczerze żal. Zwłaszcza że Charles nawet nie zaszczycił spojrzeniem jej imponującego uzębienia.

– Mamo, na dworze jest ciemno od samego rana – powiedział.

– A ogród zimą doprawdy nie jest żadną atrakcją. A na jaki film poszli?

– Zapytał z napięciem. – Ona nie lubi kina akcji, mam nadzieję, że ten

Jonathan o tym wie.

Poncz. Gdzie się podziała chochła? Pycha, już sam ten zapach! A skoro już dolewałam, napełniłam też i kubek Rebekki. Podziękowała mi słabym uśmiechem.

– Kto nie lubi kina akcji? – zapytała pani Spencer i dodała z urazą:
– Mój ogród jest atrakcyjny przez cały rok.

– Lottie – wyjaśniła ochoczo Mia. – Ale ja bym tego tak nie nazwała. Lottie lubi kino akcji, jeśli podczas trzymających w napięciu scen ma kogoś, kogo może trzymać za rękę.

Charles z trudem przełknął ślinę. Zrobiło mi się go żal. Ale sam był sobie winien. Miał szansę. Teraz kolej Jonathana. Szkoda tylko, że nie istniał.

– Ach, ogród możemy obejrzeć innym razem – rzuciła Rebecca.

– Lottie? Czy to nie imię tej niemieckiej niańki? – Oczy Bochry zaokrągliły się lekko. Nawet nie spostrzegła, że Rebecca dyskretnie ulotniła się wraz ze swoim ponczem. – Co ty, przepraszam bardzo, masz wspólnego z niańką metresy twojego brata?

– Po pierwsze... – zaczął Charles i poszukał wzrokiem Rebekki. Nie było jej w zasięgu słuchu. Właśnie wszczyniała pogawędkę z Florence i admirałem. – Po drugie... – wziął głęboki wdech. – I po trzecie, nie będziesz mi rozkazywać, kogo mam lubić, a kogo nie.

Bochra wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

– Chcesz powiedzieć, że ty... lubisz tę niewykształconą niemiecką gąskę?

Mia zasapała z oburzeniem. Grayson i Emily również patrzyli zaszokowani. Tylko ja pozostałam w miarę niewzruszona, a to za sprawą ponczu. Wspaniała rzecz. Musiałam koniecznie poprosić o przepis.

Charles pokiwał głową.

– Tak, lubię Lottie. Nawet jeśli między nami nic nie ma...

W tym momencie na nowo obdarzyłam go sympatią i wybaczyłam mu nawet, że nie sprostował określenia „gaska”.

– Więc postaraj się, żeby tak zostało. – Bochra zacisnęła usta.

– Nie dość, że twój brat łamie mi serce wybrykami à la Wallis-Simpson,

to jeszcze mój najmłodszy syn ujawnia perwersyjny pociąg do służących. Chyba bym tego nie przeżyła. – Z trudem łapała powietrze. – Już mi ciężko oddychać.

– Bo się dławisz własną złośliwością – rzuciła Mia, wcale nie tak cicho, jak jej się wydawało.

– Nie wiem jak wam, ale mnie przydałaby się odrobina świeżego powietrza – wtrąciła się Emily. – I bardzo chętnie obejrzałabym ogród, nawet o zmierzchu. – Wymieniła spojrzenia z Graysonem i wzięła Bochrę pod rękę. – Poza tym chciałam panią zapytać w imieniu mamy, czym pani nawozi hortensje.

Jej dyplomatyczna interwencja okazała się skuteczna. Bochra ochoczo dała się wyprowadzić.

– Jesteś aniołem, Emily – usłyszeliśmy jeszcze i choć niekoniecznie zgadzałam się z tymi słowami, to musiałam przyznać, że tym razem Emily wyjątkowo uczyniła coś sensownego.

– Mogę pożyczyć na chwilę twojego iPhone'a? – Mia wyciągnęła smartfon z kieszeni Graysona. – Muszę wygugłować słowo „metresa”. I nazwisko Wally Simpson. I przeczytać wszystko, co znajdę na temat morderstwa w afekcie.

Ze złości zrobiła się cała blada, nawet w miejscach, które uległy odmrożeniu. Ze mną byłoby tak samo, gdybym w tak przyjemny sposób nie zamroczyła się ponczem.

– Mam trzydzieści pięć lat i nie muszę zgadzać się na to, by matka dyktowała mi, co mam robić – z lekkim spóźnieniem wypalił znienacka Charles.

– Lottie ani nie jest głupia, ani nie zależy jej na pieniądzach – sarknęła na niego Mia, podczas gdy jej palce śmigały po wyświetlaczu.

– Przecież wiem – zgodził się Charles.

– Jest mądra i prześliczna, dlaczego miałyby wiązać się z dentystą? Mogłaby mieć każdego!

– Przecież wiem – powtórzył Charles.

– Chcesz odrobinę ciepłego ponczu, Mia? – zapytał Grayson.

– Myślę, że dobrze by ci zrobił.

– Oszalałeś? Ona ma dopiero trzynaście lat. – Wyrwałam mu chochlę z ręki. – Chcesz, żeby zaczęła tańczyć na stole? Wystarczy, że

jedna z nas się upije. Ja już jestem trochę wcięta, nie gwarantuję niczego.

– Ach tak? – uśmiechnął się szeroko Grayson. – A to ciekawe.

– Właściwie nie piję alkoholu – zaczęłam się tłumaczyć. – Ale twoja babcia jest naprawdę... A skoro mam jeszcze śpiewać hymn...

Rany, czy płacze mi się język?

– Nie! – roześmiał się na cały głos. – Liv, w tym ponczu nie ma ani kropli alkoholu, to tylko grzany sok pomarańczowy z przyprawami.

– Co?

To ja w ogóle nie byłam pijana? Nawet ciut zawiana? W takim razie o co tyle szumu? Też mi słynny poncz! Ale OK, to wyjaśniało, dlaczego zupełnie nie czuło się w nim alkoholu.

– A jeśli chodzi o hymn, to był tylko żart z mojej strony – ciągnął z rozbawieniem Grayson. – Wierz mi, nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby śpiewać. Ani po pijanemu, ani na trzeźwo. I widzisz gdzieś tutaj portret królowej?

Przeszłam go wzrokiem.

– Wymyśliłeś to sobie? Wkręciłeś nas, tak po prostu? – Musiałam jednak przyznać, choć niechętnie, że zrobił to dość umiejętnie. – Hej, nie podejrzewałam cię o taką fantazję i podstępność – dodałam, uśmiechając się z uznaniem.

– Cóż. Po prostu mnie nie doceniasz. – Grayson wyjął mi chochlę z ręki. – A teraz, skoro już wiesz, że się nie urznieś ani że nie będziesz musiała śpiewać, chcesz jeszcze łyczek?

– Nie, teraz to już nie jest zabawne. – Przypatrywałam mu się z namysłem. Kiedy spoglądał tak jak w tej chwili, łatwo było wyobrazić sobie, jak wyglądał jako mały chłopiec, beztroski, wesoły i bezbrzeżnie zadowolony z siebie. – Naprawdę dałeś Emily symbol nieskończoności?

Uśmiech Graysona wyraźnie przygasł.

– Czy ty wiesz, ile trwa wieczność? – ciągnęłam. – Dłużej niż dożywocie.

Milczał.

– Mam złe wieści! – Mia oddała Graysonowi iPhone'a. – Jeśli ktoś chce, żeby zbrodnia w afekcie uszła mu na sucho, musi działać szybko.

– I komu to mówisz? – mruknął Charles.

– Tym razem Bochra poniesie zasłużoną karę – oznajmiła Mia.

– Musimy stanąć w obronie honoru mamy i Lottie. I naszego własnego.
Nie możemy dłużej na to pozwalać.

Grayson uniósł brwi.

– Co to jest bochra?

Pierwszy wers hymnu narodowego USA (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Na przykład mogłabym otaksować wymownie jej skromną białą bluzkę i czarną spódnicę i powiedzieć: „Cóż, jeśli styl oznacza ubieranie się, jakby się było chałturzącą po godzinach kelnerką, to wolę go nie mieć”. [\[wróć\]](#)



Po wszystkim pokłóciłyśmy się, która z nas pierwsza wpadła na ten pomysł. Mia utrzymywała, że to ona. Pewne jest, że już w drodze powrotnej z przyjęcia rozmyślałyśmy gorączkowo, jaką dać Bochrze nauczkę. Czułyśmy, że po prostu musimy. Miarka się przebrała, nie, więcej: kropla przelała czarę goryczy. Chciałyśmy ugodzić ją tak, by naprawdę bolało. I wtedy przyszedł nam – niech będzie, że Mii – do głowy Mr Snuggles, bukszpan w kształcie ptaka. Którego nie wolno tknąć nikomu oprócz pani Spencer we własnej osobie. Było oczywiste, że umiłowała ten krzak najbardziej ze wszystkiego na świecie.

Tak, Mr Snuggles był jej oczkiem w głowie. I ze względów wychowawczych musiałyśmy trafić Bochrę w to oczko. A właściwie dziabnąć. Godziny Mr Snugglesa jako pawia były policzone.

Resztę wieczoru spędziłyśmy na planowaniu akcji, dyskretnym gromadzeniu niezbędnych akcesoriów i czekaniu, aż reszta domowników zaśnie. Krótco po północy wymknęłyśmy się z domu. Najchętniej wzięłabym rower, ale brama garażu skrzypiała tak niemiłosiernie, że tylko pobudziłybyśmy wszystkich. Dotarcie pieszo do domu Bochry zajęło nam dziesięć minut, a czas ten umiłałyśmy sobie sprzeczeniem

się, w jakie zwierzę przemienimy

Mr Snugglesa. Na miejscu nadal nie osiągnęliśmy porozumienia. Mia była za pingwinem, ja zaś wolałam skunksa, bo wówczas nie musiałybyśmy likwidować całego ogona, tylko mogłybyśmy wykorzystać jego część.

Faktem jest, że w kwestii przycinki bukszpanu przeceniliśmy nasze umiejętności. Nawet w bardziej sprzyjających warunkach – a było ciemno, zimno, gonił nas czas i w pośpiechu nie znalazłyśmy odpowiedniego narzędzia do cięcia – trudno byłoby uformować Mr Snugglesa na nowo. W dodatku zabrałyśmy się do dzieła z odmiennymi wyobrażeniami, jeśli chodzi o cel, jaki chciałyśmy osiągnąć („Pingwin!”, „Nie, skunks!”). Stało na tym, że Mia zaczęła piłą obrabiać pawia od przodu, a ja dużymi nożycami od tyłu.

Przynajmniej nikt nie przeszkadzał nam w pracy. Po drodze nie spotkałyśmy żywej duszy (i to miało być wielkie miasto!), a w Elms Walk wszyscy zdawali się spać jak zabici. Pomimo pełni. Dało się słyszeć tylko „ciap, ciap” moich nożyc i „zgrzyt, zgrzyt” piły Mii. No i nasze stłumione przekleństwa.

– Te nożyce nadają się tylko do cienkich gałązek – złorzeczyłam.
– Jeśli będę dalej ciąć w tym tempie, to ogon skunksa będzie gotowy na przyszłe Boże Narodzenie!

– Za to piła piłuje tylko to, czego nie powinna! Przydałby się noktowizor. Ups! – Mia wstrzymała na chwilę oddech. – Dziób odpadł.

– Nie szkodzi, skunksy nie mają dziobów... Chodź, zamienimy się miejscami. Tutaj z tyłu potrzeba porządną trochę grubych badyli.

Właściwie już w tym momencie wiedziałyśmy, że nie zdołamy nadać Mr Snugglesowi nowego wyglądu, ani pingwina, ani skunksa. Mimo to dalej dzielnie piłowałyśmy i cięłyśmy. Kiedy wreszcie dałyśmy krok w tył, by przyjrzeć się naszemu dziełu w świetle księżyca, musiałyśmy przyznać, że to, co zostało z pawia, nie przypominało żadnej znanej formy życia. W ogóle żadnej formy, ściślej rzecz biorąc. Była to po prostu kupa liści i gałęzi.

Mia ogarnęła się pierwsza.

– No cóż, gdybyśmy wyczarowały jakiegoś zasługującego na nagrodę pingwina, to niewykluczone, że Bochra na koniec byłaby nam

nawet wdzięczna.

– Właśnie, a przecież nie o to chodziło – zgodziłam się z nią. – Mogłybyśmy jeszcze spróbować zrobić z tej resztki brzucha na przykład żabę...

– Samochód jedzie. – Mia przycisnęła mnie do grządki. Kiedy samochód minął dom i nieco dalej wtoczył się na podjazd, powiedziała: – Zapomnij o żabie, i tak nie damy rady jej zrobić. Zwiewajmy stąd.

Miała rację. Jako ogrodniczki poniosłyśmy sromotną klęskę, ale misję mimo wszystko wykonałyśmy. A zatem w nogi, zanim jeszcze ktoś nas nakryje.

Obawy te okazały się zupełnie nieuzasadnione. Ulice były jak wymarłe. Tylko jakiś kot przeciął nam drogę, ale on nie mógł zeznawać przeciwko nam w charakterze świadka. Upojone zwycięstwem wśliznęłyśmy się z powrotem do domu. Oczyszcziłam piłę ze zdradliwych liści bukszpanu i zaniiosłam do warsztatu Ernesta, Mia zaś odwiesiła nożyczki na miejsce w kuchni. Jedynie Buttercup zauważyła nasz powrót, ale ponieważ była miłym psem, nie czekała, tylko merdając ogonem, odprowadziła nas po schodach na górę.

– Fajnie było – wyszeptła Mia pod drzwiami swojego pokoju, a ja nie mogłam się z nią nie zgodzić. Czułam się trochę jak Zorro, obrońca słabych i uciśnionych, i z tym triumfalnym poczuciem zasnęłam.

Nie wiem, dlaczego nie przyśniło mi się nic miłego, tylko mężczyzna w kapeluszu z opadającym rondem i ogromnym nożem, ścigający mnie po wyludnionych ulicach Hampstead. Coś było nie tak z moimi nogami, ledwie mogłam oderwać je od ziemi, tak mi ciążyły. A człowiek z nożem był coraz bliżej. Chciałam wołać o pomoc, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Na ołowianych nogach wtoczyłam się do pierwszego z brzegu domu, w którym ktoś mógł mi pomóc. Zobaczyłam drzwi w kolorze mięty i wiedziałam już, że to tylko sen. Oczywiście. Miałam nadzieję, że za drzwiami czekał na mnie Henry.

Z ulgą odwróciłam się do prześladowcy.

– Wydrapię ci na czole „Z” – zawołał. Był to Charles, który teraz nie miał już na głowie kapelusza, tylko traperską uszankę. Gapiłam się na niego bezradnie. Co moja podświadomość chciała mi przez to powiedzieć?

– Mam nadzieję, że kiedy wrócę, ciebie już tu nie będzie
– odparłam. I otworzyłam ostrożnie drzwi.

– No, jesteś wreszcie. – Henry wetknął głowę do środka. – Mogę wejść?

– Jasne – odpowiedziałam, próbując przepłoszyć Charlesa ruchem ręki. – Pozwól tylko, że trochę tu... eee... sprzątnę.

– Nie ma potrzeby. – Henry, śmiejąc się cicho, zamknął za sobą drzwi. – Dlaczego tak późno? Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz.

– Miałyśmy jeszcze z Mią coś do załatwienia. Małe kosmetyczne zmiany we frontowym ogródku pani Spencer. Wygadywała dziś okropne rzeczy o Lottie i mamie. I dlatego przycięłyśmy jej głupiego pawia.

– Mr Snugglesa?

– Co? To ty go znasz?

Henry się roześmiał.

– Każdy zna Mr Snugglesa. Naprawdę go...

– ...przerobiłyśmy na trociny – dokończyłam z dumą. – Tak jest. Chciałabym być przy tym, kiedy pani Spencer wyjrzy przez okno.

Henry rozejrzał się wokół i z drzeniem potarł gołe przedramiona. Jak zwykle był ubrany tylko w dzinsy i T-shirt. A w moim śnie była akurat zima.

– Może przeniesiemy się gdzieś indziej? Co powiesz na London Eye? – zapytał.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, znaleźliśmy się w jednej z przeszklonych kabin na samym szczycie diabelskiego młyna na brzegu Tamizy, a u naszych stóp rozpościerał się pogrążony we śnie Londyn.

– To twoja sprawka – powiedziałam. Ja nie potrafiłabym wyobrazić sobie tego miejsca z takimi detalami, bo Ernest wprawdzie zaciągnął nas tu we wrześniu, ale nie chciało nam się stać w gigantycznej kolejce i zrezygnowaliśmy z przejażdżki.

– Owszem, moja. – Henry objął mnie w talii i przyciągnął do siebie. – Romantycznie, co?

Miał rację. Gondola była pusta i nieruchoma. Za jej przeszklonymi ściankami roztaczał się fantastyczny widok. Tylko zielone drzwi jakoś nie pasowały do tego futurystycznego wystroju. Zadarłam głowę i przez szklaną kopułę popatrzyłam na niebo. Gwiazdy błyszczały pięknie.

Henry zapewne trochę im pomógł, ale w ogóle mi to nie przeszkadzało.

– Prześlicznie tu – szepnęłam.

– Ty jesteś prześliczna – odszepnął z powagą Henry, a ja na chwilę zapomniałam o gwiazdach i całym świecie. Cóż mogło być ważniejszego od całowania się z Henrym pod szklaną kopułą wysoko nad morzem świąteł Londynu? Poczułam rozchodzące się po brzuchu ciepło, a Henry jęknął cichutko, kiedy przytuliłam się do niego. Pocałował mnie intensywniej, zanurzając dłoń w moich włosach.

Coś z impetem uderzyło o szybę nad nami, aż drgnęłam. O, znowu. I jeszcze raz. Coś walnęło o gondolę i spadło niżej.

– Co to jest?

Było tego coraz więcej. Łup. Łup.

– To już nie moja sprawa – powiedział Henry.

Jasne, wielkie grudy bębniły o szklany dach.

– Moja też nie – zapewniłam.

Henry patrzył w górę.

– Za duże na grad. To wygląda raczej jak... koty szczęścia?

Ja też już to dostrzegłam. Z nieba padały plastikowe japońskie koty z uniesioną łapką i uderzały o szklaną kopułę. Jeden, biało-czerwony, rąbnął właśnie o dach, a zsuwając się, wyglądał, jakby patrzył nam prosto w oczy.

Henry puścił mnie.

– Liv, jeśli nie robisz tego umyślnie, to obawiam się, że twoja podświadomość chce nam coś powiedzieć.

Wiedziałam, że ma rację. To wciąż był mój sen. Sprawiałam, że posypał się na nas deszcz figurek kotów. A właściwie nie ja, lecz moja zatroskana podświadomość, która chciała upomnieć mnie, bym nie obściskiwala się z Henrym, tylko z nim porozmawiała.

– Przepraszam – powiedziałam i opadłam na ławkę. Dziwny grad ustał.

– Nie podobał ci się prezent? – Henry usiadł na drugim końcu ławki, a ja byłam wdzięczna za ten fizyczny dystans. Po raz pierwszy, odkąd przeszedł przez drzwi, przyjrzałam mu się uważniej. Był jeszcze blebszy niż zwykle, a jego szare oczy były podkrążone.

– Zaraziłeś się od Amy?

Henry uniósł brew.

– Chcesz rozmawiać o grypie żołądkowej?

Czy mi się zdawało, czy w jego głosie pobrzmiwała złość?

– Nie, chciałam tylko wiedzieć, czy dobrze się czujesz.

– Dzięki. Napilem się rumianku, zażyłem vomex i leżę grzecznie w łóżeczku. Na wszelki wypadek obok stoi wiadro. Żeby nie zapaskudzić ponownie dywanu. – Uśmiechnął się trochę krzywo. – Co się dzieje, Liv?

– Dlaczego jeszcze nigdy nie byłam u ciebie w domu? Nawet nie wiem, jak wygląda twój pokój. – Od czegoś musiałam zacząć.

– Och, możemy to zmienić – powiedział Henry i zamiast na ławce w gondoli diabelskiego młyna siedziałam teraz na brzegu jego łóżka. Naprzeciwno mnie, na krzesło biurowym, siedział uśmiechnięty szeroko Henry. – *Voilà*, oto mój pokój. Tylko wyrzuciłem wiadro i trochę posprzątałem.

– Nie o to mi chodziło – odparłam, ale rozejrzałam się ciekawie dokoła. Nie było tu zbyt wiele mebli. Jedyne szerokie łóżko, krzesło i biurko. Ciuchy zapewne schowano w szafie wnękowej za pomalowanymi na biało ażurowymi drzwiami. Moje zielone drzwi tuż obok trochę się gryzły z czerwono-biało-granatową kolorystyką wnętrza.

Przy ścianie piętrzyły się sterty książek – Henry chyba nie lubił półek. O jeden ze stosów opierała się gitara. Nad łóżkiem wisiał kosz do koszykówki, a piłka leżała na dywanie, będącym puszystą wersją flagi brytyjskiej. Biurko zavalone było podręcznikami i zapisanymi kartkami, a pośród nich tkwiła pozytywka, którą dałam Henry’emu na święta. Obrazów nie miał, tylko ogromną tablicę korkową nad biurkiem, do której poprzyczepiał karteluszki, widokówki i zdjęcia. Wśród nich jedno przedstawiające mnie i Henry’ego na jesiennym balu. Wstałam, żeby przyjrzeć się fotografiom.

– Łóżko jest świeżo pościelone – powiedział Henry i chwycił mnie za rękę, żeby usadzić mnie sobie na kolanach.

Moje kolana momentalnie zamieniły się w budyń. Czy to właściwe miejsce i pora, żeby udowodnić Secrecy, mamie i wszystkim zainteresowanym (łącznie ze mną), że mylą się w kwestii mojego seksualnego zacofania? Musiałam przyznać, że pokusa była wielka, tym

bardziej że uśmiech Henry'ego nigdy nie był bardziej uwodzicielski. Przypomniały mi się jednak japońskie koty, które spadały z nieba za sprawą mojej podświadomości. A co, jeśli to bombardowanie to zaledwie początek? Kto wie, co moja podświadomość zrobi następnym razem, żeby zmusić mnie do rozmowy z Henrym i ostatecznego wyjaśnienia kilku decydujących spraw? Odsunęłam się od niego, mężnie opierając się jego roziskrzonemu spojrzeniu.

– Henry, nie chcę wiedzieć, jak wygląda twój pokój ani czy twoje łóżko ma świeżą pościel – zaczęłam. – Chociaż... no, właściwie to owszem, ale... jeśli już, to niech to będzie twoje prawdziwe łóżko... i w ogóle to powinno działać się naprawdę, kiedy... – Nie. Nic z tego nie będzie. Cofnęłam się o krok i wzięłam głęboki wdech. – Dlaczego jeszcze nigdy nie byłam w twoim pokoju? Dlaczego Grayson i Emily wiedzą o problemach, o których mi nic nie mówisz? Dlaczego w prawdziwym życiu nie znam tych wszystkich osób ze zdjęć?

Henry westchnął.

– Przecież tu jesteś.

– To nie to samo!

– Owszem – powiedział Henry. Nie wiadomo skąd na dywan spadły buty do koszykówki. Sypnęło skarpetkami i trzy ich pary nich rozłożyły się malowniczo po pokoju. Na parapecie pojawiła się doniczka z kompletnie wyschniętym kwiatkiem. – Teraz to dokładnie to samo.

– Nie to samo – zaprzeczyłam dobitnie. – Bo to nadal jest tylko sen. Mój sen, jeśli chodzi o ścisłość. Nigdy nie spotykamy się u ciebie. Dlaczego?

– Skoro tak, to możemy pójść do mnie. – Henry wskazał na zielone drzwi. – Pokażę ci wszystkie zdjęcia, a ty będziesz mogła mi wyjaśnić, na czym polega twój problem z figurką kota.

– Ja mówię o realnym...

Przerwał mi krzyk. Ktoś wołał Henry'ego po imieniu. I w tym momencie Henry zniknął. A jego pokój razem z nim.

Zostałam sama ze swoimi drzwiami i dywanem w barwach brytyjskiej flagi. Z frustracją wpatrywałam się w pustkę.



7 stycznia

Witajcie z powrotem w kieracie. I oto nadszedł ten moment: pierwszy dzień szkoły bez Jaspera Granta. Za to uczniowie Gimnazjum im. Baudelaire'a w miasteczku Beauvais powitali nowego ucznia. Sprawdziłam i przekonałam się, że nie ma tam nic ciekawego (pomijając okoliczne uprawy winorośli. I autobus do Paryża). Szkoła nie ma nawet drużyny koszykówki. Jasper nie będzie miał zatem nic innego do roboty, tylko się uczyć.

Nie, to oczywiście żart. Mowa przecież o Jasperze. I o francuskich uczennicach. Cieszcie się, szczęściary z Beauvais: w waszej dziurze od dziś będzie naprawdę wesoło.

Nie żeby u nas kompletnie nic się nie działo – nawet mimo braku Jaspera mam dla Was kilka nowin.

Po pierwsze: odkąd pani Lawrence wróciła z Lanzarote, co rano ma mdłości. Ponadto widziano ją, jak kupowała w aptece preparat witaminowy z kwasem foliowym – gratulujemy ciąży i przypuszczamy, że pani Lawrence w niedługim czasie stanie się panią Vanhagen. Jak tylko pan Vanhagen pozbędzie się aktualnej pani Vanhagen.

Po drugie – i to jest moim zdaniem o wiele większy skandal – dzisiejszej nocy w Elms Walk wandalę ścięli pawia z bukszpanu,

którego wielu z was z pewnością znało: Mr Snugglesa. Stary poczciwy Mr Snuggles stoi, pardon, stał w ogródku babki Graysona i Florence Spencerów i jak dotąd wygrał kilka nagród. Podaję linki do paru artykułów w czasopismach ogrodniczych. Czyż nie były okazały? Teraz jest tylko smutną kupką zielonych odpadów. Spoczywaj w pokoju, Mr Snuggles. Wszyscy będziemy za tobą tęsknić. A ten, kto to zrobił, niech smaży się w piekle.

No, a teraz muszę lecieć, bo spóźnię się na zajęcia. I nie, nie zdradzę, na jakie! □

Do zobaczenia

Wasza Secrecy



Kiedy następnego dnia zaspane zeszyliśmy z Mią do kuchni, wszyscy już się tam zgromadzili. I byli strasznie zdenerwowani. W jadalni Ernest telefonował gorączkowo, a Florence siedziała przy stole i płakała. Mama poklepywała ją po ramieniu.

– Co się stało? – zapytałam przestraszona. Zmarł jakiś ukochany krewny? A może nastąpił wybuch elektrowni atomowej? Grayson też wyglądał na zaszokowanego.

Lottie jak każdego ranka wyciskała sok z pomelo, ale i ona miała policzki zaczerwienione ze wzburzenia.

– Wyobraźcie sobie, dziś w nocy ktoś ściał drzewo w ogródku pani Spencer.

Przez moment wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem. Nie ukochany krewny, nie elektrownia atomowa. Moje spojrzenie powędrowało ku mokrym od łez policzkom Florence. Płakała z powodu Mr Snugglesa?

Niepostrzeżenie prześliznęłam się obok Lottie do automatu do kawy, podsunęłam pod wylot największy kubek, jaki znalazłam, i nacisnęłam przycisk z symbolem cappuccino. Dwukrotnie.

– Drzewo? Ale dlaczego? – dopytywała Mia z perfekcyjnie wyważoną dozą ciekawości i łagodnego zdziwienia.

– Nikt nie wie – odparła Lottie. – Ale pani Spencer już powiadomiła Scotland Yard. To było bardzo wartościowe drzewo.

Niewiele brakowało, a parsknęłabym śmiechem. No jasne. Z pewnością istniała specjalna ogrodnicza komisja śledcza powoływana ekstra do takich przypadków. Scotland Frontyard. „Dzień dobry, jestem inspektor Griffin i prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa Mr Snugglesa”.

– A czemu Florence płacze?

– Płacze, ponieważ tak bardzo kochała to drzewo – wyjaśniła mama.

Ojej, to nie było żadne drzewo, tylko krzak. Krzak, któremu na siłę nadano osobliwy kształt.

– To nie było zwykłe drzewo. Znam Mr Snugglesa od dziecka.

– Florence pociągała nosem. Oczy miała czerwone od płaczu.

– Praktycznie razem dorastaliśmy.

Wymieniłyśmy z Mią błyskawiczne spojrzenia. O Boże. Potrzebowałam kawy. Szybko. Czy automat działał dziś wolniej niż zwykle?

– To był naprawdę przepiękny... ekhem... ptak – powiedziała mama i pogłaskała Florence po włosach. – Zastanawiam się, co to za ludzie, którzy robią coś takiego?

No cóż. Tacy sami jak ty i ja.

– Prymitywni, okrutni ludzie, którzy skrycie zazdroszczą innym wszystkiego, co piękne. – Florence szlochała głośno.

Co? Nie! Niczego nikomu nie zazdrościłyśmy. I przerobiłybyśmy Mr Snugglesa na pięknego skunksa, gdyby tylko się tak nie opierał. Przeniosłam szybko wzrok z Mii na nożyce, które wisiały na haku w ścianie. Ciekawe, czy się stępiły od tej jatki? Przypuszczalnie nawet są wyszczerbione. Niepostrzeżenie poszukałam na dłoniach pęcherzy i odcisków. Tak, to zgrubienie na palcu wskazującym było świeże.

Wreszcie podwójne cappuccino było gotowe. Zaczęłam siorbać tak łąpczywie, że poparzyłam sobie język.

– To pewnie sprawka jakiejś pijanej młodzieży wracającej

z imprezy – powiedział Ernest. Wszedł do kuchni z telefonem w ręku.

– Choć matka podejrzewa zazdrosnego sąsiada.

– I naprawdę zawiadomiła Scotland Yard? – zapytała Mia.

Ernest się uśmiechnął.

– Jej znajomy pracował niegdyś w Scotland Yardzie. Poznaliście go wczoraj, to ten mężczyzna z okazałą brodą.

– Admirał?

Ernest przytaknął.

– Matka tak się zdenerwowała, że poprosiła, aby zwrócił się o pomoc do byłych kolegów. Zapewne jednak niewiele będą mogli zdziałać.

No, mam taką nadzieję. Upiłam łyk kawy i zadałam sobie pytanie, czy zostawiłyśmy na grządkach odciski butów, które mogłyby naprowadzić speców od zabezpieczania śladów na nasz trop. Albo włókna z kurtek... nie, bzdura! Po pierwsze, ziemia wokół krzaków była wysypana drobną korą, a po drugie, Scotland Yard przecież nie będzie fatygował techników kryminalistycznych z powodu jakiegoś bukszpanu, choćby prosił o to sam admirał. A w ogóle dlaczego admirał, skoro pracował w policji?

Aż podskoczyłam, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia. Ale to był tylko Grayson, który odsunął mnie na bok, żeby dostać się do kawiarki.

– Wszystko w porządku, Liv? – zapytał.

– Tak. Tak, dlaczego? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie i pośpiesznie schowałam za siebie dłonie z podejrzanymi zgrubieniami, niemal upuszczając przy tym kubek. – Świetnie mi się spało. Smacznie i słodko.

Mia cmoknęła ostrzegawczo, a ja umilkłam, zanim zdążyłam ściągnąć na siebie podejrzenia. Po cudownej nocnej euforii w stylu Zorro nie został nawet ślad. Zamiast tego czułam się jak przestępca. Może w Anglii za to, co zrobiłyśmy, groziło więzienie? Zwłaszcza że Mr Snuggles najwyraźniej nie był zwykłym krzakiem, tylko lokalną sławą.

Uświadomiłam to sobie w pełni, gdy dotarłyśmy do Frognał Academy. Tutaj Mr Snuggles też był powszechnie znany. I wszyscy wiedzieli już o jego zgonie, ponieważ Secrecy z samego rana zamieściła odpowiedni wpis na blogu.

Tak obwieściła mi zaraz przy wejściu moja przyjaciółka¹ Persefona Porter-Peregrin. Wyjęłam z jej ręki smartfon i zaczęłam czytać. „Spoczywaj w pokoju, Mr Snuggles”. Nekrolog po śmierci pawia z bukszpanu. Na szkolnym plotkarskim blogu. Nie do wiary.

Jeszcze bardziej zastanawiające było to, skąd, do diabła, Secrecy tak szybko miała te informacje. Podejrzana sprawa. Poszukałam wzrokiem Mii, ale ta już zniknęła w tłumie. W przeciwieństwie do mnie łyzy Florence nie wzbudziły w niej wyrzutów sumienia, miałam wręcz wrażenie, że troszeczkę upajała się tą całą aferą. Żałowałam, że tak nie potrafię, a nekrolog Secrecy tylko wszystko pogarszał. Jeśli osoba tak dogłębnie zła jak Secrecy wytykała mi brak moralności...

Przekłeta plotkara! Może mieszkała w Elms Walk i z tego powodu wcześniej rano mogła rzucić okiem na ogródek Bochry? To by było jakieś wyjaśnienie. Musiałyśmy jak najszybciej sprawdzić adresy osób z listy podejrzanych.

Jakaś rudowłosa dziewczyna uśmiechnęła się do mnie w przelocie i rzuciła:

– Nie daj się zwariować, Liv. Ja też czekam z tym do nocy poślubnej!

Oślupiała odprowadziłam ją wzrokiem. Kto to był?

– Widzisz, tutaj masz link do artykułu w pisemku ogrodniczym. Czy Mr Smithers nie był przepiękny? – Persefona odebrała mi smartfon i dramatycznie zatrzepotała długimi rękami. – Znajdował się nawet na brytyjskiej liście roślin objętych ochroną...

– Mr Snuggles – sprostowałam. Przynajmniej to mu się należało.

– No przecież mówię. – Chwyciła mnie pod rękę. – Nasuwa się myśl, kto w ogóle jest zdolny do czegoś takiego, co nie? To musieli być jacyś kompletni pomyleńcy.

– Hm – mruknęłam. – Może mieli jakiś ważny powód. O ile w ogóle było ich kilku, oczywiście.

– Hej, Liv! To okropne, jak się na ciebie uwzięli. – Jakaś nieznana mi dziewczyna przystanęła obok. Persefona powiodła mnie obok niej, jakby była słupem czy czymś w tym rodzaju. – Jakie to typowe, że wszyscy od razu zwalają winę na kobietę. A przecież równie dobrze może chodzić o Henry’ego – ciągnęła nieznajoma. – Chciałam ci tylko

powiedzieć, że masz moje całkowite poparcie.

– Eee... dzięki, to miłe – odparłam.

– Nie ma za co, my kobiety musimy trzymać się razem, a Secrecy to zdzira i hańba dla emancypacji.

OK. To już było naprawdę dziwne.

– Znasz ją? – szepnęłam do Persefony, ale moja przyjaciółka myśłami wciąż była przy Mr Snugglesie.

– Co mogło stanowić tak ważny powód, by zamordować niewinne drzewo? – Pokręciła głową.

– Morderstwo to brzmi trochę... przesadnie, nie uważasz? Nawet gdyby Mr Snuggles był człowiekiem, a nie rośliną, to mielibyśmy do czynienia najwyżej z uszkodzeniem ciała, bo przecież nadal ma korzenie i może w każdej chwili puścić pędy.

– Roślina to też żywe stworzenie – powiedziała cicho Persefona.

O Boże. Byłam morderczynią.

– Tak bardzo lubiłam Mr Smithersa...

– Snugglesa!

– Zawsze kiedy w niedzielę szliśmy do parku, przechodziliśmy obok niego i za każdym razem wyglądał trochę inaczej. – Westchnęła melancholijnie.

To było nie do wytrzymania. Tak samo jak świdrujące mnie ciekawskie spojrzenia, nawet piętro wyżej. I to nieustanne poszeptywanie. Persefona w ogóle tego nie dostrzegała. Była zaprzętnięta tylko i wyłącznie

Mr Snugglesem.

– Nic na tym świecie nie uchroni się przed wandalizmem – narzekała.

Postanowiłam zmienić temat.

– Ciekawe, jak się ma dzisiaj Jasper? Sam wśród Francuzów. I to z dwóją z francuskiego. Nawet nie będzie umiał zapytać o toaletę, biedulek.

No i proszę, moja strategia zadziałała. Na wspomnienie Jaspera Persefona natychmiast zapomniała o Mr Snugglesie.

– Tak, ale to ma też dobre strony. Nie będzie mógł prawić komplementów ładnym Francuzkom – rzekła zaaferowana. – Poza tym

trudniej mu będzie flirtować w języku, który ledwie zna.

I tak, i nie. Inteligentna komunikacja nie należała do mocnych stron Jaspera, dlatego niewykluczone, że jego próby uwodzenia okażą się skuteczniejsze, jeśli będzie się tylko uśmiechał, a wszystkie wygadywane brednie zostaną mu wybaczone ze względu na barierę językową. Ale tego Persefonie nie powiedziałam. Byłam szczęśliwa, że przestałyśmy gadać o tym idiotycznym bukszpanie.

Radość ta trwała jednak tylko do przerwy obiadowej. Już w drodze do kafeterii miałam złe przeczucia, i to nie tylko dlatego, że znowu wszyscy się na mnie gapili. Coś wisiało w powietrzu, coś wieszczącego nieszczęście (i nie chodziło bynajmniej o zapach duszonego jarmużu, serwowanego dziś na obiad). Uczucie to pogłębiło się jeszcze, kiedy dostałam SMS-a od Mii. Mia nigdy nie wysyłała mi SMS-ów. Pisanie wiadomości na naszych przedpotopowych telefonach było czystą torturą. Wpisanie słowa „hejka” trwało co najmniej minutę. Dwa razy czwórka, dwa razy trójka, potem piątka i znowu piątka po małej przerwie, i wreszcie dwójka. I biada, jeśli się człowiek pomylił: trzeba było zaczynać od nowa. Wiadomość od Mii zawierała tylko dwa słowa: „Mi oj”. Ze ściągniętymi brwiami wpatrywałam się w ekran. „Mi oj”? Co to miało znaczyć? Jakiś skrót? Tajny szyfr? A może wcisnęła jakiś klawisz przez pomyłkę? Rozważałam, czy jej odpisać, ale w czasie potrzebnym na wklepanie „O co ci chodzi?” mogłabym spokojnie zejść do kafeterii dla młodszych klas i zapytać ją o to osobiście. Na to nie miałam jednak ochoty, byłam już tak blisko celu, że czułam zapach jedzenia, a skręcało mnie z głodu. Poza tym chciałam zobaczyć Henry’ego. Postanowiłam, że po prostu do niej zadzwonię.

– Hej, Liv! – Drogę zastąpiła mi jakaś para.

– To prawda? – zagadnęła dziewczyna. Znałam ją. Była to jedna z koleżanek Persefony, Himpusia. Nie nazywała się tak naprawdę (tak samo jak jej najlepsza przyjaciółka nie nazywała się Pimpusia), z niewytłumaczalnych powodów nie byłam jednak w stanie zapamiętać imienia żadnej z nich. Dlatego mogłam odpowiedzieć jej tylko bezosobowo „Hej”.

– Co? – zapytałam.

Chłopakiem, na którym uwiesiła się Himpusia, był brat Emily,

Sam. Od jesiennego balu stanowili z Himpusią szczęśliwą parę.

– Czy to prawda, co wypisuje Secrecy? – odezwał się Sam. Nie lubił mnie, ponieważ w zeszłym roku Emily zmusiła go, żeby zaprosił mnie na bal, a ja mu odmówiłam. Ja też za nim nie przepadałam, choćby dlatego, że tak bardzo przypominał Emily.

– Czytasz plotkarski blog Secrecy?

Gorzej: Sam interesował się moim życiem seksualnym. Ale może był z Himpusią w podobnej sytuacji i cała ta dyskusja wywołała w nich niepewność. Przypuszczalnie potrzebowali tylko rady. A to było nawet... miłe. Popatrzyłam więc najpierw w oczy Samowi, potem Himpusi

i rzekłam:

– Tak, to prawda. Ale to bez znaczenia. Przecież coś takiego nie dzieje się według ustalonego terminarza. Każdy sam decyduje, czy i kiedy to robi. Nie dajcie się zwariować, tylko idźcie swoją drogą, obojętne, co gadają inni. – Tak jest. Powinnam pisać przemówienia. Albo zostać pastorem. Bądźcie sobą, ludzie! Odważcie się.

Sam był jednak innego zdania.

– Powinnaś się wstydzić – orzekł.

– Nie podejrzewałam was o coś takiego. Tfu. Chodź, Sam!

– dodała Himpusia.

Tfu? Co im odbiło? Spojrzałam na komórkę i niemalże zderzyłam się z Arthurem. Też gapił się w ekran swojego telefonu.

Przytomnie przybrałam minę wrogiego generała i zadarłam nos.

– Arthur.

Zadziwiająca, ale jego mina nie wyrażała zwykłego chłodu i wyniosłości, tylko była prawie... współczująca?

– Kurde, Liv – powiedział. – Lepiej tam nie wchodzić.

Zadarłam nos jeszcze wyżej.

– Po pierwsze, jest mi obojętne, co o mnie gadają, a po drugie, jestem głodna. – A po trzecie, daruj sobie swoją litość, dodałam w duchu.

Kręcąc głową, wyminęłam go i weszłam do kafeterii. Henry siedział przy naszym stoliku pod oknem, razem z Graysonem, Florence, Emily i kumplem Florence o nazwisku Callum Caspers. Miejsce obok

Henry'ego było puste, a na stole stał talerz z kilkoma surówkami, co oznaczało, że oprócz jarmużu była dziś pieczeń rzymska. Odkąd raz znalazłam w niej paznokiec, nie byłam w stanie jej przełknąć. Henry wiedział o tym i zapobiegliwie przyniósł mi talerz z surówkami. To było naprawdę miłe z jego strony. Prawie dotarłam już do stolika, kiedy zadzwoniła komórka, którą trzymałam w ręku. W tym samym momencie Henry, Grayson, Emily, Callum i Florence zauważyli mnie i zamilkli.

– Zaraz do was dołączę – rzuciłam i przycisnęłam komórkę do ucha. Mia. Ledwie ją rozumiałam.

– Nie dostałaś mojego SMS-a?

– „Mi oj”? Owszem, dostałam. Ale co to znaczy?

– Wiej! – szepnęła Mia. – To znaczy: wiej! Pisałam na ślepo. Oni wiedzą. Więc wiej!

Na to było już teraz za późno. Florence wstała i z rękoma skrzyżowanymi na piersi stanęła przede mną.

– To prawda?

– Ekhem. – Powoli opuściłam rękę z komórką. Dokąd miałam zwiewać i dlaczego?

– Liv. – Henry jedyny patrzył na mnie z sympatią. I współczuciem.

– Ten wpis Secrecy zamieściła siedem minut temu. – Emily wyjęła swój smartfon i przeczytała na głos: – „Z ostatniej chwili. Właśnie się dowiedziałam, kto ma na sumieniu Mr Snugglesa. Liv i Mia Silver. Najwyraźniej chodziło o dziecinny akt zemsty na babci Graysona i Florence, której obie nie cierpią. A zatem zabytek kultury od dziesięcioleci rosnący w naszej dzielnicy padł ofiarą ich gówniarskiego wybryku”.

Secrecy. Nie mogła o tym wiedzieć, to niemożliwe! Kolana miałam jak z waty.

– To prawda? – powtórzyła Florence cicho. Mimo to miałam wrażenie, że usłyszał ją każdy w pomieszczeniu.

I wszyscy, ale to wszyscy gapili się na mnie. Nie musiałam odpowiadać, moja mina mówiła sama za siebie.

Rozdygotana Florence wzięła głęboki wdech.

– Skoro tak, to nie chcę siedzieć z tobą przy jednym stole. Nigdy więcej. – I posławszy mi ostatnie, przepelnione skrajną pogardą

spojrzenie, wyminęła mnie i wybiegła z kafeterii. Emily i Callum podążyli za nią.

Grayson też się podniósł. Wyraz jego twarzy zranił mnie niemal fizycznie. Na jego buzi malowało się bezgraniczne rozczarowanie.

– Grayson... – zaczęłam, nie mając pojęcia, co w ogóle chciałam powiedzieć. Pragnęłam jedynie, żeby to wszystko nie działo się naprawdę. Dlaczego to nie mógł być tylko sen?

– Muszę lecieć. Mam przygotować pracownię do doświadczenia z chemii – odezwał się Grayson, uciekając spojrzeniem. – Zobaczymy się później. Może wtedy będziesz mogła wyjaśnić mi, co wami kierowało.

Henry pociągnął mnie na krzesło obok siebie i mocno ścisnął moją dłoń.

– Nic takiego się nie stało – zapewnił mnie. – Sałatki?

Nie byłyśmy normalnymi przyjaciółkami, za to niewątpliwie łączyło nas przeciwieństwo pokrewieństwa dusz – po prostu Persefona w którymś momencie postanowiła, że będzie moją przyjaciółką. Bez pytania. I bez żadnego ostrzeżenia. Najbardziej zwariowane było to, że jakiś czas temu już się do tego przyzwyczaiłam. A nawet zaczęłam ją troszeczkę lubić. [wróć]



Cała ta okropna sprawa miała jednak pewien plus: potrafiłam już bez wpadek przemieniać się w idealnego jaguara. Był tak łudząco realistyczny, że nawet senator Mort poczuł respekt, gdy nagle stanęliśmy ze sobą twarzą w twarz.

Kiedy niespodziewanie wyłonił się z za rogu, w ludzkiej postaci na pewno wrzasnęłabym ze strachu. I czmychnęłabym, tak jak ostatnio. Ale jako jaguar instynktownie przywarłam do ziemi, nastroszyłam sierść i obnażyłam ostre kły.

To zrobiło wrażenie na senatorze. Powoli cofnął się o dwa kroki i wymamrotał:

– Spokojnie, kiciusiu, tylko spokojnie.

Aha, okazało się, że potrafi mówić normalnie. Z bliska wcale nie wyglądał już tak groźnie jak z oddali – twarz osłonięta rondem kapelusza wydawała się całkiem ludzka. Nie była to żadna trupia czacha, żadna zżerana przez robaki mordą zombiaka, czego się trochę obawiałam, tylko zupełnie normalna męska twarz, jakich setki widywało się na ulicy: raczej okrągła, z wydatnym nosem, nieco pełniejszą dolną wargą

i bladoniebieskimi oczami, w których błyszczało jednak coś, czego nie potrafiłam określić i co napawało mnie lękiem. Ale bez tego błysku w oku wyglądałby całkiem niegroźnie.

Z mojego gardła wydobył się głuchy warkot. Ja ci zaraz dam kiciusia. To mój korytarz. I byłam dziś w fatalnym nastroju. Ostatni tydzień nie należał do najlepszych.

– Dobrze już, dobrze – powiedział i cofnął się o jeszcze jeden wielki krok. – To ja przyjdę później. – Kiedy dystans między nami się zwiększył, odwrócił się i zniknął za najbliższym rogiem.

Posłałam za nim prychnięcie i powolnym krokiem wróciłam pod drzwi Henry’ego, usiadłam na progu i zaczęłam zapamiętane lizać łapę. Moje własne drzwi znajdowały się po przeciwległej stronie, ale nie odczuwałam najmniejszej potrzeby powrotu, bez względu na to, jak bardzo byłam zmęczona.

Każdej nocy dręczyły mnie okropne senne koszmary, w których Mr Snuggles żył i szlochał przejmująco albo ja zapuszczałam korzenie i przemieniałam się w roślinę, obrabianą następnie nożycami przez panią Spencer, Florence i Graysona. Tutaj na korytarzu panował o wiele większy spokój niż w moich własnych snach. I miałam mnóstwo czasu na ćwiczenia.

Eleganckim ruchem zawinęłam ogon wokół łap. Poczucie winy, wstyd i wściekłość znakomicie wyostrzały zdolność koncentracji, przynajmniej u mnie. Przemiana w jaguara była jednym z prostszych ćwiczeń, podobnie jak w sowę płomykówkę, a dziś udało mi się nawet przeistoczyć

w podmuch powietrza. Przed chwilą dłuższy czas unosiłam się niewidzialna po korytarzach, bezgranicznie zachwycona samą sobą. Minęłam w locie drzwi mamy („Mathews. Księżycowy Antykwariat. Godziny otwarcia: od północy do brzasku”) i Mii, które poznałam po tym, że pilnował ich gigantyczny Fuzzy-Wuzzy. Był to pluszowy zajac, którego siostra w dzieciństwie kochała ponad życie. Potwierdzał to jego wygląd: pluszak miał sfatygowane od ciągłego ssania uszy, tylko jedno oczko (drugie zostało w Hajdarabadzie) i wyblakłe, kiedyś żółte spodnie ogrodniczki. Jego przerośnięta wersja, sięgająca mi do pasa, nie wyglądała ani trochę słodko, raczej upiornie. Ogromny Fuzzy-Wuzzy

siedział przed drewnianymi drzwiami pomalowanymi fioletową farbą i, co dziwne, trzymał w łapie ręczną piłę, może w celu odstraszenia intruzów. Przyjrzałam mu się uważnie, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego mogłam widzieć, skoro jako podmuch powietrza z natury rzeczy nie miałam oczu? Jak się okazało, był to błąd (to zastanawianie się), ponieważ natychmiast wróciła grawitacja, a ja upadłam boleśnie na tyłek. Mniejsza o to, przynajmniej wiedziałam już, że potrafię być powietrzem, a to przepęłniało mnie dumą. Zamierzałam zaprezentować swoją umiejętność Henry'emu, kiedy tylko się pojawi.

Gdzie on się znowu podziewał? Miałam nadzieję, że nikt nie zakłócał mu snu. Zdaje się, że w jego rodzinie wszyscy mieli zwyczaj przywoływania go wrzaskiem, gdy tylko pojawiał się jakiś problem. A działa się tak zwykle akurat wtedy, niestety, gdy miałam z Henrym coś ważnego do omówienia. Przeciągnęłam się i wyprężyłam, po czym zaczęłam ostrzyć pazury o framugę drzwi. Kiedy Spot robił coś podobnego, wszyscy natychmiast zrywali się, żeby się nim zająć.

Henry w tym tygodniu odgrywał rolę mojego pocieszyciela. Prawdę mówiąc, jedyne. Wszyscy inni traktowali nas z Mią jak trędowate, mnie nawet bardziej niż Mię, ponieważ w opinii mamy i Lottie byłam „starsza i rozsądniejsza i nie powinnam do tego dopuścić”. Mia twierdziła, że zrobiłaby to i beze mnie, ja zaś byłam skłonna w to uwierzyć. Mimo to mama i Lottie miały oczywiście rację.

W szkole afera wokół Mr Snugglesa przycichła już trochę, ale nadal ściągaliśmy na siebie złe spojrzenia, obcy ludzie zagadywali nas, serwując łzawe historyjki w rodzaju „znałem Mr Snugglesa od dziecka”. Na szczęście Secrecy wzięła na celownik inne tematy, a Henry zapewnił mnie, że niedługo wszyscy zapomną o całej sprawie.

Wszyscy z wyjątkiem Florence.

Zgodnie z zapowiedzią odmawiała siedzenia ze mną przy jednym stole, a w kafeterii demonstracyjnie znalazła miejsce jak najdalej ode mnie. Emily oczywiście przeniosła się razem z nią, co niezbyt mnie zmartwiło – wręcz przeciwnie, właściwie było to fajne, wreszcie miałam od niej spokój. Szkoda tylko, że z tego względu nie siedział już z nami Grayson.

Ponieważ Persefona z powodu ostatnich wydarzeń nie była pewna,

czy przestawanie ze mną nie wpłynie negatywnie na jej własną popularność, początkowo mieliśmy z Henrym stolik tylko dla siebie, ale już w środę dołączyło do nas dwóch chłopaków z drużyny koszykarskiej.

A także Arthur.

– Kto by pomyślał, nasza Liv zawodową zabójczynią z mafii ogródkowej – powiedział i posłał mi szeroki uśmiech. – Gdyby ktoś był ciekaw: uważam, że w Anglii znaczenie bukszpanu mocno się wyolbrzymia. Macie coś przeciwko temu, byśmy się do was przysiedli? (Było to pytanie retoryczne, ponieważ już dawno siedział).

– My mamy w tej chwili problemy z magnolią, ktoś powinien dać jej nauczkę...

Choć nie zapomniałam ani na sekundę, że mam do czynienia z wrogiem generałem, z podstępny i pozbawionym skrupułów Arthurem, to jednak byłam mu w pewnym stopniu wdzięczna za ten gest. Nawet Henry, który nie robił problemu z tego, że siedział przy jednym stoliku z trędowatą, zdawał się cieszyć z jego towarzystwa. Byłam przekonana, że nie wybaczył swemu najlepszemu niegdyś przyjacielowi licznych kłamstw, nie mówiąc o podłym numerze w grobowcu, ale kiedy teraz uśmiechał się szeroko do Arthura, wiedziałam, że czuł to samo co ja: uważał, że to miły gest ze strony Arthura. W tym życiu już się nie zaprzyjaźnimy, lecz przynajmniej zawarliśmy coś w rodzaju rozejmu.

Dwóm pozostałym chłopakom, Gabrielowi i Erikowi, było kompletnie obojętne, co zrobiłam: ani nie znali

Mr Snugglesa, ani nie interesowali się roślinami, a blog Secrecy uznawali za dziewczynski idiotyzm, więc go nie czytali. Bardzo sympatyczni, ci dwaj. Ponieważ Persefona z zasady wielbiła wszystkich chłopaków grających w drużynie koszykarskiej, przesiadła się z powrotem do nas. (A przebywający w dalekiej Francji Jasper na pół godziny popadł w całkowite zapomnienie). Jeśli mam być szczerą, to jedzenie obiadów w nowym towarzystwie sprawiało mi większą radochę niż przedtem z Florence i Emily.

Brakowało mi jedynie Graysona. Nie tylko w porze obiadowej. Tęskniłam za naszymi krótkimi porannymi pogawędkami przy automacie do kawy i wieczornymi, kiedy kłóciliśmy się, kto pierwszy

idzie do łazienki. Schodził mi z drogi i jeśli w ogóle ze mną rozmawiał, to tylko wtedy, gdy było to konieczne. Za to patrzył na mnie ze smutkiem, kiedy się spotykaliśmy, jakby nie znajdował słów.

W domu było najgorzej – Florence oczywiście nadal nie zamierzała siedzieć ze mną i Mią przy jednym stole. Bez słowa opuszczała pomieszczenie, jeśli wchodziła do niego któraś z nas. Mama, Ernest i Lottie wzdychali wprawdzie, lecz byli pełni zrozumienia dla wstrętu Florence, kompletnie nie mieli go natomiast dla pobudek, które skłoniły nas do jatki w ogródku Bochry.

Oczywiście próbowałyśmy się usprawiedliwiać, wymieniając z detalami wszystkie perfidne czyny Bochry, wszystkie wredne, niewybaczalne komentarze, i owszem, przyznawali, że Bochra nie zawsze zachowywała się całkiem poprawnie, ale za każdym razem na koniec pojawiała się pytanie, w czym zawinił biedny, niewinny Mr Snuggles. Najbardziej zwariowane było to, że teraz już sama nie pojmowałam, jak mogłyśmy to zrobić.

Mia miała na ten temat odmienne zdanie: nadal uważała, że byłby to świetny numer, gdyby nas nie nakryto. I tu dochodziliśmy do sedna całej sprawy: skąd, do ciężkiej cholery, Secrecy czerpała swoje informacje? Przecież nawet nie zdążyłyśmy nikomu o tym opowiedzieć, a już o wszystkim napisała na blogu.

Tylko Henry o tym wiedział. Ale rozmowa z nim odbyła się w moim śnie, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. A może jednak? Może razem z Henrym do środka wśliznął się ktoś jeszcze, zamaskowany jako podmuch powietrza? Albo ameba?

Myśl, że to Henry mógłby być informatorem, też oczywiście przyszła mi do głowy, ale dość szybko ją wyparłam, bo jeśli nie mogłam ufać Henry'emu, to komu? Nie, on nie zrobiłby czegoś takiego. Jedyna możliwość była taka, że powierzył komuś tajemnicę, nie wiedząc, że przekazuje ją Secrecy. Kiedy go o to zagadnęłam, nie zareagował rozbawieniem jak zawsze, tylko był trochę zły. A potem przysiągł, że nie powiedział o tej sprawie nikomu, nawet przypadkiem.

Wierzyłam mu.

W zamyśleniu podrapałam się tylną łapą w ucho. Oczywiście, że mu wierzyłam, kochałam go! Gdyby nie Henry, to miniony tydzień

byłby nie do zniesienia. Bezbrzeżne rozczarowanie w spojrzenia mamy („Sądziłam, że rozumiałyście, jakie to dla mnie ważne”), przerażenie Lottie („Zupełnie nie znałam was od tej strony – przecież wy nie potrafiłybyście skrzywdzić nawet muchy!”), bezradność Graysona („Nie pojmuję, dlaczego to zrobiliście!”), pogarda Florence (bez słów) i wysiłki Ernesta, by przypisać nasz czyn trudnościami okresu dojrzewania („Przecież to jeszcze dzieci. Niedawno czytałem, że w fazie przebudowy mózgu w okresie dojrzewania krótkie spięcia są całkowicie normalne”), bolały mnie bardziej, niżbym chciała. Gdybym musiała poświęcić jakąś część ciała w zamian za cofnięcie czasu, nie zawahałabym się ani chwili.

Kiedy powiedziałam o tym Mii, popatrzyła na mnie zszokowana:
– Poważnie? Poświęciłabyś duży paluch u nogi, żeby cofnąć to wszystko?

Przytaknęłam.

– Nawet nerkę. Albo ucho.

– Pokręciło cię – stwierdziła Mia. – Chciałyśmy dopiec Bochrze i to nam się udało. Gdyby nie ta idiotka Secrecy, czułybyśmy się teraz jak bohaterki. Mam gdzieś to głupie ptaszysko. Już ja ukroczę Secrecy ten jej proceder. Prędzej czy później zdradzi się w jakiś sposób, a wtedy ją dopadnę.

Niestety, na razie nic na to nie wskazywało – Secrecy w każdym razie nie mieszkała w Elms Walk, jak przypuszczałam przez pewien czas. Ani jeden uczeń Frognał Academy nie mieszkał w sąsiedztwie pani Spencer, sprawdziłyśmy wszystkie adresy.

Jakby wszystko to nie było wystarczającą karą, mama uparła się, żebyśmy przeprosiły panią Spencer i wystąpiły z propozycją finansowej rekompensaty.

Był to dość okropny moment, kiedy pod czujnym okiem mamy stałyśmy przed Bochrą, mamrocząc „Przepraszamy bardzo”. Na szczęście nie było przy tym Florence i Graysona – inaczej chyba umarłabym ze wstydu. Bochrza odmówiła przyjęcia przeprosin, ale na finansową rekompensatę przystała. Naturalnie, powiedziała, wartość Mr Snugglesa jest niewyliczalna, a nasze oszczędności niestety go nie przywrócą, ale ze względów pedagogicznych uważała przyjęcie od nas

pieniędzy za nieodzowne. Żebyśmy pojęły, że złe uczynki nie pozostają bez konsekwencji. Strata dotknęła nas wyjątkowo boleśnie, bo po raz pierwszy miałyśmy już uciulaną prawie całą sumę na jeden naprawdę wypasiony smartfon – a teraz mogłyśmy o nim zapomnieć.

Jeśli chodzi o efekt wychowawczy, to ograniczył się on do poszerzenia naszego słownictwa o określenia „niesubordynacja” i „szkody kolateralne” (zaczepnięte z wykładu Bochry na temat zdziczenia dzisiejszej młodzieży).

– Jeśli z czegoś jestem dumna, to ze swoich skłonności do niesubordynacji – oświadczyła Mia w drodze powrotnej. Za to ja czułam się jak żywa szkoda kolateralna.

Ale jak to mówią? Co nas nie zabije, to nas wzmocni? Albo jak mawiał Mr Wu: „Rozlanej wody nie da się zebrać”. Innymi słowy, co się stało, to się nie odstanie. Życie toczy się dalej.

Należało też pomyśleć o pozytywach: pomijając wzbogacenie słownictwa, byłam teraz naprawdę dobra w metamorfozie. Z facjatą Bochry przed oczami wyobraźni bez problemu przemieniałam się z jaguara w niedużą sowę płomykówkę. A z sowy w Spota, grubego kocura Spencerów. Krótka faza koncentracji i już wyglądałam jak Buttercup. A potem jak japoński kot z uniesioną łapką. Butelka wody mineralnej. Ważka o mieniących się skrzydłach. I znowu jaguar. Podmuch powietrza. I ja sama w przebraniu Kobiety-Kota. Wspaniałe!

– Nieźle! – odezwał się za moimi plecami Henry. Odwróciłam się szybko. Podczas gdy byłam zajęta swoją małą orgią przemian, on niepostrzeżenie wyszedł zza swoich drzwi. – Jesteś już w tym naprawdę dobra.

– Wiem! – powiedziałam z podekscytowaniem i jednym pstryknięciem zamieniłam strój Kobiety-Kota na dżinsy i T-shirt.

– Przed chwilą czmychnął przede mną nawet senator Mort. To co robimy? Chciałabym pojeździć na rolkach. – Pstryknęłam palcami i oboje z Henrym mieliśmy na nogach rolki. Zakręciłam odważny piruet.

– Ale masz dobry humor. – Kiedy Henry się śmiał, wokół jego oczu tworzyły się maleńkie zmarszczki. – Żadnych nagłych ataków nienawiści do samej siebie ani poczucia winy?

– Zero. Podchodzę do tego tak, jak powiedział kiedyś

Mr Wu: „Choćby czasy były nie wiem jak trudne, zawsze noś w sercu zieloną gałązkę, a spocznie na niej śpiewający ptak”.

– Wow. Skąd Mr Wu bierze te wszystkie kiczowate mądrości?

– Henry chwycił mnie za rękę i razem pojechaliśmy na rolkach korytarzem. To właśnie w nim lubiłam: z chęcią przystawał na wszystko, nie pytając o nic. – Więc senator Mort znowu tu był?

– Tak, tam – odparłam, wskazując na miejsce nieopodal drzwi mamy, gdzie odbijała w lewo odnoga korytarza.

– I znowu mówił zagadkami? – Henry zakręcił mną młynka na zakręcie. Zaśmiałam się. To było naprawdę fajne.

– Nie, właściwie nie. Nazwał mnie kiciusiem i powiedział, że przyjdzie póź... – Zamilkłam, bo w tym momencie rozległ się huk i zza rogu wyłonił się ubrany jak na safari mężczyzna w tropikalnym hełmie, z dwoma strzelbami pod pachami i trzema potężnymi nożami za pasem. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: był to senator Mort w nowym przebraniu. Facet naprawdę zaopatrzył się w sprzęt do polowania na grubego zwierza. Zatrzymaliśmy się przed nim, a on zadarł głowę i zaśmiał się obłąkańczo.

– Przemieniamy się? – wyszeptałam do Henry’ego, który z fascynacją wpatrywał się w senatora. – Niech spróbuje zastrzelić ważkę. Albo muszkę owocówkę.

Ale senator Mort nawet nie próbował użyć broni.

– Wyruszyłem zapolować na leoparda, a spotykam dwoje niedorostków na wrotkach – stwierdził.

To był jaguar, do cholery! Dlaczego wszyscy to mylili?

– Przecież ja was znam – ciągnął senator Mort. – Niedawno mi uciekliście. Wiem, kim jesteście. Henry Grant i Liv Silver.

Mój euforyczny nastrój ulotnił się momentalnie. To chyba niezbyt dobrze, jeśli śmierć zna czyjeś imię, prawda?

– Prawie się zgadza – odrzekł Henry, w wyjątkowo arogancki sposób unosząc brew. Łatwo mu mówić, to jego nazwisko senator pomylił. Nazwisko Jaspera, ściśle mówiąc.

– A pan to...?

– To znowu on – odezwał się ktoś za nami.

Był to Arthur – nie zauważyłam, kiedy minęliśmy jego efekciarskie

metalowe drzwi, na których wygrawerowane były słowa „Carpe noctem”. Chociaż... drzwi już nie były wcale takie bajeranckie. Wyglądały, jakby znacznie się skurczyły.

– Arthur Hamilton – stwierdził myśliwy. – Chłopak, który wygląda jak anioł, lecz ma serce z kamienia.

– Ach, wy już się znacie? – Poczułam się nieco lepiej teraz, kiedy Arthur stał obok nas, a senator Śmierć znał także i jego nazwisko.

– Tak, gość kręci się tu od jakiegoś czasu i dziwnie się zachowuje. – Arthur odgarnął jasny lok z czoła. – Nie przedstawił mi się jeszcze.

– No to ja to zrobię za niego. To jest senator Mort – powiedziałam.

– Nord – uzupełnił Henry.

– Gdyby nie strzelby, uchyliłbym kapelusza – rzekł senator Mort.

– Nord jak północ? – zapytał Arthur, tak samo jak wcześniej Henry.

Senator potwierdził.

– I to wszystko? – upewnił się Henry, choć na usta cisnęło się raczej pytanie „Skąd pan zna nasze nazwiska?” albo „Czego pan od nas chce?”.

Senator Mort uśmiechnął się znowu.

– O nie! Mam wiele imion, mój chłopcze. Niektóre z nich poznaliście podczas naszego pierwszego spotkania.

– Ale nie jest pan demonem? – zapytałam, siląc się na niedbały ton. – Takim sprzed wieków, Panem Cienia i Mroku i tak dalej?

Henry i Arthur łypnęli na mnie z ukosa.

– No co, tak tylko pytam... – mruknęłam. – Patetycznie gada, ma wiele imion, więc chciałam się upewnić.

– Demonem? O nie, nie jestem demonem – odparł senator Mort, a w jego głosie słyhać było żal. – Jam jest mentor Don Strato. – Pokazał na siebie. – Detonator. Tornado. Denat. To wszystko jest we mnie! Tam! To teatr, marnoto!

Znowu bełkot szaleńca.

– I pana drzwi są w tym korytarzu? – Arthur pokazał żółte drewniane drzwi. – Może to te?

– Pudło, niestety – powiedział senator Mort. Powoli skierował strzelby w naszą stronę, wbijając w nas spojrzenie bladoniebieskich

oczu. – A tak w ogóle, co się stanie, kiedy tutaj się kogoś zastrzeli?
Umrze i na jawie?

– Oczywiście, że nie – stwierdziłam i podrapałam się nerwowo po ramieniu.

– Nie? – Senator się uśmiechnął. – Ale nie jesteś tego całkiem pewna, co, blondyneczko? Proponuję, żebyśmy to po prostu sprawdzili. Bang. – Zgiął palec na spuście. – Kto z was na pierwszy ogień? Dziewczyna?

OK, to był właściwy moment, żeby zamienić się w ważkę. Albo jeszcze lepiej we wściekłego szerszenia.

– Do tego potrzebna byłaby strzelba – powiedział Henry, zanim zdążyłam się zdecydować.

Senator Mort ze zdumieniem popatrzył po sobie, zwracając głowę najpierw w lewo, potem w prawo. Zamiast strzelb trzymał pod pachami próbujące się wyrwać młode leopardziątka. A noże u pasa zamieniły się w długie kiełbasy.

– O! – zauważyłam z podziwem. – To ty, Henry?

– Bang – rzucił Henry, a Arthur roześmiał się na głos.

– Ojej, ale mają ostre pazurki, co? A wie pan, co jest jeszcze gorsze? – Pokazał do tyłu. – Tam nadchodzi mamusia!

I rzeczywiście, korytarzem skradała się ogromna leopardzica, rycząc jeszcze groźniej niż ja przed chwilą.

Senator Mort bezskutecznie próbował pozbyć się leopardziątek.

– Zabierz je stąd! – zawołał i zacisnął powieki. Ale kiedy je otworzył, leopardy wcale nie zniknęły. I jak okiem sięgnąć żadnej strzelby.

– Chodźcie, idziemy. – Arthur chwycił nas pod ręce i przepchnął przez próg swoich drzwi. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyliśmy, zanim się zamknęły, była szykująca się do skoku leopardzica.



Nie wiem, czego się spodziewałam, może tego, że wylądujemy w jaskini Batmana albo na jakimś wypasionym basenie lub w prywatnym kinie rodziców Arthura, ale to, co zobaczyłam, wprawiło mnie w zdumienie. Znaleźliśmy się w ogromnej, rzęsiście oświetlonej bibliotece. Nad naszymi głowami wznosiła się potężna biało-złota kopuła. Pomieszczenie było okrągłe, wysokie na trzy piętra, a jego ściany przesłaniały regały z książkami. Biegące wokół galerijki umożliwiały dostęp do książek. Ze środka pomieszczenia, gdzie zapewne była wypożyczalnia, promieniście rozchodziły się długie stoły wyposażone w mosiężne lampy i stanowiska pracy, przy których pomieściłyby się dziesiątki szkolnych klas. Wszystko wyglądało tak nowoczesnie i zarazem cudownie staroświecko, że z piersi wyrwało mi się ciche „Wow!”.

– Czytelnia British Library – wyjaśnił Henry, który nie był pod tak wielkim wrażeniem jak ja.

– No. Lubię mieć ją tylko dla siebie. – Arthur jednym skokiem usadowił się na stole. – No i co sądzicie o naszym myśliwym?

– Czy jest właśnie rozszarpywany na kawałki? – zainteresowałam

się i zerknąwszy na stopy Henry'ego, tkwiące już w normalnych butach, zamieniłam rolki na trampki.

– To zależy od jego opanowania – powiedział Arthur, wzruszając ramionami. – W każdym razie siła jego wyobraźni nie dorównywała naszej – mojej i Henry'ego. A teraz albo uznał, że leopardy są prawdziwe, i robi w gacie ze strachu, albo wręcz przeciwnie, i przejął kontrolę.

– Albo się obudzi. – Henry ziewnął i oparł się o stół. – Tak czy siak, nie wydał mi się jakoś szczególnie niebezpieczny.

– A powinien – odrzekł Arthur. – To, że zna nasze nazwiska i włóczy się po naszych korytarzach, dowodzi, że jest nam bliższy, niżbyśmy chcieli.

Popatrzyłam na niego.

– Myślisz, że to ktoś, kogo znamy w prawdziwym życiu? – Co za nieprzyjemna myśl.

Arthur wzruszył ramionami.

– W każdym razie wie, kim jesteśmy, a to absolutnie mi się nie podoba.

– Mnie również – przyznał Henry. – Jestem niemal pewien, że nigdy przedtem nie spotkałem tego typu.

– A może to przypadek? Może podsłuchał nas i w ten sposób poznał nasze nazwiska? No bo dlaczego mielibyśmy być jedynymi, którzy tu przychodzą?

Zgodnie z moją teorią mógł tu przebywać każdy, kto znalazł we śnie swoje drzwi i nie bał się ich otworzyć i przez nie przejść. Tyle tylko, że większość osób w ogóle nie postrzegала ich świadomie. Albo nie przechodziła przez nie. W przeciwnym razie na korytarzach aż roiłoby się od

ludzi.

Arthur parsknął z rozbawieniem.

– Senator Mort, czyli ktoś, kogo żadne z nas nigdy w życiu nie spotkało, przypadkiem pałęta się pod naszymi drzwiami, przypadkiem zna nasze prawdziwe imiona i nazwiska i przypadkiem sypie zagadkowymi groźbami?

Eee... nie, przypuszczalnie nie. Prawdopodobnie ktoś, kto nas znał,

musiał pokazać senatorowi drogę tutaj. W grę wchodziła właściwie tylko jedna osoba.

Cholera.

– Anabel! – powiedziałam. – To ona mogła go na nas napuścić.

Arthur pokiwał powoli głową.

– Też doszedłem do tego wniosku. Chciałem się tylko upewnić, że to nie żadne z was. Myślę, że Graysona i Jaspiera możemy wykluczyć. Mnie również. – Odgarnął z twarzy kosmyk. Włosy miał dłuższe niż zwykle, a fryzura straciła dawną linię, co było dziwne, bo do tej pory Arthur zawsze dbał o perfekcyjny wygląd. Ale nie stanowiło to uszczerbku dla jego urody.

– Może to jakiś kumpel czy krewny Anabel, któremu opowiedziała całą historię. Albo ktoś z sekty, z której się wzięła ta idiotyczna księga demonów – myślałam głośno. Henry milczał z rękoma założonymi na piersi. Widziałam, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Kumpel? Ten facet jest mocno po trzydziestce. I nie w typie Anabel. – Arthur przygryzł dolną wargę. Może wspominał czasy, kiedy sam jeszcze był w typie Anabel. – Krewny też nie, ona nie ma zbyt licznej rodziny, a tych nielicznych znam. Z sekty uwolniono ją, jak miała trzy latka, a wspólnotę rozwiązano. Z nikim się później nie kontaktowała. A matka aż do śmierci przebywała w wariatkowie... Nie, nie sądzę, żeby to był ktoś z jej przeszłości.

– Bardzo dawno nie widziałem drzwi Anabel. – Henry zmierzył Arthura badawczym wzrokiem. – Wiesz, gdzie one są?

Dobre pytanie! Drzwi Anabel przyciągały wzrok. Były ogromne, dwuskrzydłowe, ze złotymi zawiasami i gotyckim łukiem, jak w kościele. Zawsze znajdowały się naprzeciwko drzwi Arthura. Odkąd Anabel była w szpitalu, zniknęły bez śladu, a w ich miejscu pojawiły się inne.

Arthur pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że Anabel kompletnie zmieniła wygląd swoich drzwi, żebyśmy nie mogli ich znaleźć. W gruncie rzeczy mogą to być każde z nich.

– Także te naprzeciwko? – zapytałam.

Arthur z zażenowaniem wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Te należą do mojej mamy.

Och. Jakie to... eee... słodkie.

– Chyba nie chcesz mi wmówić, że nie spotykasz się już z Anabel.

– Henry chłodnym wzrokiem świdrował swojego byłego najlepszego kumpla.

– Ale to prawda. Odkąd przebywa w klinice, widziałem ją tylko dwa razy. Zaraz na początku. – Arthur znowu zapatrzył się na buty.

– Pojawiła się pod moimi drzwiami, ale ja zmieniłem kod w zamku.

– Uniósł podbródek i popatrzył mi, a potem Henry’emu prosto w oczy.

– Czy wy w ogóle potraficie sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy własna dziewczyna manipuluje tobą do tego stopnia? Jak do dupy się czujesz, wykorzystany i okłamany?

– Mam nadzieję, że to było pytanie retoryczne. – Henry uniósł do góry brew.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz drugi, zerwałem z nią – ciągnął twardo Arthur. – A właściwie... No dobra, właściwie to ona zerwała ze mną. W każdym razie to nie były radosne spotkania. Miała do mnie masę pretensji. – Zamilkł, a po chwili dodał: – Nie patrz tak podejrzliwie, Henry!

– O, z pewnością to rozumiesz. – Głos Henry’ego ociekał sarkazmem. – W przeciwieństwie do nas potrafisz sobie doskonale wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy człowiek jest manipulowany i okłamany przez przyjaciela. Jak do dupy się czuje.

Arthur uniósł do góry obie ręce.

– Proszę cię... przepraszałem już wystarczająco wiele razy.

Naprawdę? Mnie nie przeprosił. Może uważał, że jesteśmy kwita ze względu na złamaną szczękę.

Henry i Arthur patrzyli na siebie hardo.

– Są rzeczy, za które po prostu nie można przeprosić – powiedział Henry.

Westchnęłam. Zaraz skoczą sobie do gardeł. Albo przemienią się w jakieś zwierzęta, żeby rozszarpać się na kawałki.

– Hej, lepiej zastanówmy się, o co chodzi z tym senatorem – zaproponowałam. – Po co Anabel miałaby go na nas nasyłać? Co on takiego potrafi oprócz łażenia w śmiesznym przebraniu i wybuchania

obłąkańczym śmiechem, który odbija się echem po korytarzu... Zaraz! To jest to! – Z przejściem złapałam oddech. – Ten facet jest obłąkany! To jakiś pacjent ze szpitala Anabel. To by tłumaczyło pokrętnie brednie o tornadach, detonatorach i stronach świata.

Arthur uniósł głowę i przytaknął.

– Jest taka możliwość.

– No, to ma sens – zgodził się Henry. – Chociaż ja odniosłem wrażenie, że w tej jego gadaninie jest jakaś logika. Tylko nie wiem jaka.

– Nawet jeśli jest to psychopatyczny morderca, to nie wydaje mi się, żeby tutaj mógł nam jakoś zaszkodzić – powiedziałam. – Jest co najwyżej lekko uciążliwy.

– Powiedzmy, że na razie tak – skwitował Arthur. – Ale lepiej nie lekceważcie Anabel. Jest niebezpieczna.

– Jest pod kluczem w klinice w Surrey – zaproponowałam. – Na oddziale zamkniętym.

– Nie masz pojęcia, do czego ona jest zdolna, Liv – powiedział Arthur.

– Halo? – Zmierzyłam go wściekle wzrokiem. – Chciała poderżnąć mi gardło, dobrze wiem, do czego jest zdolna. Lecz dopóki przebywa w tej klinice, chyba nie musimy się jej obawiać. Tak samo jak tego cudaka z korytarza. Prawda, Henry?

Ale on był myślami gdzie indziej.

– Ten ton ma odrost – mamrotał. – Tornado... detonator... to ten trans, mordo... może to jakiś szyfr?

Westchnęłam.

– Jeśli tak, dowiemy się tego. A tak w ogóle to chciałam powiedzieć, że...

– Senator Mort może i jest nieporadny w tej materii, ale sami wiecie, jak szybko my się uczyliśmy – wszedł mi w słowo Arthur. – Ja jestem dobry, a Henry może nawet trochę... – zawahał się, ale jakoś nie chciało przejść mu przez gardło, że jego były kumpel Henry mógłby być lepszy od niego. – Chodzi o to, że wszyscy nie dorastamy Anabel do pięt.

– Mentor Don Strato... – mruknął Henry. – Zgadza się? A może to

był Tito?

– Ale... – chciałam powtórzyć po raz czwarty, że Anabel nie mogła nam nic zrobić, lecz Arthur nie dał mi dokończyć.

– Nie rozumiesz, Liv? – Zsunął się ze stołu. – Nie chodzi o to, co się dzieje w prawdziwym świecie. Tutaj... – Wskazał na swoje drzwi tkwiące między regałami na pierwszym piętrze, jakby były częścią biblioteki – w tym miejscu jest niebezpiecznie. Za mało o tym wiemy. Przypuszczalnie nie znamy nawet ułamka wszystkich możliwości. Za to Anabel przekracza granice, o których nie macie pojęcia. Wierzcie mi, ta sprawa jeszcze nie jest skończona.

Podobnie wyraziła się Anabel podczas naszego ostatniego spotkania kilka tygodni temu. „To dopiero początek”, powiedziała.

Henry zrezygnował z roztrząsania słów senatora.

– No i co z tego? – rzekł, spoglądając na Arthura. – Nawet jeśli Anabel coś knuje, to nasze drzwi są bezpieczne. Musimy po prostu zachować ostrożność na zewnątrz, to wszystko. – Oderwał się od stołu. – My, czyli w tym przypadku Liv i ja. Co z tobą, prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzi. – Jego spojrzenie nabrało intensywności. – Nie ufam ci, Arthur.

– Ty nikomu nie ufasz, Henry – odparł zapalczywie Arthur. – Dlatego tego nie odpuszczasz. – Potoczył ręką wokół. – Jesteś uzależniony od wkradania się do snów osób, których nie darzysz zaufaniem. Wiem, że jesteś w tym dobry. I że masz się za człowieka bez skrupułów. Ale w porównaniu z Anabel jesteś aniołkiem.

Tym razem Henry wzruszył ramionami.

– W porównaniu z tobą również – rzucił chłodno. – Chodź, Liv, zmywamy się. Noc jest krótka...

Wyciągnął do mnie rękę, ale kiedy chciałam ją chwycić, już jej nie było. Henry zniknął.

– Znowu! – jęknęłam.

Arthur zawiesił na mnie wzrok.

– To się zdarza częściej?

– Ciągłe. Prawie co noc budzi go któreś z rodzeństwa. Panuje u nich jakiś wirus żołądkowy...

– Jasne, a matka znowu się nie poczuwa. Biedny Henry.

Wprawdzie moja rodzina jest od czapy, ale nie zamieniłbym się z nim.
– Arthur wyciągnął nogi i uśmiechnął się do mnie szeroko. – Za to ma słodką dziewczynę – powiedział niby mimochodem.

– I to jest moment, w którym muszę, niestety, iść – odparłam i rozejrzałam się za drzwiami na korytarz. Nadal tkwiły między regałami. Wbiegłam schodami na galeryjkę, a Arthur podążył za mną w odpowiedniej odległości, uprzejmy gospodarz w każdym calu. Gdybym miała ze sobą płaszcz, pewnie pomógłby mi go włożyć. W gruncie rzeczy chętnie pogawędziłabym z nim dłużej, zwłaszcza teraz, kiedy zaczęło się robić ciekawie. Ale, po pierwsze, w jego oczach pojawił się zuchwały błysk, a po drugie, uznałam, że nie byłoby fair w stosunku do Henry’ego wypytywać o niego jego byłego kumpla.

Ostrożnie wyjrzałam za próg. Prawie spodziewałam się zobaczyć na podłodze kałuże krwi. Ale korytarz był pusty i nieskazitelnie czysty.

– Odprowadzić cię do twoich drzwi? – zapytał Arthur. Światło padało na niego przez kopułę. Zauważyłam, że wyglądał na zmęczonego. Już nie tryskał pewnością siebie, jak niegdyś, choć wciąż sypał podobnymi tekstami. I nagle to, co mówił o Anabel, przestało wydawać mi się takie nieprawdopodobne. OK, ja też mu nie ufałam, w końcu to był Arthur, jednak z drugiej strony nie do końca rozumiałam, dlaczego Henry tak po prostu zbył jego ostrzeżenia.

– To jak? – Arthur zauważył moje wahanie.

Pokręciłam głową. Marzyłam już tylko o własnym łóżku. A właściwie o kilku godzinach spania, bez żadnych snów.

– Poradzę sobie. Senator Mort chyba już skończył na dziś urzędowanie. Dzięki za... eee... właściwie za nic.

– Nie ma za co – powiedział mimo to Arthur. – Nawet jeśli Henry jest odmiennego zdania, uważam, że powinniśmy trzymać się razem. Razem być może jesteśmy wystarczająco silni.

Tak. Może. Do czegokolwiek nam ta siła potrzebna.

– Dobranoc. – Już chciałam odejść, ale odwróciłam się jeszcze raz, niemal odruchowo. Musiałam zadać mu to pytanie, nawet jeśli to był Arthur, a mnie prześladowało to okropne uczucie, że zdradzam Henry’ego. – Co miałaś na myśli? Mówiąc, że Henry nikomu nie ufa i zakrada się nocą do snów? Czyich snów?

– No, skoro nie powiedział ci nawet tego... – Arthur nie dokończył. Nie musiał.



Zerwałam się z łana potem. Cholera! Znowu byłam zmutowaną rośliną w samym sercu parku. Na szczęście obudziłam się, kiedy Bochra podeszła do mnie z ogromnymi nożycami. Tak dalej być nie mogło – potrzebowałam kilku godzin snu. Może powinnam spróbować tej herbatki nasennej, którą tak wychwalała Lottie. Nawet jeśli potwornie zajeżdżała walerianą. (Z którego to powodu Spot zawsze, kiedy Lottie ją piła, sadowił się u niej na kolanach, wlepiając w nią maślane spojrzenie).

Zerknęłam na budzik i stwierdziłam, że do końca nocy zostały jeszcze dwie godziny, dwie nędzne godziny, w ciągu których pewnie nie zmrużę oka, jeśli nie zrzucę z siebie tych przepoconych rzeczy. Zapaliłam lampkę nocną, wstałam i włożyłam inne spodnie od piżamy i świeży T-shirt. To znaczy, chciałam włożyć, bo kiedy po nie sięgnęłam, drzwi pokoju otworzyły się nagle. Wydałam z siebie cichy okrzyk i zasłoniłam się rękoma – Bóg mi świadkiem, nie wiem, kogo się tu spodziewałam. Ale to była Mia. Nawet na mnie nie spojrzała, tylko powoli, z nieruchomym spojrzeniem minęła mnie i ruszyła ku łóżku.

– Tak – powiedziała. – Tu leży.

– Nie, nie leży – sprostowałam. – Stoi. Tu, przy szafie!

Ale Mia jakby mnie nie słyszała. Wyciągnęła przed siebie ręce, jak gdyby chciała coś wymacać. Szybko naciągnęłam przez głowę świeży T-shirt i dotknęłam ostrożnie jej ramienia.

– Hej.

– Wygląda tak samo jak ty, Liv – szepnęła Mia ze wzrokiem utkwionym w wymiętoszonej poduszce. Odkąd tu weszła, ani razu nie mrugnęła. – Zrobię to – dodała zdecydowanym tonem i prędzej, niż ktokolwiek mógł zareagować, chwyciła za jedną z ozdobnych poduszek (tę z wiewiórką) i obiema rękoma docisnęła ją do mojej poduszki.

– Mia! – zawołałam, tym razem ostrzejszym tonem. To jakiś obłąd. Moja własna siostra próbowała udusić poduszką poduszkę. Z drugiej strony – gdybym przypadkiem nie wstała, to właśnie dusiłaby mnie. – Obudź się! Już! – Chwyciłam ją za barki i potrząsnęłam mocno. – Mia! Dostyc tego, poduszka nie żyje!

Oddychając z wysiłkiem, zamrugła w świetle lampki. A potem wydała z siebie przeraźliwy wrzask. No dobra, przeraźliwy może tylko dlatego, że wrzeszczała mi prosto do ucha, w każdym razie dość głośno, by zwabić Graysona. Wpadł do środka, ubrany we flanelowe dziadkowe spodnie w wielką kratę, będące częścią pizamy, którą sprezentowała mu pod choinkę Bochra, nieświadoma, że Grayson z zasady sypiał z gołym torsem. A to sprawiało, że bynajmniej nie wyglądał jak dziadek.

– Co się stało?

Jak dobrze, że zdążyłam jeszcze włożyć T-shirt. Tyłem do przodu, jak zauważyłam.

– Znowu lunatykowała – wyjaśniłam.

Mia wyglądała na dość wzburzoną, gapiła się na przemian to na mnie, to na trzymaną w rękach poduszkę i wciąż ciężko dyszała.

– Znowu lunatykowałam? – powtórzyła. – Śniło mi się coś straszego. Liv miała klona, złą istotę, która chciała ją zabić i zająć jej miejsce... Ale zdążyłaś w porę uciec, Liv, a ja schowałam się w twoim pokoju. Wszyscy brali klona za prawdziwą Liv. – Obrzuciła Graysona pełnym wyrzutem spojrzeniem. – Nawet ty!

– Ekhem. Przepraszam? – powiedział Grayson. Na szczęście był jedyną osobą, którą obudziłyśmy. Zamknęłam pośpiesznie drzwi, żeby tak zostało.

Mia przełknęła ślinę.

– W każdym razie musiałyśmy poczekać, aż fałszywa Liv zaśnie. A potem zakradłyśmy się do pokoju i... – urwała.

– I chciałyśmy udusić fałszywą Liv poduszką – dokończyłam za nią i roztrzepałam poduszkę. – To poduszka miała szczęście, że nie chciałaś zadźgać jej nożem...

– Więc we śnie przyszłam do ciebie, wzięłam poduszkę i... Boże!
– Mia wpatrywała się we mnie z przerażeniem. – To okropne!

– No już dobrze, przecież nic się nie stało.

– Ale gdybyś leżała w łóżku... – Oczy Mii wypełniły się łzami. Rzadko się to zdarzało, a jeśli już, to w złości, toteż zaalarmowana chwyciłam ją za rękę.

– Hej, wszystko jest w porządku, Mia. – Łagodnie usadziłam ją na krawędzi łóżka i usiadłam obok niej.

– Nic nie jest w porządku – powiedziała.

Grayson stał przed nami niezdecydowanie.

– Próbowwała udusić cię poduszką?

– Nie, dusiła poduszkę poduszką, nic poza tym. – Łypnęłam na niego złowrogo. Musiał to analizować, kiedy Mia i tak była cała roztrzęsiona?

Grayson nic sobie nie robił z moich spojrzeń. Usiadł na łóżku obok Mii.

– A przypominasz sobie, kto wpadł na pomysł, żeby udusić Liv?

– Wrednego klona Liv, chcesz powiedzieć. O której myślałaś, że jest prawdziwa – uściśliłam, cały czas patrząc na Graysona znacząco ponad pochyloną głową Mii. Ale on w ogóle nie zwracał na mnie uwagi.

– Powiedzmy sobie szczerze, jakie to ma znaczenie? Niektórych snów nie należy rozpamiętywać, tylko zapomnieć o nich jak najszybciej. –

Na przykład, kiedy we śnie ze stóp kielkują ci korzenie, a z palców pączkują gałązki i liście. – Proponuję, żebyśmy zaprowadzili Mię do łóżka.

Mia pokręciła głową.

– Nie, nie chcę spać, nigdy więcej. Robię we śnie straszne rzeczy!

– Jeśli chcesz, położę się obok ciebie i będę cię pilnować – zaproponowałam, zerkając na zegarek. – I tak już niewiele zostało

z nocy.

– A nie mogę po prostu spać tutaj? – Mia nie czekała na odpowiedź, tylko wśliznęła się pod kołdrę i ułożyła wygodnie.

– Oczywiście, może być i tak – odparłam.

Grayson westchnął.

– Czy to lunatykowanie nie wydaje ci się trochę dziwne, Liv? I że próbowała zamordować cię we śnie?

– Teraz to już przesadzasz. – Poprawiłam kołdrę Mii. – Przecież chodziło tylko o mojego klona.

– Naprawdę nie chcę już nigdy więcej spać – mruknęła Mia z zamkniętymi oczami i odprężoną twarzą. – Jeszcze tylko dziś. Jestem taka śpiąca...

Reszta jej słów zmieniła się w niezrozumiałe mamrotanie i już po chwili siostra oddychała głęboko i spokojnie.

W milczeniu patrzyliśmy na siebie z Graysonem. Nagle uświadomiłam sobie jego bliskość i pożałowałam, że nie włożył jakiegoś T-shirtu. Jego nagi tors mnie rozpraszał.

– Czy to nie jest ten moment, w którym powinieneś opuścić pokój? – zapytałam, dobrze wiedząc, że zabrzmiało to trochę uszczypliwie.

W sumie Grayson nic mi nie zrobił oprócz tego, że obrzucał mnie rozczarowanym spojrzeniem. Mimo to ciągnęłam dalej: – A może zapomniałeś, że zostaliśmy wyklęte przez klan Spencerów? Żadnego spoufalania się z morderczyniami drzew.

Chwycił mnie za rękę i zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Liv, musisz potraktować to poważnie. A co, jeśli Mia nie śniła tego snu sama? Co, jeśli ktoś manipuluje jej snami, żeby ci zaszkodzić?

Przełknęłam ślinę.

– To jest... – chciałam powiedzieć: wykluczone. Tylko czy na pewno?

– Pomyśl przez chwilę: skąd Secrecy wiedziała o tobie te wszystkie rzeczy?

No właśnie, skąd? Włoski na moich przedramionach zjeżyły się, co nie umknęło uwadze Graysona.

– Rzeczy, o których wiedziałaś tylko ty – dodał z naciskiem. – Ty

i Mia.

I Henry.

– Nie mam pojęcia – wyszeptałam. – W każdym razie Mia w życiu niczego by nie wygadała.

– Nie z własnej woli. Ale czy nie mogło być tak, że ktoś dowiedział się tego wszystkiego, bo po nocach zakradał się do jej snów? – W świetle lampki brązowe oczy Graysona wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle. Wyglądał na poważnie zatroskanego i tak współczującego, że poczułam nagłą potrzebę wsparcia się na nim i wypłakania. Czego oczywiście nie zrobiłam – wręcz przeciwnie, odsunęłam się trochę od niego.

– Myślisz, że Secrecy szpiegowała Mię we śnie?

Wzruszył ramionami.

– Raczej ktoś, kto przekazał te informacje Secrecy.

– I ten ktoś nakłania Mię do lunatykowania? – Pokręciłam głową i odgarnęłam kosmyk włosów z twarzy siostry. Wyglądała tak słodko, kiedy spała. – Ja też lunatykowałam jako dziecko. To u nas rodzinne. Wszyscy śnimy żywiołowe sny.

– No, to akurat się zgadza. – Grayson westchnął. – Liv, tak na serio, wy nadal to robicie, ty i Henry, prawda?

O nie, on znowu swoje. Popatrzyłam na niego z udawanym niezrozumieniem, ale nie dał za wygraną.

– Nadal chodzicie po tym korytarzu, tak?

– No... – Trudne to było. Tak chętnie bym go okłamała. Już choćby po to, by oszczędzić sobie tego rozczarowanego spojrzenia. – Nie... eee... nie całkiem – wyjąkałam.

Rozczarowane spojrzenie wróciło. Nikt nie opanował go tak doskonale jak Grayson.

– Wiedziałem. Domyśliłem się tego po twoich podkrążonych oczach. W sumie byłbym zdziwiony, gdybyście zdołali z tego zrezygnować. Henry nie potrafi i ty też nie. A o Arthurze już nawet nie chce mi się mówić... – Z kolejnym westchnieniem puścił moją rękę.

– Nie rozumiem was. To nierozsądne i lekkomyślne i... po prostu nie można tego robić! Sny są jak myśli, powinny być wolne i nikt nie ma prawa ich podglądać. Nawet dla zabawy.

– Ale... my wcale tego nie robimy – broniłam się. – Nie zakradamy się do snów innych. – Najwyżej w potrzebie. Kiedy ściga nas senator Mort, a twoje drzwi przypadkiem są jedyną drogą ucieczki...
– My się tylko spotykamy w naszych własnych snach. W tym nie ma przecież nic złego.

– Pomijając fakt, że nie macie pojęcia, jak i dlaczego to funkcjonuje? Po tym wszystkim, co przeszliśmy w zeszłym roku?
– Szept Graysona stał się tak głośny, że właściwie nie można go już było nazwać szeptem.

– Sądziłam, że jesteśmy zgodni co do tego, że demonów nie ma, w ogóle i w szczególności – powiedziałam.

– To w niczym nie zmienia faktu, że nie wiecie, w co się pakujecie. To jest nieobliczalne, niemoralne, niezdrowe, to jest...

– Pst – przerwałam mu. Ta piątkowa poranna dyskusja w połączeniu z niewytłumaczalną pokusą wyłakania się w nagi tors Graysona zaczynała mnie przerastać. – Zaraz obudzisz Mię. Ona potrzebuje snu. I ja też! – Wskazałam na swoje łóżko.

– Właśnie! – Grayson ruszył do drzwi. A właściwie odmaszerował, tupiąc. Z taką furją, jakiej dotąd u niego nie widziałam. Na progu odwrócił się jeszcze. – Myślisz, że nie widzę, jak się czujesz? Pomijając hektolitry kawy, które wlewasz w siebie co rano, jak długo chcesz to jeszcze ciągnąć? – Nie czekając na odpowiedź, burknął „Śpij dobrze” i zamknął za sobą drzwi. Przynajmniej nie trzasnął.

– Ty też! I następnym razem włóż coś na siebie, z łaski swojej – mruknęłam. Zgasiałam lampkę, ostrożnie ułożyłam się obok Mii i poczułam się okropnie.

Oczywiście nie udało mi się już zasnąć. Przez cały czas myślałam o tym, co powiedział Grayson. A co, jeśli rzeczywiście ktoś wkradł się do snów Mii? Kto mógłby mieć w tym jakiś interes? Czy to ktoś, kto chciał mi zaszkodzić, jak przypuszczał Grayson? Znowu przychodziła mi do głowy tylko Anabel. Może potrafiła nakłonić kogoś do lunatykowania? Musiałaby jednak mieć jakiś osobisty przedmiot Mii, żeby przejść przez jej drzwi. Skąd by go wzięła, skoro znajdowała się w szpitalu w Surrey? A może w istocie było tak, jak sugerował Arthur, i Anabel miała pomocników w realnym świecie, którzy wzięli nas na

celownik? Pomocników, których być może znamy?

Mia ani drgnęła. Nadal wyglądała na całkowicie odprężoną. Postanowiłam dłużej nie próbować zasnąć, ostrożnie wstałam z łóżka, owinęłam się w gruby rozpinany sweter i usiadłam na wymoszczonym miękkimi poduchami parapecie, moim ulubionym miejscu do rozmyślania, odkąd wprowadziłyśmy się do Spencerów. Widać stąd było pieczołowicie pielęgnowany przez Ernesta ogród. O tej porze roku, pełen nagich drzew i krzewów, nie przedstawiał podnoszącego na duchu widoku, ale łatwo było sobie wyobrazić, jaki będzie wiosną, kiedy zakwitną wiśnie i magnolie, a u ich stóp rozciągnie się dywan niezapominajek. Dzisiejszej nocy wiosna wydawała mi się jednak nieskończenie odległa.

Mia przewróciła się na drugi bok i wydała z siebie błogi odgłos. Przynajmniej ona spała snem sprawiedliwego. Westchnęłam. Może to urojenia, ale w żadnym razie nie mogłam dopuścić do tego, by ktoś włąził do jej snów. Tylko jak przypilnować jej drzwi? Wszystko rozbijało się o to pytanie. Czy będę w stanie zwiększyć środki bezpieczeństwa przy jej drzwiach, czy konieczne okaże się wtajemniczenie Mii, żeby mogła chronić się sama?

Kiedy zadzwonił budzik, nadal nie miałam odpowiedzi na te pytania. Jedno było pewne: potrzebowałam hektolitrów kawy.



Schodząc na dół, usłyszałam dobiegające z kuchni odgłosy kłótni. Mia stała w połowie schodów i wychylała się za poręcz. Na mój widok uniosła ostrzegawczo rękę i przytknęła palec do ust.

– Tym razem posuwasz się za daleko, Florence – grzmiał Ernest.

– To moje osiemnaste urodziny i chcę, żeby były wyjątkowe – warknęła w odpowiedzi jego córka. – Nie mogę ich obchodzić w tym domu, pod jednym dachem z tymi... tymi potworami!

– To o nas – wyszeptała Mia.

– Co przemawia przeciwko temu, żeby urządzić imprezę u babci? – ciągnęła Florence. – Sama to zaproponowała, ma wystarczająco dużo miejsca i z wielką chęcią pomoże nam w przygotowaniach! Dla ciebie to same korzyści, tato, przypomnij sobie, jak wyglądał dom po ostatniej imprezie.

– Ale tu nie o to chodzi – powiedział Ernest.

– Nie! – przyznała natychmiast Florence. – Chodzi mi o to, żebym mogła świętować swoją osiemnastkę tam, gdzie te... te okrutnice...

– To o nas – szepnęła znowu Mia.

– ...nie będą miały dostępu!

– Florence Cecilio Elizabeth Spencer! – Ernest musiał być chyba naprawdę wkurzony, skoro wymienił wszystkie imiona córki.

– Pozwalam ci naprawdę na wiele, ale to...

– Co takiego? – jazgotała. – Nie możesz nas zmusić, byśmy urządzili imprezę. Już i tak zmuszasz nas do mieszkania pod jednym dachem z tymi... rezunami.

Niewiele brakowało, a wyszeptałabym „To o nas”. Rezunami? Z którego stulecia ona wzięła to słowo?

W tym momencie po schodach zatupotała Lottie, chcąc galopem przecisnąć się obok nas.

– Zaspałam! – wysapała. – Po raz pierwszy od pięciu lat.

– Ćśś! – Mia pochwyciła Lottie i niewiele myśląc, zasłoniła jej usta dłonią.

– Mufe fyfifnąć fomelo! – Lottie próbowała się uwolnić, ale Mia nie puszczała.

– Wierz mi, w tej chwili nikt nie ma ochoty na sok – zapewniłam Lottie szeptem, a ona przestała się szarpać, stanęła między nami i wychyliwszy się przez poręcz, nastawiła uszu.

Kłótnia trwała w najlepsze.

– Grayson, ty też coś powiedz – zażądała Florence.

Właśnie, też coś powiedz, Grayson.

– Nie mam ochoty na imprezę u babci – oznajmił Grayson.

Ponieważ był jedyną osobą, która nie krzyczała,

musiałyśmy przechylić się przez barierkę, żeby go zrozumieć. Na szczęście drzwi do kuchni były otwarte. – Człowiek nie może się tam swobodnie obrócić, by nie przewrócić czegoś cennego. Jeśli chcesz wiedzieć, to dość obciachowe lokum.

– Absolutnie – zgodziła się Mia szeptem.

– Nieładnie tak podsłuchiwać – odszepnęła Lottie. – Powinnyśmy jakoś dać znać, że tu jesteśmy!

– Ani mi się waż – syknęłyśmy z Mią jednocześnie. Chciałyśmy usłyszeć dalszy ciąg.

– Babciną kolekcję porcelany oczywiście sprzątniemy – nie ustępowała Florence. – I nie pytam cię o zdanie, to już dawno postanowione.

– Florence Cecilio Eli... – Ernestowi najwyraźniej nie przychodziły do głowy żadne inne argumenty.

W tym czasie dołączyła do nas mama. Oparła się o poręcz kilka stopni wyżej. Na jej twarzy malowały się wyrzuty sumienia, ale z powodu ostrego tonu w głosie Florence chyba obawiała się zejść na dół. A może obudził się w niej uśpiony instynkt lwicy i zamierzała zostać przy swym potomstwie, by bronić go kłami i pazurami?

– Ach tak? – Tym razem Graysona słyszeć było doskonale.

– Skoro tak, to wyprawimy dwie osiemnastki, siostrzyczko: ty urządzisz swoją u babci, ja swoją tutaj. Zobaczmy, kto będzie miał więcej gości.

Zapadła krótka cisza.

– Nie zrobisz mi tego! – wykrzyknęła zbulwersowana Florence.

– Owszem, zrobię. Zachowujesz się po prostu idiotycznie.

– Ja się zachowuję idiotycznie? Ja? Czy to ja wykradłam się nocą z domu, żeby zniszczyć zabytek kultury?

W tym momencie mama posłała nam znajome spojrzenie mówiące: „No i widzicie, co narobiłyście”. Tyle w temacie instynktu lwicy: mama go nie miała.

– Och, Florence, zamknij się wreszcie! – zawołał Grayson. – Mam powyżej uszu tego cyrku! To było tylko jakieś cholerne drzewo!

– Tupiąc nogami, wypadł z kuchni tak niespodziewanie, że nie zdążyliśmy się ukryć.

Przedstawialiśmy niewątpliwie osobliwy widok, przewieszając się we cztery przez barierkę (brakowało tylko Buttercup, ale ona zapewne już dawno siedziała pod krzesłem Ernesta i czekała na swoją porcję rostbefu), lecz Grayson jedynie obrzucił nas zmęczonym spojrzeniem, a potem podszedł do wieszaka, żeby sięgnąć po kurtkę.

– Widzisz, co narobiły, tato? – piekliła się w kuchni Florence.

Mieszanina furii i łez w jej głosie miała doskonale wyważone proporcje. Czy czegoś takiego można się nauczyć? – Właśnie udało im się wbić między nas klin. Między mnie i mojego brata bliźniaka.

Wypadła z impetem z kuchni, a my przytomnie porzuciłyśmy nasze stanowisko nasłuchiwania i udałyśmy, że właśnie w tym momencie schodzimy po schodach. Niestety, Mia i Lottie zderzyły się przy tym głowami.

– Au! – rzuciła z pretensją Mia.

Florence nie zaszczyciła żadnej z nas spojrzeniem, tylko minęła nas pędem. Rozległ się huk zatraskiwanych drzwi do łazienki i chrobot przekręcanego klucza.

Dzięki temu droga do automatu do kawy wreszcie była wolna.

Ale nie, nie do końca. Przy wieszaku ciągle stał Grayson. Wyrzuty sumienia zmusiły mnie do zatrzymania się przy nim, podczas gdy mama i Lottie skręciły do kuchni.

– Przykro mi – mruknęłam i powiedziałam to szczerze. Było mi przykro, że ścięłyśmy Mr Snugglesa. Było mi przykro, że pokłócili się z naszego powodu. I było mi przykro, że Grayson wyglądał tak nieszczęśliwie.

– Że co? – burknął. W tym momencie z siostrą bliźniaczką łączyło go więcej, niż podejrzewał.

– No, że jesteśmy takimi potworami, okrutnicami i rezunami – odparła zamiast mnie Mia.

Byłam niemal pewna, że Grayson wcale tego nie chciał, ale jego spochmurniałą twarz rozjaśnił spontaniczny uśmiech. Odwzajemniłam go z ulgą. Grayson jednym szarpnięciem zapiął suwak kurtki i naciągnął na głowę włóczkową czapkę. Jako jedyny dojeżdżał do szkoły rowerem, i to w każdą pogodę. Florence, Mię i mnie podrzucał Ernest, nakładając spory kawałek drogi do pracy. Ale odkąd Florence omijała nas jak najszerszym łukiem, dobrowolnie przesiadaliśmy się z Mią na autobus. Nie chcieliśmy wszakże, żeby biedaczka musiała w popłochu opuszczać jadący samochód, byle uniknąć naszego towarzystwa.

Następny autobus odjeżdżał za dziesięć minut i jeśli chcieliśmy go złapać i zdążyć do szkoły, to musiałyśmy się pośpieszyć.

Grayson zauważył moje spojrzenie rzucone na duży zegar ścienny i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zdaje się, że potwór, okrutnica i rezun w jednej osobie musi dziś zrezygnować ze swojej kawy – powiedział.

– Ach, to nic wielkiego – odparłam. – W tej chwili w moich żyłach buzuje wystarczająco dużo adrenaliny.

To akurat było zgodne z prawdą, ale efekt ten nie utrzymał się długo. Na lekcji francuskiego z panią Lawrence z trudem udawało mi się

nie zasnąć. Na próbę położyłam głowę na ramionach. Tylko na chwilę zamknąć oczy... Pora w sam raz na małą drzemkę. Wreszcie spokój. I w ogóle to by było to: spać w dzień, odwrotnie niż wszyscy inni. Czyste odprężenie.

– Słyszałaś już, gdzie odbędzie się impreza urodzinowa Florence i Graysona?

Persefona też nie miała ochoty śledzić wywodów pani Lawrence na temat *le passé composé*. Wzięło ją na jeden z tych szeptanych monologów, które nazywała „rozmową” i które kończyły się dopiero wtedy, gdy pani Lawrence, piniąc się z wściekłości, wyrastała przy naszej ławce i posądzała mnie o zakłócanie spokoju. O, jak ja tego nienawidziłam!

– U ich babci! W każdym razie tak twierdzi Secrecy.

No jasne, Secrecy znowu była świetnie poinformowana. Czasami błogosławiłam brak smartfonu. (Co raczej nie ulegnie zmianie w najbliższym czasie. Ale to jeszcze nie powód, by być za to wdzięcznym pani Spencer).

– A to oznacza, że nie możecie na nią iść, Mia i ty. Macie przecież zakaz wstępu do domu babci Florence i Graysona. – Zrobiła króciutką dramatyczną pauzę, żeby podkreślić sformułowanie „zakaz wstępu”, po czym ciągnęła dalej: – Ale mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła, jeśli mimo to pójdę, prawda? Gabriel na pewno zostanie zaproszony przez Graysona, a jeśli zapyta, czy z nim pójdę, to raczej nie mogę odmówić... Widziałam wczoraj tę totalnie słodką spódnicę Missoni, która byłaby po prostu idealna na imprezę, wcale nie w takie typowe prążki, tylko granatową, ale nie w takim nudnym marynarskim odcieniu, tylko trochę mocniejszym, ale nie błękit królewski, tylko coś bardziej w stylu ciemny morski, ach, to trudno opisać, to trzeba zobaczyć, może mogłabyś ze mną jutro pójść, mieli też przesłodkie sukienki, ale ty w sumie nie potrzebujesz sukienki, skoro nie idziesz na imprezę, z drugiej strony sukienka zawsze się przyda, a moja siostra mówi, że ubrania Missoni to jakby ponadczasowe inwestycje kapitału...

Persefona trajkotała i trajkotała, a właściwie posykiwała i posykiwała. Czułam się, jakbym siedziała obok zepsutego kompresora. Po jakimś czasie przestałam zwracać uwagę na te dźwięki. Z przodu

dobiegała monotonna, ale melodyjna francuszczyzna pani Lawrence, z boku usypiające posykiwanie Persefony... Moja głowa opadła z powrotem na ramiona.

– ...został przyłapany? Henry musiał go odebrać z komisariatu. Momentalnie oprzytomniałam.

– Co? Kto?

Persefona popatrzyła na mnie z dezaprobatą.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Mimo wszystko jednak chciałabym wiedzieć, czy to prawda, w końcu to dość dziwne, że dwunastolatek kradnie luksusowe perfumy.

– Ale kto?

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– O Boże, ty o niczym nie wiesz, prawda? Henry ci nie powiedział?

– Nie – odparłam. Było mi kompletnie obojętne, czy właśnie się błądziłam, chciałam tylko wiedzieć, o kim mówiła Persefona.

Bez ceregieli wręczyła mi swój smartfon. A na nim mogłam przeczytać o wszystkim czarno na białym, podczas gdy Persefona, posykując, streszczała mi fakty.

Młodszy brat Henry'ego, Milo, został przyłapany na kradzieży flakonika perfum. Henry musiał odebrać go z komisariatu. Odstąpiono od złożenia oficjalnego doniesienia na policję, ale Milo dostał zakaz wstępu do perfumerii. Secrecy i Persefona mogły tylko snuć przypuszczenia na temat pobudek kierujących chłopcem, sądziły jednak, że przyczyna leżała w zbyt małym kieszonkowym, każdy bowiem wiedział, że ojciec po rozstaniu z matką w haniebny sposób zaniedbywał dzieci i wydawał pieniądze tylko na kochankę.

– To takie smutne, nie uważasz? – Persefona wzięła ode mnie smartfon, nie zważając na to, że właśnie chciałam kliknąć na zamieszczony przez Secrecy link do zdjęcia kochanki i bułgarskiej modelki prezentującej bieliznę. – Biedny mały, z pewnością ukradł perfumy, żeby sprawić radość mamie. Czy to nie okropne, że mężczyźni zawsze biorą sobie młodsze? Przecież to oznacza, że jako kobieta albo zostaniesz porzucona, albo musisz poślubić bardzo starego faceta...

Słuchałam jej jednym uchem. Wszystko to wydarzyło się

w minioną sobotę, a więc w dzień, kiedy wróciłyśmy z Mią ze Szwajcarii. Kiedy zadzwoniła komórka Henry’ego, a on oznajmił, że musi odebrać brata od kolegi.

Od kolegi!

– Olivio Silver! Persefono Porter-Peregrin! – Pani Lawrence wywoływała nas chyba nie po raz pierwszy, bo na czoło wystąpiła jej gniewna żyła, pojawiająca się zawsze, kiedy nauczycielka była o krok od wpisania delikwentowi uwagi do dziennika.

– *Oui Madame, pardon Madame*, nie zrozumiałam pytania – wyrecytowała gorliwie Persefona.

– *Devoir. Fabien et Suzanne!* – powiedziała pani Lawrence.
– *Attendre une heure à la caisse du musée.*

– Naprawdę trzeba było godzinę stać w kolejce do muzeum?
– Persefona cmoknęła z dezaprobatą. – No dobra, zależy oczywiście od wystawy. Po bilety na wystawę Kate Moss gotowa byłabym postać nawet dłużej, była super.

Żyła na czole pani Lawrence wyglądała, jakby miała za chwilę pęknąć.

– *Fabien et Suzanne ont dû attendre une heure!* – zawołała. – *Ont dû!*

Dobra, skoro trzeba było. W tej chwili i tak miałam w głębokim poważaniu Fabien i Suzanne oraz ich muzeum.



Styczniowe słońce zaglądało do kafeterii przez wysokie okna i złociło ją ciepłym światłem, co jakoś w ogóle nie korespondowało z moim nastrojem. Henry siedział już przy naszym stoliku i rozmawiał z chłopakami. Właśnie zaśmiał się z czegoś, co powiedział Gabriel, i nagle przeszła mi ochota, by iść dalej. Stałam na środku jak wryta. Początkowo miałam zamiar chwycić Henry'ego, potrząsnąć nim i zapytać, dlaczego, do cholery, nie powiedział mi o swoim bracie i w ogóle, ale kiedy zobaczyłam go takiego roześmianego, uświadomiłam sobie, że właściwie wcale nie byłam na niego zła. Tylko... no właśnie, jaka? Smutna? Rozczarowana? Zdezorientowana? Chyba wszystko po trochu. Henry siedział w słońcu i wyglądał tak znajomo, a jednocześnie tak obco.

Między nas wsunął się cień.

– Tarasujesz przejście. – Emily stanęła przede mną z pełną tacą, udając, że nie może mnie minąć. Ustąpiłam na bok. Niestety, nie kwapiła się iść dalej.

– Znakomicie rozegrałaś to z Florence i Graysonem – rzuciła.
– Zakładam, że jesteś z siebie dumna! Jeszcze nikomu nie udało się

poróżnić bliźniaków.

– Ja w ogóle... – zaczęłam i zamilkłam. Tylko tego brakowało, żebym tłumaczyła się przed Emily. – Zupa ci stygnie – powiedziałam zamiast tego.

Emily pokręciła głową.

– Naprawdę nie chciałabym być na twoim miejscu – stwierdziła. – Musisz mieć kompletnie nie po kolei w głowie. Najpierw ta historia z Mr Snugglesem, a teraz... Hej! Postaw to z powrotem.

Wzięłam z jej tacy miseczkę z zupą i powąchałam.

– Mmm, krem z pora. Podobno świetny na włosy.

– Ty naprawdę jesteś chora! – powiedziała Emily. Widziałam, że zaczęła się bać.

Uniosłam miseczkę do góry.

– Jedwabista gładkość... Wolisz wmasować sobie sama czy ja mam to zrobić?

– Ani mi się waż! – Ponieważ Emily miała zajęte obie ręce, uznała, że lepiej oddalić się bez zupy. – Absolutnie i wściekle chora – rzuciła przez ramię na odchodne.

– Czy ona mówi o sobie? – zapytał Henry. Nawet nie zauważyłam, że w czasie naszej małej scysji z Emily wstał od stolika. – Potrzebna ci pomoc?

– Nie. Potrzebna ci zupa? – Podetknęłam mu pod nos miseczkę Emily.

Henry uśmiechnął się, wziął ode mnie zupę i postawił ją na najbliższym stoliku. Potem objął mnie w talii i przyciągnął do siebie.

– Hej! Późno przychodzisz, serowa panienko. Muszę koniecznie powiedzieć ci, czego się dowiedziałem.

Zesztywniałam.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tej sprawie z twoim bratem? Dlaczego mnie okłamałeś? – mówiłam szybko i cicho. Prawdę mówiąc, miałam niewielką nadzieję, że w zgiełku kafeterii Henry mnie nie zrozumie. Ale moje słowa zmasowały promienny wyraz z jego twarzy.

– Czytałaś blog Secrecy. – Puścił mnie i westchnął. – Kiedyś się dowiem, kim ona jest, a wtedy własnoręcznie skręcę jej kark. Nie chcesz niczego jeść?

W milczeniu pokręciłam głową. Przy naszym stoliku między Arthurem, Erikiem i Gabrielem usiadła Persefona. Aż stąd widać było jej zaczerwienione policzki. Jeszcze godzinę temu byłam głodna jak wilk, bo nie załapałam się na śniadanie, ale teraz mój żołądek ścisnął się nagle.

– Moglibyśmy pójść gdzie indziej? Tam, gdzie nikt nie będzie słuchał?

Henry westchnął raz jeszcze.

– Posłuchaj, tamto z Milo... Czemu miałbym cię tym kłopotać?

– Właśnie, czemu miałbyś kłopotać mnie sprawami, którymi się martwisz? – powtórzyłam, wkładając w swe słowa maksimum sarkazmu.
– Przecież jestem tylko twoją dziewczyną. Dlaczego miałbyś opowiadać mi, co słychać u ciebie w domu i co naprawdę zaprzęta twoją uwagę? Po co przedstawiać mnie swojej rodzinie?

– Przecież ci mówię, co naprawdę zaprzęta moją uwagę

– zaprotestował Henry. – Chyba nikt nie zna mnie lepiej niż ty.

Parsknęłam śmiechem, nie kryjąc oburzenia.

– To chyba jakiś żart, prawda? – zapytałam. Henry wyglądał na dotkniętego, ale teraz nie mogłam się tym przejmować. – Nawet Secrecy wie o tobie więcej niż ja.

– Tak, cholera wie, skąd ona ma te informacje. – Henry przejechał dłonią po sterczących dziko włosach. – Nawiasem mówiąc, to nie były żadne luksusowe perfumy, tylko jakaś cholerna świeczka zapachowa. Jaśminowo-waniliowa, obrzydlistwo. Nie chcesz wiedzieć, czego się dowiedziałem? O naszym senatorze?

– Nie – odrzekłam. Było mi już wszystko jedno, że staliśmy na środku kafeterii. Tylko uczniowie przy stoliku tuż obok mogli słyszeć naszą rozmowę, jeśli w ogóle. A ci rozprawiali na cały głos o ostatnim meczu Arsenalu. – Chcę wiedzieć, dlaczego jeszcze nigdy nie byłam u ciebie w domu. Dlaczego nie znam twoich rodziców ani nigdy nie widziałam twojego rodzeństwa, z wyjątkiem Amy we śnie. Czy uważasz, że coś jest ze mną nie tak?

– Liv, nie! Oczywiście, że nie. – Henry wpatrywał się we mnie z przerażeniem.

– A może myślisz, że nie powinno mnie to interesować?

Zmarszczył czoło.

– Hej, nie każdy ma taką nieskomplikowaną rodzinę jak twoja.

– Nieskomplikowaną? – Chyba się przesłyszałam. – Moi rodzice są rozwiedzeni, mama ma nowego faceta, a jego córka nienawidzi mnie z całego serca...

– Jesteście rodziną Słonecznych – wszedł mi w słowo Henry. – Jest u was ciepło, czysto i miło, wszyscy się lubią – Florence się nie liczy – są domowe wypieki, nawet pies mógłby grać w reklamie. Za to my jesteśmy rodziną Kapuśniaczków. Albo Gradobitnych. Milo kradnie świeczki zapachowe, moja czteroletnia siostra do każdego spotkanego mężczyzny mówi „tato”, moja matka piecze tylko wtedy, kiedy nałyka się za dużo antydepresantów, a kot ma fioła. Od jakiegoś czasu przestał sikać do kuwety, przez co sprzątaczką złożyła wypowiedzenie. Dlaczego miałbym odczuwać potrzebę zabrania cię do domu? Żebyś zobaczyła to wszystko na własne oczy?

Gwałtowność jego słów, choć wypowiedzianych cichym głosem, na kilka sekund odebrała mi oddech.

– Tak – powiedziałam w końcu, patrząc mu zdecydowanie w oczy. Boże, jak ja go kochałam. I było mi tak strasznie, strasznie przykro, że jego matka łykała antydepresanty. A kot...

Przez chwilę staliśmy w milczeniu naprzeciw siebie.

– Ach, Livvy... – Henry odgarnął kosmyk z mojego czoła, powoli, bardzo powoli. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, wyglądał krucho, po raz pierwszy zapragnęłam, żebym to ja z nas dwojga była tą postawną i barczystą, wówczas mogłabym po prostu przyciągnąć go do piersi i pocieszyć. Niewiele brakowało, a zaczęłabym płakać, ledwie udało mi się mruganiem powstrzymać łzy. Bo przecież nie było powodu do płaczu, wszystko przez to zmęczenie.

I głód.

– Może kot czuje się zaniedbywany – zaczęłam szybko, żeby odwrócić uwagę. – Ciotka Gertruda też miała kiedyś taki problem. Z Łapkiem. Albo Noskiem. Wezwała kociego psychologa i od tamtej pory z Pyszczkiem wszystko było w porządku. Albo z Mruczkiem.

Henry uśmiechnął się i był to ten specjalny uśmiech, przeznaczony tylko dla mnie, który uwielbiałam ponad wszystko na świecie.

– OK. To spotykamy się dziś wieczorem u mnie?

Tak po prostu? I sam to proponował? Poczułam jednocześnie konsternację, ulgę i nieufność, a ta mieszanina stanów emocjonalnych tak bardzo zbiła mnie z tropu, że paplałam dalej.

– Tak, byłoby miło – powiedziałam jednym tchem. – Albo nie, to znaczy tak, ale dziś wieczorem mam trening kung-fu. A potem planowałam iść z Lottie i Mią do kina, umówiliśmy się już dawno temu, oczywiście możesz iść z nami, jeśli chcesz. Choć pewnie pójdziemy na jakiś miłosny melodramat z wampirami, bo to Lottie wybiera film. Tym lepiej dla mnie, przynajmniej będę mogła się zdrzemnąć, widzisz, jakie mam podkrążone oczy? Jeszcze kilka takich nieprzespanych nocy i będę wyglądać jak panda. Mama już się dziwi, że korektor tak szybko się jej zużywa...

O Boże, nawijałam jak Persefona. Zdołałam zastopować nieprzerwany potok słów udawanym atakiem kaszlu.

Henry czekał cierpliwie, aż skończę.

– To jak, jutro wieczorem?

A więc on na poważnie. Wzięłam głęboki wdech i potaknęłam.

– Tak. Tak, jutro pasuje idealnie.

Ogarnęła mnie ulga, a nieufność i zmieszanie się ulotniły.

Wszystko w porządku. Między nami wszystko było w porządku.

Dlaczego nie poruszyłam tego tematu dużo wcześniej? Okazało się to dziecinnie łatwe.

Wzięłam Henry'ego za rękę i pociągnęłam go za wózki na naczynia, żeby go pocałować. Nie musiała tego widzieć cała kafeteria. Pary obściskujące się w szkole raczej mnie wkurzały, ale teraz po prostu musiałam. Henry chyba podzielał moje zdanie, bo przyciągnął mnie mocno do siebie. Dopiero kiedy kibice Arsenalu zaczęli głośno porykiwać i wiwatować, a Henry delikatnie odsunął się ode mnie, dostrzegłam, że pomoc kuchenna przesunęła nasz parawan.

Ale obciach.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedział Henry i przyglądał moje włosy. W przeciwieństwie do mnie nie zaczerwienił się ani trochę.

– To czego się dowiedziałeś o senatorze? – zapytałam szeptem.

Henry uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Od samego początku podejrzewałem, że ten jego bełkot ma jakieś

znaczenie, pamiętasz?

– Ten ton ma odnogę... O, tak.

– Odrost – sprostował Henry. – Trochę mi zajęło, ale w końcu wszystko stało się jasne: anagramy!

– Tak jak Anna, sedes i level?

– Tak, ale to są palindromy, słowa które można czytać tak samo wprost i wspak. W anagramach można dowolnie przestawiać litery. Senator Mort Nord. To ten trans, mordo. Ten ton ma odrost. Mentor Don Strato. – Popatrzył na mnie promiennie. – Nie kłamał. On za każdym razem nam się przedstawiał!

Jego entuzjazm był zaraźliwy.

– I co, znamy tego gościa?

– Jeszcze nie – powiedział Henry. – Ale wujek Google zna.

Nazywa się...

– Nie! Nic nie mów! Chcę sama do tego dojść, uwielbiam takie zagadki. – Gorączkowo pociągnęłam go z powrotem do stolika. – Ma ktoś kartkę i długopis? Może być serwetka.

– Przerwa obiadowa kończy się dokładnie za minutę – obwieściła Persefona.

A niech to szlag.



– Jeśli nie zjecie wszystkiego, u Słonecznych nie będzie jutro słońca. – Mama, podparta pod boki, spoglądała z góry na mnie i Mię. Bałam się jej. Nie tylko dlatego, że cała była w mące i wyglądała trochę jak zombie, ale też dlatego, że jej oczy błyszczały jakoś tak groźnie i bojowo. Wszędzie wokół: na blacie, półkach, stole i parapecie piętrzyły się babeczki, góry babeczek i wszystkie były przypalone, spleśniałe albo tylko nieapetyczne. Kiedy mimo to wzięłam jedną do ręki, pękła, a ze środka wypełził robak.

– Nie mogę tego zjeść, mamo! – powiedziałam żałośnie.

– Możesz i zjesz. Nałykałam się dziś antydepresantów i niech to nie będzie na próżno! – Zombie-mama chwyciła Mię i usiłowała na siłę otworzyć jej buzię, by wepchnąć w nią babeczkę. Mia zaczęła krzyczeć. Uwolniłam ją z rąk mamy i potykając się, wycofałam się razem z siostrą za stertę babeczek. Zaczęłam w pośpiechu szukać jakiejś kryjówki lub drogi ucieczki. Tam, z przodu – zielone drzwi... O, Bogu dzięki, to tylko sen. Nie musiałam się bać zombie-mamy. Jednym mrugnięciem sprawiłam, że zniknęła wraz z ohydnyimi babeczkami, machnięciem ręki przegoniłam też krzyczącą siostrę. Musiałam wyjść, żeby chronić drzwi

do snów prawdziwej Mii. W tym celu specjalnie pożyczyłam jej bransoletkę i przed snem włożyłam ją na rękę. Wczorajsze słowa Graysona nie dawały mi spokoju: a co, jeśli ktoś nocą zakradał się do snów Mii? Na przykład Anabel?

Korytarz był pusty, panowała cisza i spokój. Widok czarnych drzwi Henry’ego naprzeciwko moich wywołał uśmiech na mojej twarzy – byłam taka szczęśliwa, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Jutro pójdę do niego i wreszcie poznam jego rodzinę. I kota. Kiedy tak o tym myślałam, czułam wzbierające podekscytowanie. Miałam nadzieję, że mnie polubią. Może powinnam przynieść jakiś własnoręczny wypiek, żeby wkupić się w ich łaski? Pod tym względem chyba nikt ich nie rozpieszczał. I jakiś smakołyk dla kota. Albo worek żwirku. Wyczytałam w Internecie, że przyczyną sikania kota po kątach może być brak higieny w kuwecie.

Teraz jednak musiałam zatroszczyć się o Mię. Jej drzwi znajdowały się tuż obok moich. Były to proste, pomalowane na kolor niezapominajek drewniane drzwi o matowosrebrnych okuciach, które idealnie pasowałyby do wiejskiego domu z naturalnego kamienia położonego gdzieś pośród zieleni, podobnie jak kolorowy łańcuch z porporczykami, zawieszony w poprzek nad nadprożem. Nie było zamka ani wizjera, a szczelina na listy była tak szeroka, że spokojnie zmieściłoby się w niej nieduże zwierzę. Ostatnim razem drzwi pilnował przynajmniej nadnaturalnej wielkości pluszowy zając, ale dziś nie widać było nawet jego. Nacisnęłam na próbę klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz! Jakie to lekkomyślne ze strony Mii – przecież każdy mógł po prostu wparować...

– Dzieńdoberek! – Tuż przed moim nosem pojawił się wielki łeb. Z przestrachu odskoczyłam do tyłu. Fuzzy-Wuzzy, pluszowy zając w żółtych ogrodniczkach. Naszła mnie refleksja, jak wiele tracą pluszaki, kiedy zostają powiększone do tak znacznych rozmiarów. W dodatku gdy są tak zapieszczone na śmierć jak Fuzzy-Wuzzy. Już brak jednego oka sprawiał, że stwór utracił całą słodycz, zyskał za to wygląd nieco podstępny. Wrażenie to wzmogło się jeszcze, kiedy zając, mówiąc, pokazał dwa długie kły.

– Wiejsyk! Wiejsyk! – wyseplenił w groteskowym niemowlęcym

narzeczu, które kompletnie nie pasowało do jego monstrualnego wyglądu. Jego głos był piskliwy i dziecinny, jak u zajaczka z kreskówki.

– Wierszyk?

– Taaaak! – Fuzzy-Wuzzy zaklaskał w łapy. – Powiedz! Powiedz Fuzziemu!

– Wszystko jedno jaki?

– Jakiś ładny. Zeby Fuzziemu się podobał.

– OK. No więc... Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła! Szczypie w nosy...

– Nie! To się Fuzziemu nie podoba. Inny wiejsyk! Ten, co tseba.

Inacej Fuzzy musi cię poźjeć. – Rozwarł szeroko paszczę i pokazał zębiska.

Ach... najwyraźniej zabezpieczenia wcale nie były takie kiepskie. Ponieważ Fuzzy-Wuzzy był dziełem podświadomości Mii, chciał zapewne usłyszeć jakiś szczególny wiersz. Taki, który Mia lubiła, będąc dzieckiem. Wchodziło w grę co najmniej sto dwadzieścia rymowanek, z tego wiele po niemiecku. Intruz miałby zatem spore trudności ze znalezieniem właściwej odpowiedzi, zanim zostałby pożarty przez zajaca. Pod warunkiem oczywiście, że w ogóle zadałby sobie trud, by rozmawiać z Fuzzym. Mimo groźnego wyglądu i obietnicy pożarcia istniało wystarczająco dużo sposobów, by niepostrzeżenie go ominąć, niestety.

– Gdybym była podmuchem powietrza, to już ze trzy razy zdążyłabym wejść do snu Mii – powiedziałam z żalem. – Albo wśliznęłabym się jako wiewiórka.

– To nie jest wiejsyk. Teżaz Fuzzy musi cię poźjeć. – Zajac już zamierzał przekroczyć próg. – Ale Fuzzy cię nie lubi. Fuzzy lubi tylko majchewecki – dodał i z triumfalnym chichotem zatrzaskał mi drzwi przed nosem.

Westchnęłam. No to super, to wyjaśniało wszystko: w miarę obeznany śniący, jak na przykład Anabel, poradziłby tu sobie bez trudu. Zaczęłam się głowić. Nie mogłam każdej nocy osobiście trzymać straży pod drzwiami, musiałam wymyślić coś innego. Pstryknęłam palcami.

– Panno Oliwo! – Mr Wu pokłonił mi się nisko. Był ubrany w czarny strój wojownika, jakby żywcem wyjęty z jakiegoś filmu o sztukach walki. Pokiwałam z zadowoleniem głową. Tak, to już inny

kaliber niż pluszowy zajac.

– Chciałabym, żeby pan pilnował dziś tych drzwi – wyjaśniłam.
– Niech pan nikogo nie wpuszcza ani nie wypuszcza. I niech pan natychmiast mnie zaalarmuje, gdyby ktoś próbował wejść lub wyjść. Tak głośno, abym pana usłyszała, obojętnie, gdzie będę. – Wyimaginowałam ogromny gong przy drzwiach i wręczyłam Mr Wu należącą do niego pałkę.

Mr Wu zwinnie podrzucił ją w górę i złapał.

– Najlepiej zamknięte drzwi to takie, które można zostawić otwarte – powiedział z przyganą w głosie.

– Tak, z pewnością ma pan rację. Ale te za wszelką cenę muszą pozostać zamknięte. Nie może pan przepuścić nawet powietrza.

Zrozumiał pan, Mr Wu?

Wykonał kilka ciosów kung-fu w walce z niewidzialnym przeciwnikiem, tak szybko, że moje oczy ledwie nadążały za jego ruchami.

– Mówią na mnie Błyskawica, Niebiańska Tygrysia Łapa.

– Wspaniale – powiedziałam z uznaniem. Nieźle sobie poradziłam z tym problemem. (A jeśli spotkam Mr Wu w prawdziwym świecie, to go za to przeproszę). Nie byłam tylko pewna, czy Mr Wu będzie pełnił swoją funkcję także wtedy, gdy mnie tu nie będzie. Na próbę poszłam za najbliższy róg i po chwili zakradłam się z powrotem jako podmuch powietrza. Tym razem metamorfoza udała mi się lepiej niż za pierwszym razem. Bez problemu poszybowałam korytarzem prosto na Mr Wu.

– Stój, wietrzny intruzie!

Precyzyjny cios w przestrzeń obok mnie i odwiało mnie do tyłu o kilka metrów.

– Nie ma tu dla ciebie przejścia!

Mr Wu drugą ręką uderzył w gong. Przez korytarz przetoczył się głęboki, niemal uroczysty, ogłuszający dźwięk, a echo odbiło go od ścian po stokroć. Pofrunęłam jeszcze dalej do tyłu. Tak, alarm był wystarczająco głośny, by przepłoszyć nawet cwaną Anabel. Mr Wu, pardon, Niebiańska Tygrysia Łapa był idealnym strażnikiem. Gdybym nie była podmuchem powietrza, to z zadowoleniem zatarłabym ręce. Drzwi Mii wydały mi się na razie zabezpieczone. Teraz spokojnie

mogłam powrócić do mojego snu – by zasnąć. I biada temu, kto jutro, w sobotni poranek, zechce zbudzić mnie przed obiadem!

Nie dane mi było jednak zaznać spokoju. Jeszcze nie przebrzmiał do reszty dźwięk gongu, kiedy otworzyły się drzwi Henry’ego i on sam wyszedł na korytarz. Zamarłam bez ruchu, unosząc się w powietrzu. Kąciki jego ust uniosły się lekko, kiedy spojrzał na moje drzwi, ale nie zatrzymał się przy nich, tylko pobiegł korytarzem.

– Kto wierzy w sny, przesypia życie, chłopcze z potarganymi włosami – powiedział Mr Wu, kiedy Henry go mijał.

Henry obrzucił go i ogromny gong zdziwionym spojrzeniem, nie zwolnił jednak kroku, tylko z determinacją skrzył za najbliższy róg.

Niewiele myśląc, podążyłam za nim, ja, najlepszy, najbardziej niewidzialny i najszybszy podmuch powietrza, jaki widział świat. A właściwie, jakiego świat nie widział. Mogłabym nawet robić niewidzialne i niesłyszalne fikołki. Henry nieźle by się zdziwił, gdybym zmaterializowała się na jego oczach. Przedtem jednak spróbowałabym musnąć jego włosy i pogłodzić policzek, czyli zrobiłabym to, czym zajmują się rozbrykane podmuchy.

Ustalenie prawdziwego nazwiska senatora Morta zajęło mi nie więcej niż pięć minut. Henry był szybszy, ale tylko dlatego, że skorzystał z generatora anagramów w internecie. Senator Mort Nord. To ten trans, mordo. Mentor Don Strato. Ten ton ma odrost. To wszystko były anagramy jednego nazwiska. Dla zabawy znalazłam jeszcze: „Monstra, dottore!”, „Ts, Mort, on da tenor” i coś, co podobało mi się najbardziej: „Demonstrator not”. Wreszcie przeszłam do nazwiska, o które nam właściwie chodziło, i po kilku próbach z imionami Tad, Ned, Ron i Don został na końcu tylko jeden, i to nawet z tytułem: dr Otto Martenson.

Wyszukiwarka wypluła dwóch Ottonów Martensonów w Wielkiej Brytanii, a jeden z nich był lekarzem psychiatrą. W klinice w Surrey. Tej samej, w której przebywała

Anabel.

Co za koszmarna wizja: być wariatem leczonym przez obłąkanego psychiatrę. Może jednak ten doktor Martenson wcale nie był taki obłąkany, na jakiego wyglądał. Tak czy siak, nie mogłam nie podziwiać

Anabel. Jakoś zdołała przekonać swojego psychiatrę, że możliwe jest odwiedzanie innych osób w snach. Jak jej się to udało bez posądzenia o jeszcze większe szaleństwo? Ze względu na tę historię z lunatykowaniem poważnie rozważałam, czy nie wtajemniczyć Mii, ale porzuciłam ten pomysł, potrafiłam bowiem dokładnie wyobrazić sobie jej reakcję: zaczęłaby rozglądać się za ukryta kamerą. Nikt o w miarę zdrowym rozsądku nie uwierzyłby mi w to.

A jednak doktor Martenson nie tylko uwierzył Anabel, on od razu to sprawdził i teraz sam grasował po korytarzach. Pytanie tylko czego właściwie od nas chciał? I dlaczego Anabel nigdy więcej się nie pojawiła?

Arthurowi na razie nic nie powiedzieliśmy o naszym sensacyjnym odkryciu. Ja byłam za tym, żeby go wtajemniczyć, ale Henry wołał jeszcze z tym poczekać.

À propos Henry'ego – przez moment nie uważałam i to wystarczyło, by stracić go z oczu (oczu? Nie myśl o tym, Liv!). Dla wiatru to żaden problem. Z siłą dziesięciu stopni w skali Beauforta skręciłam za róg i dogoniłam go. Stał przed eleganckimi drzwiami obitymi bogato haftowaną brokatową tkaniną i rozglądał się na wszystkie strony. Zamarłam tuż za nim, podziwiając utrzymane w pastelowych tonach pędy, kwiaty, ptaki i motyle zdobiące materiał. Dość kiczowate, ale prześliczne.

Gdybym musiała zgadywać, to typowałabym, że właścicielką drzwi jest kobieta.

Henry nachylił się i ostrożnie dotknął delikatnie haftowanego różowego jedwabnego ptaka. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Wow.

To był oczywiście ten moment, w którym powinnam ze śmiechem zdradzić swą obecność, a Henry – również ze śmiechem – wyjaśniłby, czyje to drzwi.

W rzeczywistości jednak stało się inaczej: Henry przekroczył próg, ja zaś prześliznęłam się za nim jako podmuch. Weszłam do snu kompletnie obcej osoby.

Drzwi łagodnie zamknęły się za nami.



W pierwszej chwili pomyślałam, że znalazłam się we wnętrzu niebiesko-złotego jajka Fabergé, gdyż ściany pomieszczenia były zakrzywione, a nad nami rozpościerała się ogromna, połyskująca kopuła. Wszędzie coś błyszczało i migotało. Oraz pluskało, szumiało i parowało. Po bliższym przyjrzeniu się nabrałam przekonania, że znajdowaliśmy się w jakimś spa, w luksusowej łaźni o orientalnej atmosferze. Podłogę pokrywała granatowa mozaika w złote ciapki, a ściany były pomalowane na intensywne odcienie błękitu. Z pomieszczenia do pomieszczenia prowadziły ozdobione złotymi obramowaniami przejścia, wszędzie zaś były przeznaczone do pływania lub relaksu baseny, sauny i wodospady, egzotyczne rośliny, ogromne złote lustra, sterty poskładanych równiutko ręczników i mnóstwo szerokich, miękkich leżaków.

I ludzie. Roilo się tu od ludzi. Niektórzy mieli na sobie stroje lub płaszcze kąpielowe, ten i ów owinał się w ręcznik, ale większość była na golasa. Tak jak czerwony niczym rak facet, który właśnie wychodził z sauny. Gdybym nie była podmuchem powietrza, na chwilę przymknęłabym
oczy.

Kto, przepraszam bardzo, śnił coś podobnego? I – wow! – gdzie się podziało ubranie Henry’ego?

Przez całe to gapienie się dookoła nie zauważyłam, jak on to zrobił – w każdym razie miał na sobie miękki niebieski szlafrok, dzięki czemu idealnie wtapiał się w otoczenie. Mimo to nie był niewidzialny. Czy to nie on przekonywał mnie ostatnio, że nie miało sensu wchodzić do czyjegoś snu bez kamuflażu, jeśli chciało się poszpiegować? Bo we śnie ludzie kłamali lepiej niż na jawie? „Niewidzialny widz i słuchacz dowie się we śnie najwięcej. Przy odrobinie cierpliwości nawet wszystkiego”, powiedział. Co on tu zatem robił, jeśli nie szpiegował? Sprawiał wrażenie, jakby był tu z kimś umówiony.

Henry bez pośpiechu minął zestaw wypoczynkowy i skierował kroki ku jednemu z większych basenów z hydromasażem. Podążyłam za nim, próbując nie zwracać uwagi na czerwonego jak rak faceta, który usadowił się wygodnie na leżaku. Musiałam i tak skupić się na szybowaniu, gdyż ze względu na dużą wilgotność powietrza zamieniłam się w obłoczek pary wodnej. Koniec z wirowaniem i śmiganiem w powietrzu – wraz z lekkością opuściła mnie również ochota do swawolenia. Efekt ten wzmógł się jeszcze za sprawą tła dźwiękowego. Ktokolwiek śnił ten sen, miał beznadziejny gust muzyczny. Z niewidzialnych głośników dobywało się pienie Celine Dion wyśpiewującej *My heart will go on*. Lottie co najmniej cztery razy w roku zmuszała nas do wspólnego oglądania *Titanica*, dlatego znałam tę piosenkę lepiej, niżbym chciała. Lottie zawsze strasznie przy niej płakała, twierdziła jednak, że ten rodzaj płaczu jest bardzo zdrowy i ważny dla higieny duszy.

Kiedy zobaczyłam na krawędzi basenu Davida Beckhama, który chlapał nogami w wodzie, ulżyło mi na sekundę. Na ten krótki moment uwierzyłam, że to jego sen, a Henry zaraz ujawni się jako ekscentryczny fan piłki nożnej i poprosi o autograf albo coś w tym stylu.

Zanim jednak zdążyłam przyjrzeć się dokładnie tatuażom Beckhama, ktoś odezwał się ochrypłym głosem.

– Henry! Mój kochany chłopcze.

I nie był to David, tylko naga kobieta prężąca się w basenie z hydromasażem. Ściślej rzecz biorąc, nie widziałam, czy całkiem naga,

bo w wodzie było za dużo bąbelków, w każdym razie od pasa w górę nie miała na sobie nic. Ze swą nieskazitelną, lekko opaloną skórą, złocistymi, połyskującymi włosami i wielkimi, zielonymi oczami okolonymi długimi, gęstymi rzęsami mogłaby spokojnie uchodzić za syrenę. Tylko ciemnoczerwona szminka nadawała jej ciut ordynarny wygląd.

Henry uśmiechnął się do niej. Nie tylko jakby spodziewał się jej tutaj, ale wręcz był szczęśliwy, że ją widzi. Poczułam, że robię się jeszcze cięższa, i powoli osunęłam się na ziemię.

– Cześć, B – powiedział Henry, nawet nie spojrzawszy na Beckhama. Bee czy B? Czy to jakiś kryptonim? Na pewno nie rozmiar jej miseczki.

B wynurzyła z wody jedną ze swych długich nóg. Nie zdziwiłabym się, gdyby zamiast nich miała rybi ogon.

– Nie chcesz wejść do wody? – Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Nie, nie chce – wykrzyknęłabym chętnie, ale obłoczki nie potrafią mówić. Henry rozsupłał pasek i niedbałym gestem zsunął szlafrok z ramion, zrzucając go na ziemię, z taką pewnością siebie, że B aż westchnęła błogo. Z trudem utrzymywałam się w powietrzu. Wbrew swojej woli zamieniłam się w coś pośredniego między chmurą a skroploną parą wodną i zdałam sobie sprawę, że nie zdołam utrzymać tego stanu zbyt długo. Była to zresztą jedyna rzecz, którą wiedziałam. Co tu się, do cholery, dzieje? Przez głowę przemknęły mi złośliwe słowa Secrecy. Jak to szło? Że Henry nie słynie ze wstrzemięźliwości, jeśli chodzi o kobiety?

Nie wiedząc, co robię, przemieniłam się w ważkę i spoczęłam na liściu zielistki rosnącej przy basenie. Tak było lepiej. Jako ważka przynajmniej mogłam oddychać i kurczowo trzymać się podłoża wszystkimi sześcioma nóżkami.

Tymczasem B przymrużyła oczy i zmierzyła Henry'ego wzrokiem od stóp do głów.

– Masz fantastyczne ciało – wymruczała. Niestety, w tej kwestii musiałam się z nią zgodzić: przy Henrym bladł nawet David Beckham, i to dosłownie, bo jakiś czas temu zniknął bez śladu.

Przynajmniej, jak stwierdziłam, Henry włożył kąpielówki, choć

w tej chwili niezbyt mnie to uspokajało.

– Na co czekasz? – B ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu. Miała też piękne zęby. – Czyżbyś się mnie bał?

Nie, Henry zdecydowanie nie wyglądał, jakby się bał. Wręcz przeciwnie. Czułam, jak moje skrzydełka zaczynają dygotać. Czy to dlatego Henry tak spokojnie czekał, jak rozwinie się nasz związek? Bo mógł z inną...

Nie wchodź tam, błagałam go w myślach. Najchętniej zasłoniłabym przednią nóżką oczy (właściwie dlaczego zawsze przemieniałam się w zwierzęta o doskonałym wzroku?), ale nie zrobiłam niczego w tym rodzaju. Zamiast tego wlepiłam spojrzenie w Henry'ego, który ześliznął się do wody i zanurzył głowę, powoli, jak model w reklamie perfum. Kiedy się wynurzył, otoczyła go aura skrzących się drobniutkich kropelek, w których załamywało się światło, a na jego gładkiej skórze zabłysły grube wodne perły. Henry z zadowolonym uśmiechem usiadł wygodnie naprzeciwko B.

Mieli cały basen tylko dla siebie. A Celine Dion zaczęła od początku: *Every night in my dreams I see you, I feel you. That is how I know you go on...*

Czy ważki mogą wymiotować? Właśnie miałam ochotę to zrobić.

Na miejscu Davida Beckhama na brzegu basenu pojawił się starszy facet w wygniecionym garniturze. Usiadł na tandetnym plastikowym krzeselku, które w ogóle nie pasowało do eleganckiego wnętrza. Powiedział coś w obcym języku, może po rosyjsku, w każdym razie dość grubiańsko i nieuprzejmie.

B z niechęcią zmarszczyła czoło.

– Ja wykorzystuję seksualnie dzieci? – W jej głosie dał się słyszeć lekki obcy akcent. – Popatrz na niego, tato, on jest bardziej mężczyzną, niż ty kiedykolwiek w swoim życiu. A ja mam prawo do odrobiny przyjemności.

Starszy mężczyzna odpowiedział w swoim języku, jeszcze bardziej niegrzecznie niż przedtem, krzywiąc się przy tym z pogardą, a dla podkreślenia swych słów splunął na ziemię.

– To nieprawda – zachnęła się B. – Wyglądam na dwadzieścia

dziewięć lat i ani dnia więcej, a ten chłopiec jest pełnoletni i dobrze wie, co robi.

– Absolutnie – potwierdził Henry, choć kłamał. Wcale nie był pełnoletni, dopiero w lutym skończy osiemnaście lat, tydzień po Graysonie i Florence. – A teraz prosiłbym, by pan poszedł i zostawił córkę w spokoju, w przeciwnym razie będę musiał panu pomóc.

Ojciec B nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał posłuchać tej rady. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Henry uniósł dłoń i tym gestem wyłączył dźwięk: mężczyzna wprawdzie coś mówił, żywo gestykułując, ale nie było go słyhać, choć bardzo się starał i szeroko otwierał usta, a na skroniach nabrzmiały mu żyły. Henry wykonał kolejny ruch ręką i pojawili się dwaj ubrani na biało ratownicy, którzy wynieśli wykrzykującego bezgłośnie mężczyznę wraz z krzesłem.

– No, to mamy go z głowy – oświadczył Henry i zwrócił się z powrotem do B, która patrzyła na niego z podziwem.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała. – Jeszcze nikomu nie udało się zmusić go do milczenia.

– Najwyższy czas – odparł Henry. Wzruszył ramionami i był to tak typowy dla niego gest, że znowu zaczęłam dygotać na listku. Tym razem listek zadrżał wraz ze mną. Co ja tu właściwie robiłam? Dlaczego w ogóle za nim poszybowałam? Nie chciałam tego widzieć. Jedyne, czego naprawdę pragnęłam, to się obudzić.

Trzęsła się już cała roślina, ale Henry tego nie dostrzegał.

– Naprawdę na to nie zasłużyłaś, B – ciągnął niskim, pochlebnym głosem. – Taka kobieta jak ty nie powinna pozwalać, by ktoś ją krzywdził.

– O, ty cudowny, cudowny chłopcze. – B chciała podpłynąć bliżej.

Później, po wszystkim, przez kilka dni zachodziłam w głowę, co by się stało, gdybym wtedy nie zaczęła puchnąć na liściu zielistki, powoli się z niego zsuwając. Z głośnym pluskiem wylądowałam w kotłującej się wodzie między Henrym i B. Kobieta wydała z siebie krótki okrzyk, zachłystując się przy tym. Henry wlepił we mnie zdumiony wzrok.

Utraciłam kontrolę nad swoją metamorfozą, więc ani trochę nie zdziwiło mnie, że też byłam goła, jednak moja skóra połyskiwała

metalicznie odcieniami zieleni i błękitu, a z pleców wyrastały mi cztery delikatne skrzydełka ważki, kompletnie przemoczone i zwisające bezużytecznie.

Ale to nie miało już znaczenia.

B pierwsza otrząsnęła się z przerażenia. Zakasłała i wypluła trochę wody.

– O nie, nie! – zawołała gniewnie. – A było tak pięknie. Idealnie! Nie potrzebujemy tu żadnego dziwnego elfa ani istoty z *Avatara*. Co to ma być?

Właśnie, co? Sama nie wiedziałam. Niczego już nie byłam pewna.

Poczucie winy w oczach Henry'ego absolutnie nie poprawiało sytuacji i rozzłościło mnie do tego stopnia, że zupełnie zapomniałam, iż powinnam udawać zmieszanie i zażenowanie.

– Cóż, nie mam pojęcia – prychnęłam, przywracając sobie właściwy kolor skóry i usuwając skrzydełka. – Zapytajmy Henry'ego!

Henry milczał. Na mój widok najwyraźniej zapomniał języka w gębie.

Podpłynęłam do krawędzi basenu, wygramoliłam się na brzeg i poczłapałam przed siebie, kapiąc wodą i mijając innych nagusów. Moje nogi wciąż były zielone. Wszyscy bez wyjątku wlepiali we mnie spojrzenia. Niech się gapią – na pewno nie zobaczymy się nigdy więcej!

Dlaczego nie mogłam się obudzić? Gdzie były drzwi na korytarz? Chciałam do domu. Tylko do domu.

Zaczęłam płakać, jakby ktoś odkręcił mi w środku kranik ze łzami. Spływały mi po policzkach, nie mogłam ich powstrzymać. Cholera! Jeszcze i to. Gdzieś przecież musiały być te głupie drzwi. Zaślepiiona łzami po omacku szukałam drogi.

– Liv! – Henry chwycił mnie za ramiona i obrócił ku sobie. Niewiele myśląc, zastosowałam chwyt obronny, który tak długo ćwiczyłam w Berkeley z Mr Wu, że wykonałam go odruchowo. A kiedy Henry wyciągnął rękę, zdzieliłam go pięścią w mostek ciosem *gua tong choy*.

Zamiast zgiąć się wpół pod uderzeniem, Henry sięgnął ku mnie rękoma, usiłując otrzeć łzy z moich policzków.

– Livvy, proszę! Nie uciekaj.

Znowu miał na sobie dżinsy i T-shirt i był całkiem suchy, i to także doprowadzało mnie do furii: najwyraźniej miał nerwy, żeby w takiej sytuacji zadbać o swój wygląd, podczas gdy ja tłukłam się wokół z zielonymi nogami, goła, mokra i zapłakana.

Na domiar złego Henry wyczarował nie wiadomo skąd płaszcz kąpielowy i podał mi go. I owszem, w jego spojrzeniu jednoznacznie była litość.

– Nie powinnaś tego robić, Liv – powiedział łagodnie. – Masz, włóż to.

W tym momencie przestałam płakać. Zesztywniałam ze złości. Poświęciłam zaledwie jedną dziesiątą sekundy, by postarać się o kompletne ubranie i nieskazitelną fryzurę. Wyimaginowałam nawet okulary. Teraz wreszcie widziałam wyraźnie wszystko. Także obite tkaniną drzwi, tuż obok mnie.

– Racja – odparłam i nawet w moim głosie była sztywność. Mroźny chłód sopła lodu. Zadarłam głowę i popatrzyłam prosto w szare oczy Henry'ego. – Przykro mi, że przeszkodziłam ci w randce. Nie miałam pojęcia, że kręcą cię starsze babki. Jest fantastyczna, bez dwóch zdań. Może z wyjątkiem muzycznego gustu. – Celine Dion nadal zawodziła, że bezpiecznie przechowuje miłość w swym sercu. I że jej serce wciąż bije, a życie toczy się dalej. Szczęściara. – Ale, hej, nie można mieć wszystkiego.

Zamaszyście odrzuciłam włosy do tyłu, obróciłam się na pięcie i szarpnęłam za klamkę. Sztukę dramatycznego odchodzenia podpatrzyłam u Florence. Głupio tylko, że otworzyłam nie te drzwi. Trafiłam na bieliźniarkę pełną ręczników.

Cholera, cholera, cholera! Nie dane mi było nawet godnie odejść.

Henry powtórzył moje imię. Zanim zdążyłam się do niego odwrócić, poczułam silny ucisk na pierś. A potem nastąpiło jednak dramatyczne wyjście, kiedy gigantyczna, pokryta rudym futrem łapa wdarła się przez kopułę i wywaliła mnie ze snu B.



W rzeczywistości łapa nie była gigantyczna, tylko dość drobna w porównaniu z resztą Spota. Trącała mnie w policzek. Kocur siedział mi na piersi, głośno mrużąc, a ja byłam mu tak wdzięczna, że obudził mnie z tego snu, że nawet go nie ochrzaniłam. Wręcz przeciwnie, pozwoliłam mu siedzieć i drapałam go pod brodą, aż moje tętno nieco zwolniło. Jeszcze nigdy tak bardzo nie tęskniłam za czasami, kiedy zły sen po obudzeniu okazywał się tylko złym snem. W moim gardle narosła wielka gęstwa, powstała na skutek nagromadzonych łez, które wypłakałam we śnie. Wiedziałam, że jeśli ulegnę ich naporowi, przerwie się tama i nic ich już nie powstrzyma. Usiłowałam więc skupić się na uspokajającym mrużeniu i po prostu nie myśleć.

Ale Spot nie przyszedł po pieszczoty. Dla przypomnienia jeszcze raz szturchnął mnie łapą w policzek – jednoznaczne wezwanie.

– Jak ty się tu w ogóle znalazłeś, kotku?

Ostrożnie postawiłam go na podłodze, zapaliłam lampkę i wstałam. Ktoś musiał otworzyć drzwi do mojego pokoju, bo przed pójsciem spać na pewno je zamknęłam.

– A może nauczyłeś się naciskać klamki?

Spot, mrucząc głośno, ocierał się o moje nogi. Zerknęłam na budzik. Wpół do czwartej. Kot pewnie chciał wyjść na zewnątrz, na swoje zwykłe nocne polowanie na myszy. Zazwyczaj za jego wypuszczenie odpowiadał Grayson (musiał również usunąć z wycieraczki martwego gryzonia przyniesionego przez Spota), ale dziś kocur wybrał mnie na odźwiernego.

– No to chodź – powiedziałam, a Spot śmignął przodem przez szparę w drzwiach. Na schodach czekał na mnie, podczas gdy ja sprawdzałam, czy Mia na pewno jest w łóżku i spokojnie śpi (była i spała). Na dole w kuchni otworzyłam drzwi na taras, a kotu jak zawsze nagle przestało się śpieszyć. Usiadł na progu i zaczął się myć, ja tymczasem przestępowałam z nogi na nogę i powoli zamarzałam na sopel. Mimo to prawie z żalem popatrzyłam za nim, kiedy wreszcie łaskawie się ruszył. Jego obecność miała w sobie coś krzepiącego. A przynajmniej odwracała uwagę. Jeśli wrócę teraz do łóżka, natychmiast staną mi przed oczami obrazy ze snu, byłam tego niemal pewna: Henry odrzucający jednym ruchem szlafrok i zanurzający się w basenie, uśmiechający się do B, mówiący niskim głosem: „Taka kobieta jak ty nie powinna pozwalać, by ktoś ją krzywdził”.

Taka kobieta jak ty... Zamiast iść do łóżka, udałam się do łazienki i popatrzyłam na siebie w lustrze. Taka kobieta jak ty. Bez okularów czy soczewek kontaktowych nie widziałam wprawdzie zbyt wyraźnie, ale i tak wiedziałam, że w porównaniu z B nie miałam szans. Byłam zaprzeczeniem seksapilu, dorosłości i piękna. Właściwie to wyglądałam żałośnie.

Jak na zawołanie przypomniały mi się wszystkie złośliwe rzeczy, które wypisywała Secrecy, komentarze moich kochanych kolegów i koleżanek ze szkoły. Może rzeczywiście mieli rację i byłam zbyt dziecinna i niedojrzała dla Henry'ego.

Przeciwieństwo ponętności.

Łzy popłynęły bez ostrzeżenia, a nie było Spota, który podniósłby mnie na duchu. Nie potrafiłam ich powstrzymać, choć naprawdę próbowałam. Zgięta wpół, jakby strasznie bolał mnie brzuch, wisiałam nad umywalką i płakałam tak rzewnie, jak nigdy w życiu.

Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło, kiedy ktoś zapukał do

drzwi. Nie chciałam tego wiedzieć. Nie chciałam wiedzieć niczego więcej. Musiał przecież istnieć jakiś sposób, by wymazać z pamięci ostatnie godziny. Pytanie tylko, skąd wytrzasnąć hipnotyzera, który spełniłby to życzenie. Podobno pomagają też elektrowstrząsy. Może lekarstwem będą twarde kafelki w łazience, jeśli odpowiednio mocno uderzę w nie głową. Znowu pukanie.

– Liv? Jesteś tam? – odezwał się Grayson zmęczonym i zirytowanym głosem.

Czy w tym domu człowiek nawet w nocy nie znajdzie chwili spokoju? Chciałam być sama. Tylko ja i kafelki.

– Idź... hip... do klopa dla gości, Grayson – odparłam równie rozdrażniona. Najgorsze łkanie minęło, za to teraz miałam czkawkę.

Grayson coś burknął za drzwiami.

Nawet bez szkieł kontaktowych widziałam w lustrze, że moja twarz jest cała w plamach, a oczy zapuchnięte. Najpierw spróbowałam zaradzić temu zimną wodą, a kiedy to nie pomogło, wzięłam płatek kosmetyczny, nasączyłam go tonikiem pomarańczowym Florence i zwilżyłam nim twarz. Plam wprawdzie nie zlikwidował, za to smakowicie pachniał. Potrzebny był mi jakiś łagodzący krem. Może znajdę coś wśród drogocennych słoiczków Florence, których zabroniła nam dotykać pod groźbą śmierci? Do tej pory przestrzegałam tego zakazu, ale teraz miałam nieodpartą potrzebę odkręcenia czegoś ze złotym wieczkiem. Fluid nagietkowy. Nie potrafiłam przeczytać drobnych napisów, ale „nagietek” brzmiało uspokajająco i zdrowo. Nagietek – naturalnym wrogiem czerwonych plam. Plasnęłam sobie na twarz obfitą porcją.

– Przecież nie wyważę drzwi. – Grayson wciąż tkwił po ich drugiej stronie.

– Nie. Ale możesz... hip... po prostu odejść – powiedziałam.

– Nie do ciebie mówię. Nie, nie mogę, bo zbudzę cały dom... Liv, co ty tam robisz?

– Czy ciebie... hip... całkiem pogięło?

Westchnienie Graysona słychać było aż w łazience.

– Czy ty właśnie podcinasz sobie żyły?

Co?

– Nie. Kremuję się. – Delikatne złote wieczko wysliznęło mi się z ręki i wpadło do umywalki. – Cholera! Hip.

– Dotarło? Wszystko z nią w porządku.

Z kim on gadał? Miałam nadzieję, że nie z Florence. Zabiłaby mnie, gdyby odkryła, że pękło wieczko. Może dałoby się to zamaskować odrobiną złotego lakieru do paznokci? Takiego, jaki widziałam ostatnio na paznokciach u nóg Florence. Otworzyłam szufladę, w której przechowywała buteleczki z lakierem. Było ich około sześćdziesięciu.

– Nie, ty kretynie, nie mogę tego zobaczyć na własne oczy – gderał Grayson. – Bo nie posiadam zdolności patrzenia przez ściany... Nie, jak mam... Liv, no otwórz, proszę! Muszę przekonać się na własne oczy, że wszystko w porządku.

– Chyba zwariowałaś – odparłam. O, jest: złoty lakier, tuż obok buteleczki z jasnobrązowym. Florence ułożyła je kolorami.

– Powiedz to Henry'emu, nie mnie.

Buteleczka z lakierem wysunęła mi się z rąk i w ostatniej chwili zdążyłam ją złapać, zanim roztrzaskała się o podłogę. Henry! Ze strachu czkawka minęła mi jak ręką odjął.

– Nie odbierałaś komórki, dlatego zadzwonił do mnie – wyjaśnił Grayson. – A teraz doprowadza mnie do szału i zmusza, żebym czytał pod łazienką.

Błyskawicznie otworzyłam drzwi, a Grayson zmrużył oczy, oślepiony. W milczeniu wręczył mi swojego iPhone'a.

– No, wreszcie!

Wyciągnęłam rękę, ale nie mogłam się przemóc, żeby wziąć telefon. Już na samą myśl, że miałabym usłyszeć głos Henry'ego...

– Powiedz mu, że śpię – szepnęłam.

Grayson przewrócił oczami.

– Na to jest już trochę za późno. Nawiasem mówiąc, ja też spałem, ale jemu było to kompletnie obojętne. – Ziewnął. – Liv, moglibyście rozwiązywać wasze problemy za dnia? Proszę!

Nie, obawiam się, że naszych problemów nie można rozwiązać. Ani za dnia, ani nocą.

Grayson przyłożył telefon do ucha.

– Słyszałeś? Nie chce z tobą gadać. Ale czuje się dobrze.

No jasne. Wręcz świetnie. Pomijając łzy, które znowu napłynęły mi do oczu.

– Co? – Teraz, kiedy jego oczy przywykły do światła, Grayson przypatrzył mi się nieco dokładniej. Zmarszczył brwi. – No! Całkiem normalnie. Rozłączam się, OK? Jest wpół do piątej, o tej porze wszyscy powinniśmy być pogrążeni w głębokim śnie, do cholery. I nie odbiorę, jeśli zadzwonisz jeszcze raz, jasne? Widzimy się na treningu. – Prychnął i dotknięciem ekranu przerwał połączenie. – Co ty mu zrobiłaś?

– Ja jemu? – Teraz to ja prychnęłam, co pomogło mi odrobinę zapanować nad łzami. – Przeszkodziłam mu tylko, jak się zabierał do tego, by zrobić coś z kimś innym. Nie znasz przypadkiem niejakiej B?

– Pst! – Grayson sięgnął ręką i zgasił światło w łazience. – Zaraz obudzisz innych!

– Jeszcze nie skończyłam – oznajmiłam i z powrotem zapaliłam światło.

– Owszem, skończyłaś. – Grayson zgasił światło. – Powinnaś być w łóżku. Czy ty się widziałaś w lustrze? Wyglądasz okropnie.

– Myślisz, że nie wiem? – Usiłowałam zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale wepchnął się w szparę, chwycił mnie za rękę i wyciągnął na korytarz.

– Mamy dziś po południu ważny mecz, a trener zapowiedział dodatkowy trening. Mam dość. Muszę iść spać.

– Więc idź do łóżka. – Bez przekonania próbowałam uwolnić się z jego uchwytu, ale w gruncie rzeczy byłam mu wdzięczna, że wyciągnął mnie z łazienki. W przeciwnym razie pewnie utknęłabym w niej na kilka dni i robiła straszne rzeczy ze swoją głową, kafelkami i lakierem do paznokci Florence.

Grayson nie dał się zbyć tak łatwo. Puścił mnie dopiero, kiedy znaleźliśmy się u mnie w pokoju i zamknął za nami drzwi. Oparł się o nie plecami i odetchnął głęboko, raz i drugi.

Ja również. Litość w jego spojrzeniu była widoczna nawet w niewyraźnym świetle lampki nocnej i nie do zniesienia. Zmrużyłam oczy. Nie mogłam przy nim beczeć. I nie

będę.

– Co ty masz na twarzy?

– Masz na myśli mój nos? Okropny, prawda? Jak wszystko we mnie. Nic dziwnego, że Henry mnie nie chce.

– Miałem na myśli to coś białe... – Grayson przejechał mi palcem po czole. Całkiem zapomniałam o nagietkowym fluidzie Florence. Potarłam twarz wierzchem dłoni.

– Wcale nie jesteś brzydka, Liv, tylko trochę w plamy... i zabeczana. – Grayson popatrzył na mnie z powagą. – A Henry... Nie mam pojęcia, co między wami zaszło, ale jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak odchodził od zmysłów.

Odchodził od zmysłów? Jakoś wątpiłam, żeby potrzebował fluidu na plamy.

– Co wy wyprawiacie po nocach w tych waszych snach? – Grayson nagle dał upust złości. – Dlaczego po prostu nie przestaniecie? Dlaczego nie skupicie się na prawdziwym życiu, które, do cholery, i tak jest już skomplikowane.

– O to musisz zapytać Henry'ego. – Padłam brzuchem na łóżko. – A tak w ogóle to rzeczy przeżywane we śnie są nie mniej prawdziwe. Niestety. I znowu popłynęły łzy. Jasna cholera.

– To tylko jeszcze jeden powód, żeby z tego zrezygnować.

Zakopałam twarz w poduszce. Usłyszałam, że Grayson podszedł bliżej i z wahaniem usiadł na krawędzi łóżka.

– To, co między wami zaszło, to wasza sprawa – odezwał się łagodniejszym tonem. – Ale jedno wiem na pewno: Henry nigdy by cię nie zranił, Liv.

Nie? A zranił. Zaniósłam się szlochom.

– Przysięgam ci – powiedział Grayson dobitniej. – Znam go od pierwszej klasy i z tobą jest... jest całkiem inny.

Usiadłam gwałtownie.

– Ach tak? Jaki inny?

Po jego twarzy przebiegł cień.

– Trudno mi to wytłumaczyć.

Pociągnęłam nosem ze złością.

– Wyjaśnienie tego bardzo by mi pomogło – stwierdziłam. Właściwie chciałam włożyć w te słowa nutę przekąsu, ale wyszła mi błagalna prośba.

Grayson wyglądał, jakby pragnął znaleźć się w zupełnie innym miejscu.

– Henry... – zawahał się. – Miał już kilka... innych dziewczyn, OK?

O. Dobre wyjaśnienie. Przypuszczalnie preferował trochę starsze kobiety, które fantastycznie prezentowały się w basenie z hydromasażem. To były najbardziej krzepiące słowa, jakie mogłam usłyszeć od Graysona. Należało jednak spróbować z kafelkami.

– To były krótkie związki. I powierzchowne – dopowiedział szybko Grayson. Na jego twarzy malowało się poczucie winy. – Henry nigdy nikogo do siebie nie dopuszczał. Ale z tobą jest inaczej. Henry jest inny. Jest... – przerwał. – Z tobą jest po prostu sobą. Jest szczęśliwy.

Ta rozmowa definitywnie zmierzała w złym kierunku.

Pokręciłam głową.

– Szczęśliwy? A co w takim razie z tą... – urwałam. Nie mogłam się przemóc, żeby opowiedzieć Graysonowi o nagiej syrenie, od której Henry najwyraźniej nie potrafił się uwolnić, choć był ze mną. To było zbyt uwłaczające. – Jasne, a ponieważ jest ze mną taki szczęśliwy, opowiada mi wszystko o swoim życiu! – wyrzuciłam z siebie zamiast tego.

– Liv...

– To prawda. Nawet twoja dziewczyna wie o nim więcej niż ja.

Grayson wstał i podszedł do okna. Dopiero teraz zauważyłam, że dziś wyjątkowo był ubrany w T-shirt.

– Henry nigdy nie mówił wiele o sobie, nawet Arthurowi czy mnie. Prędzej odgryzłby sobie język. Po prostu z biegiem lat siłą rzeczy dowiedzieliśmy się tego i owego.

– Czego na przykład? – zapytałam.

Na jego twarzy malowały się zmienne emocje. Odwrócił się do okna i udawał, że wygląda na zewnątrz.

– W jego ósme urodziny musieliśmy wszyscy wyjść przed czasem, gdyż jego mama wtoczyła się do pokoju i zamiast tortu chciała pokroić

sobie żyły. Bo ojciec Henry'ego miał romans z *au pair* ze Szwecji. Jego trzynaste urodziny w ogóle się nie odbyły. Matka zniknęła bez śladu na tydzień, cały tydzień, który Henry spędził sam w domu z czteromiesięczną Amy i Milo, podczas gdy ojciec szlajał się jachtem po Morzu Śródziemnym i był nieosiągalny. Jak właściwie zawsze, kiedy Henry go potrzebował. Nie da się policzyć, ile razy Henry spóźnił się do szkoły albo na trening, bo musiał zatroszczyć się o coś w domu...

Grayson opowiadał szybko, zduszonym głosem, jakby mówienie sprawiało mu fizyczny ból. Ja czułam się podobnie. Było gorzej, znacznie gorzej, niż przypuszczałam.

A jednak, mimo wszystko, kiedy te okropne obrazy życia rodzinnego w domu Henry'ego docierały do mnie, a moje serce robiło się coraz cięższe ze współczucia, wiedziałam, że wszystko to w niczym nie zmienia faktu, że Henry chciał mnie zdradzić z inną kobietą, a to bolało tak samo jak przedtem. Tyle że teraz na domiar złego poczułam się jak zimna egoistka, bo nie potrafiłam wybaczyć biednemu Henry'emu, który przez swoją pokreconą rodzinę miał tyle zmartwień, że wlaź z gołą kobietą do basenu z hydromasażem.

Rozległ się jakiś żalony dźwięk i przez moment sądziłam, że to Spot wrócił, zanim pojęłam, że to ja wydałam z siebie ten odgłos.

Grayson odwrócił się do mnie. Obawiałam się spojrzeć mu w oczy, bo jeśli teraz znowu popatrzy na mnie z taką litością, będę zmuszona zamknąć się w łazience. Na zawsze.

Ale w jego spojrzeniu tym razem nie było współczucia, tylko coś w rodzaju irytacji.

– Jestem idiotą – wydusił z siebie. – To wyłącznie Henry'ego sprawa, czy ci to wyjaśni. Już dawno powinien to uczynić. Nie mam pojęcia, dlaczego robię to za niego.

– Bo chcesz pomóc.

Sama nie wiedziałam dlaczego, lecz nagle poczułam się ciut lepiej. Lżej.

– Ale jeśli zrobił coś, co cię uraziło, to... moja pomoc nie na wiele się zda. – Grayson uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Poza tym trochę przesadziłem. Nie został wtedy całkiem sam z Amy i Milo. Byli jeszcze ogrodnik i gosposia. I zwierzęta domowe oraz *au pair*. Ale jeśli chodzi

o Amy, to on do dziś im nie ufa. To znaczy, opiekunkom, nie zwierzętom.

Usiłowałam się roześmiać. I nawet trochę mi się udało.

Grayson podszedł do mnie i popatrzył badawczo.

– Ile nocy już nie przespałaś?

Wzruszyłam ramionami i opadłam na poduszkę. Nagle ogarnęło mnie niewiarygodne znużenie. Znużenie, wyczerpanie i przeciążenie.

Rzucił wzrokiem na budzik.

– Masz jeszcze kilka godzin. Powiem wszystkim, żeby byli cicho i cię nie budzili. O Mię nie musisz się martwić, zajrzałem do niej przed chwilą. Leży w swoim łóżku i śpi jak suseł.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Zainstalowałam parę zabezpieczeń pod drzwiami do jej snów, tak na wszelki wypadek. Może powinieneś zrobić to samo przy swoich.

– Powinieneś, tak? – Już się zbierał do odejścia, ale odwrócił się i popatrzył na mnie nieufnie. – Kto miałby interesować się moimi snami? Wypadłem z gry. I mam wielką nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy, by... eee... nadużyć mojego zaufania i odwiedzić mnie we śnie.

– Nigdy w życiu! Najwyżej w nagłym wypadku – zapewniłam go i szybko zgasłam lampkę. W ciemności łatwiej było mi mówić dalej.

– Grayson?

– Hm?

– Dziękuję. Czasami nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– I dodałam pośpiesznie: – I przepraszam. Że z mojego powodu nie dosypiasz. I że się musisz zamartwiać. I że ścięłyśmy ten szkaradny bukszpan.

Usłyszałam, jak wzdycha.

– Już dobrze.

– Nie, nie jest dobrze. Jesteś naprawdę najmilszym i najlepszym...

– i najpiękniejszym, dodałam w myślach – starszym bratem, jakiego można sobie wyobrazić.

Zaśmiał się cicho.

– A ty najbardziej wkurzającą... najbardziej plamistą młodszą siostrą, jaką kiedykolwiek miałem. Śpij dobrze, Liv. Jutro wszystko się ułoży.



13 stycznia

Myślałam, że bez Jaspera, który zwracał się do sędziego, używając epitetów będących nazwami zwierząt, wszczynał bójki i w środku meczu zrzucał koszulkę, na meczach Frognal Flames zapanuje nuda, ale... Hej! Myliłam się.

Fakt, byłoby fajniej, gdybyśmy wygrali, lecz pod każdym innym względem nie ma powodów do narzekań: to był super show.

Ludziaszki, czasami naprawdę jestem szczęśliwa, że nie jestem chłopakiem – testosteron to chyba niefajna rzecz. Wydaje się jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż PMS. Arthur ustanowił nowy rekord: po dwóch perfidnych faulach wyleciał z boiska już po ośmiu minutach gry, wow! Gabriel nie musiał nazywać sędziego ślepym patałachem z piwnym kałdunem. A co dopiero Henry! Niesamowite, z jaką elegancją, nawet nie mrugnawszy, wszystkie piłki wrzucał obok kosza.

Wiadomość przeznaczona tylko dla Erika Sarstedta: lubimy cię, serio, naprawdę starasz się godnie zastąpić Jaspera. Ale jeśli to możliwe, proszę, nie zdejmuj koszulki. Jeżeli chcielibyśmy pooglądać owłosione plecy, po prostu poszlibyśmy do zoo.

Nawiasem mówiąc, po meczu Grayson – czyli kapitan drużyny

i zastępca redaktor naczelnej „reflexu” – udzielił wywiadu swojej szefowej i zarazem dziewczynie Emily Clark, który ku naszej radości możemy zacytować słowo w słowo – na wyłączność, specjalnie dla was.

Emily: Potrzebuję wypowiedzi dla „reflexu”. Daj mi jedno zdanie, dlaczego przegraliście. Twoim kumplom ekstratrening najwyraźniej nic nie dał.

Grayson: Po prostu powinni przesypiać noce. Muszę lecieć.

Emily: Mam tak napisać?

Grayson: Nie, oczywiście, że nie. Później się tym zajmiemy, dobra? Muszę dołączyć do innych.

Emily: Żadne później. Wiesz, jaki jest deadline. Tylko jedno zdanie.

Grayson: O Boże, Emily! Sama coś wymyśl.

Emily: Grayson Spencer jest rozczarowany kolegami z drużyny, którzy swym niedojrzałym zachowaniem po raz kolejny zniweczyli jego starania. Należałoby zadać sobie pytanie, dlaczego tyle czasu i energii wkłada w ten głupi sport i drużynę, choć w ostatniej klasie właściwie powinien skupić się na ważniejszych sprawach...

Grayson: Głupi sport? Koszykówka? Dlatego że nie dręczy się koni zaplataniem im grzyw w warkoczyki?

Emily: Dlatego że trzy razy w tygodniu trzeba przebywać z kupą nierozgarniętych idiotów, a to nie pozostaje bez wpływu.

Mała przerwa.

Grayson: OK. To ładne zdanie. Napisz tak.

Emily: Grayson. Nie to miałam na myśli. Czekać...

Grayson: (odszedł).

Zawsze mówiłam, że pary nie powinny ze sobą pracować, z tego wynikają same komplikacje.

Ciekawe, co w środę przeczytamy w „Refleksie”. Przypuszczam, że nic ☐.

Widzimy się!

Wasza Secrecy

PS Przy okazji, Liv i Mia Silver alias morderczynie z tasakiem alias masakrujące drzewa kobry okularnice nie były na meczu – i osobiście wcale za nimi nie tęskniłam. Wciąż krwawi mi serce, kiedy

myślę o Mr Snugglesie. A wam?



Mr Wu odziany w bojowy strój stał pod drzwiami Mii jak żołnierz gwardii królewskiej, a zamiast broni trzymał na ramieniu pałkę do gongu. Nie byłam pewna, czy pełnił wartę także wtedy, gdy nie spałam. W końcu był wytworem moich snów, a skoro ja nie spałam, to jak mógł egzystować?

– Żaden intruz nie ośmielił się zadrzeć z Niebiańską Tygrysią Łapą – poinformował.

– A ktoś próbował? – zapytałam z napięciem, choć w tym samym momencie przez głowę przemknęła mi refleksja, że wyimaginowana przeze mnie postać nie mogła widzieć czegoś, czego ja nie widziałam. (Tak, to skomplikowana myśl. Jedna z tych, których powinno się unikać, jeśli człowiek nie chce doprowadzić do zapętlania mózgu).

– Wszystkie wrony na niebie są czarne. – Mr Wu kiwał głową.
– Był tu ten obcy w kapeluszu...

W kapeluszu? To mógł być tylko senator Mort. A raczej doktor Martenson, psychiatra Anabel. Czy to znaczy, że naprawdę tu był, czy Mr Wu, jako częśćka mnie, wypowiedział jedynie na głos to, czego sama

się obawiałam? I czego senator Mort mógł chcieć od Mii? Może po prostu tylko przechodził tędy, szukając kogoś innego – na przykład mnie?

– Ależ to skomplikowane – mruknęłam i szybko omiotłam spojrzeniem czarne drzwi Henry’ego.

Kiedy przed chwilą wyszłam na korytarz i zobaczyłam, że nadal znajdowały się dokładnie naprzeciwko moich, wszystko boleśnie się we mnie ścisnęło. Choć wmawiałam sobie, że przyszłam tutaj tylko ze względu na Mię, nie powinnam się łudzić – w głębi serca miałam nadzieję, że spotkam tu Henry’ego.

Przez całą sobotę wzbraniałam się przed rozmową z nim. Wypawszy się do jedenastej, powinnam wyskoczyć z łóżka rześka i radosna, ale człowiek nie wyskakuje z łóżka rześki i radosny, kiedy nakrył własnego chłopaka w basenie z gołą babą i przeryczał pół nocy. Miałam wrażenie, że w moich żyłach płynie ołów. Albo trucizna.

Henry, mimo dodatkowego treningu i meczu, nagrał się siedem razy i trzykrotnie zadzwonił na numer stacjonarny, jednak wieczorem, po meczu, kiedy wreszcie poczułam się na tyle silna, by stanąć z nim twarzą w twarz bez obawy, że zaraz się rozbeczę albo na niego nawrzeszczę, albo jedno i drugie, nagle zapanowała cisza w eterze. Zero telefonów, zero SMS-ów.

Rozległ się dzwonek u drzwi, ale to przyszła tylko Emily, która chciała spotkać się z Florence, żeby zaplanować osiemnastkę bliźniaków, oczywiście pod nieobecność Graysona. Ponieważ okupowały salon, Mia i ja musiałyśmy go opuścić. Nie miałam zresztą o to pretensji, bo moja wymarzona wizja wieczoru wyglądała tak, że leżę w łóżku, gapię się w sufit i czuję się nędznie. Przedtem wzięłam jeszcze kąpiel, gapiąc się w sufit i czując się nędznie. Może to skutek działania gorącej wody, a może tego, że wciąż musiałam nadrobić sporo zaległości w spaniu, albo może był to rodzaj mechanizmu obronnego mojego organizmu, który w sytuacji stresu po prostu się wyłączał, w każdym razie ledwie się położyłam, natychmiast zamknęły mi się oczy. Moja ostatnia myśl dotyczyła korytarza. W żadnym razie nie zamierzałam tam iść. Po pierwsze, nie wiedziałam, czy Henry nie będzie tam na mnie czekał, a po drugie, chciałam, żeby czekał na próżno. O ile czekał.

Taaa. Wbrew postanowieniom byłam tutaj. A Henry nie.

– Najpierw płaczą się słowa, potem płaczą się pojęcia, a na końcu płaczą się rzeczy – powiedział Mr Wu.

– Ma pan absolutną rację. – Westchnęłam i poklepałam go po ramieniu. – Niech pan dalej trzyma straż, jest pan w tym doskonały.

I co teraz? Obróciłam się wokół własnej osi. Zawiesiłam wzrok na drzwiach Henry’ego. Mosiężna lwia głowa i okucia trzech umieszczonych jeden pod drugim zamków błyszcząły w półmroku korytarza jak świeżo wypolerowane.

Przez kilka sekund wpatrywałam się w słowa *dream on*, wyrzeźbione w drewnie zamasztytymi, fikuśnymi literami, a potem po prostu ruszyłam przed siebie. Byle dalej. Pobiegłam korytarzem, skręciłam w lewo i zatrzymałam się dopiero wtedy, gdy znalazłam kolejne znajome drzwi. Należały do Arthura i przez sekundę naprawdę rozważałam, czy nie zapukać. Może on znał odpowiedzi na moje pytania.

Szybko jednak opuściłam rękę. Więc to już do tego doszło? Że z czystej desperacji szukałam towarzystwa Arthura? Najchętniej sama bym się spoliczkowała, ale nie zdążyłam, bo nagle ogarnęła mnie pewność, że nie jestem sama. To nie był pierwszy raz, kiedy na korytarzu panował całkowity spokój, a mimo to wyczuwałam czyjąś obecność.

I nie myliłam się. Z mroku najbliższego odgałęzienia wyłonił się senator Mort. W pelerynie i kapeluszu z obwisłym rondem, nasuniętym głęboko na czoło.

– Patrzcie, patrzcie, dziewczyna-leopard – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała niekłamana radość.

Nie byłam ani zaskoczona, ani zdjeta strachem, co mnie trochę zdziwiło.

– Pan senator. Znów zabójczo elegancki – odparłam. – Chociaż ta skórzana peleryna odrobinę przypomina mi kostium z taniego filmu klasy C.

Senator Mort odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno. Efekt grozy znacznie już osłabł. Nawet nie dostałam gęsiej skórki. Senator zamilkł i zbliżył się o krok. Teraz widziałam jego bladoniebieskie oczy spoglądające spod kapelusza.

– O, pajak chodzi ci po ręku!

Istotnie. Po moim rękawie wspinała się powoli wielka włochata tarantula. Z trudem stłumiłam krzyk. Gdyby to nie był sen, biegałabym wokół, wrzeszcząc na cały głos. Prawdę mówiąc, wystarczyłoby, aby pajak był nawet o połowę mniejszy. Jakoś nie mogłam przekonać się do zwierząt mających więcej niż cztery nogi. Kiedy mieszkałyśmy w Indiach, sporo czasu spędzałam na powrzaskiwaniu. Nie chciałam jednak dać satysfakcji senatorowi. A to nie była rzeczywistość. Na jawie leżałam spokojna i bezpieczna w swoim łóżku, w domu całkowicie wolnym od tarantul.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem dziewczyny, która nie bałaby się pajaków – powiedział senator Mort ze złośliwą satysfakcją. W jego oczach musiałam wyglądać, jakbym zamarła z przerażenia. – Bardzo łatwo uzasadnić to od strony psychologicznej. Najbardziej boimy się stworzeń, których wygląd jest najmniej zbliżony do ludzkiego.

Sporo mnie to kosztowało, ale wyciągnęłam rękę i pogłaskałam tarantulę po jej włochatym grzbiecie.

– Jaki puszysty – stwierdziłam. – Niech pan dotknie. To się chyba nazywa terapia konfrontacyjna, prawda?

Spodziewałam się, że senator zmusi pajaka, by mnie capnął, albo powiększy go do ogromnych rozmiarów (ja bym tak zrobiła na jego miejscu), i przygotowałam się do metamorfozy w motyla cytrynka. Ale on tylko uśmiechnął się chytrze.

– Odważna jesteś, mała – rzekł. – Jednak mnie nie nabierzesz. Dobrze widzę, co się z tobą dzieje: rozszerzone źrenice, przyśpieszone tętno, szybszy oddech... O, popatrz, nadchodzi więcej...

Pojawiły się dwie kolejne tarantule i obrały kurs na moje nogi. Miał rację, mój oddech rzeczywiście stał się trochę nieregularny.

– Wiesz, stawiam raczej na subtelne efekty – ciągnął senator Mort, cmoknąwszy sadystycznie. Ukazały się dwa kolejne pajaki. Tym razem lały po ścianach w dół.

Powoli zaczynałam mieć dosyć.

– Na jednego pajaka jeszcze można mieć oko, ale na dwa?
– Wodniste niebieskie oczy obserwowały mnie w napięciu. – To nieobliczalne szybkie ruchy sprawiają, że się ich boimy. Wiedziałaś, że

potrafią świetnie skakać?

– Naprawdę?

Pająki podchodziły coraz bliżej. Sprawiałam, że urosła mi dodatkowa para rąk. I dwie nogi. Obficie owłosione. Pod coraz bardziej zdumionym spojrzeniem senatora zamieniłam się w gigantyczną tarantulę, co nawet nie było trudne – w końcu miałam monstra przed oczami. Przed ośmiorgiem oczu, ściślej rzecz biorąc, parą dużych i trzema parami małych, którymi namierzałam teraz senatora.

Całkowicie zaskoczony zachwiał się do tyłu i nagle w jego dłoni pojawiła się buteleczka, wypełniona jakąś świetlistą substancją. Sam wydawał się tym zdziwiony, ale wyciągnął rękę w moją stronę i wrzasnął:

– Nie zbliżaj się!

Wbrew woli parsknęłam śmiechem. Ktoś tu chyba naoglądał się *Władcy Pierścieni*.

– Światło gwiazdy Eärendila? Obawiam się, że tutaj to nie pomoże.

Ze śmiechu ledwie trzymałam się na cienkich pajęcznych nóżkach, a moje potężne cielsko kiwało się na boki, mimo to udało mi się przemienić flakonik w tarantulę. Pozostałe trzy pająki przeniosłam z podłogi na jego kapelusz. A potem, ponieważ mój perlisty śmiech i tak odebrał mojej postaci całą grozę, z powrotem stałam się sobą i wygładziłam

T-shirt.

To mi poprawiło nastrój. Poszukałam w szerokim repertuarze Mr Wu odpowiedniej sentencji, ale do głowy przyszła mi spontanicznie tylko jedna, chyba niezbyt odpowiednia. „Kiedy zaczyna wiać wiatr zmian, jedni budują mury, inni wiatraki”.

Senator nie miał głowy do moich mądrości, bo usiłował strząsnąć z siebie wyimaginowane tarantule, co zauważyłam z satysfakcją. Kiedy mu się to wreszcie udało, otworzyły się drzwi i na korytarz wyszedł Arthur.

– Przeszkadzam? – zapytał, wodząc wzrokiem między senatorem i mną.

– Ależ skąd – odparłam. Drzwi Arthura zamknęły się za jego plecami. – Frodo i ja zajmujemy się właśnie psychologią stosowaną.

Wiedziałaś, że... – Więcej nie zdołałam powiedzieć, gdyż senator Mort wyprostował się, uniósł rękę i rzucił we mnie czymś, co wyglądało jak błyskawica. Trafiłaby mnie, gdyby tuż przede mną nie powstało coś w rodzaju pola siłowego. Błyskawica odbiła się od niego jak od ściany i rozprysła na tysiąc iskierek.

Na twarzy Arthura wymalowało się zdumienie. Pojęłam, że to nie on mnie uratował.

Obróciłam się szybko do tyłu. Henry. Stał nieco dalej, z dłońmi jak tarcze zwróconymi w kierunku senatora. Na jego widok moje serce oszalało, choć właściwie powinno oszaleć przedtem, gdy pojawiły się pająki. Skąd on się tu w ogóle wziął? Był tutaj przez cały czas? Może nawet obserwował mnie i śledził od samego początku?

Wyglądał fantastycznie, piękniej niż kiedykolwiek, blady, z promieniejącymi szarymi oczami i lekkim uśmiechem na ustach. Niedbale włożył ręce do kieszeni spodni. Arthur zaczął bić mu brawo.

Senator Mort oniemiał na chwilę. Patrzył na nas troje, rozsierdzony.

– Co to miało być, panie senatorze? Thor? Czy Zeus? – Henry pokręcił głową z politowaniem. – Fantazje o wszechpotężnej władzy, czarna skóra, błyskawice – klasyczny przypadek megalomanii. Choć to już pewnie dawno pan u siebie zdiagnozował, prawda? Doktorze Martenson?

Senator Mort wyglądał jak przyłapany na czymś brzydkim. Poprawił kapelusz.

– Doktor Martenson? – powtórzył Arthur.

– Doktor Otto Martenson, szpitalny psychiatra Anabel – przytaknął Henry. – W rzeczywistości jest trochę cięższy, niższy i nosi okulary. Ale kto by tam chciał wyglądać we śnie tak jak na jawie, prawda?

Było oczywiste, że nowina kompletnie zaskoczyła Arthura. Na jego twarzy malowały się po kolei zdumienie, zrozumienie i wreszcie gniew. Pracowały mięśnie żuchwy.

– Przysłała pana Anabel? Daje się pan wykorzystywać osiemnastoletniej dziewczynie?

Doktor Martenson ochłonął i powoli odzyskiwał pewność siebie.

– Wasza przyjaciółka Anabel ma rację: naprawdę jesteście jeszcze

dziećmi – oznajmił i wydał z siebie krótki, pogardliwy śmiech. – Nie daję się nikomu wykorzystywać, a już na pewno nie jakiejś schizofrenicznej gówniarze. Ale jestem jej wdzięczny, że pokazała mi drogę do świata snów. Bo w odróżnieniu od was dawno zrozumiałem, że można tutaj nie tylko się bawić.

– Tylko co? Panować nad światem? – zapytał Henry. – Nie chciałbym pana urazić, ale musi się pan jeszcze sporo nauczyć.

– Gdzie jest Anabel? I co zamierza z panem zrobić? – wypytywał Arthur.

Senator Mort machnął ręką.

– Biedna dziewczyna rozumowała, że jeśli będzie mną manipulować we śnie, to uda jej się wydostać z kliniki. Głupio tylko, że jej nie wyszło. Ja nie pozwolę sobą manipulować. Muszę jednak przyznać, że tutejsze możliwości wydają mi się fascynujące. Zaledwie przez krótką chwilę sądziłem, że sam zwariowałem...

– A Anabel? – zapytałam. Moje serce wciąż waliło jak szalone. Przestałam wbijać wzrok w Henry'ego, wołałam skupić się na senatorze.

– Anabel... tak. Odwdzięczyłbym się jej, owszem, ale dziewczyna, niestety, nie była zbyt chętna do współpracy. A jej pomoc, w rzeczy samej, przydałaby mi się – w końcu to wszystko było dla mnie całkiem nowe. Jednak takie osobowości jak Anabel nie lubią porażek. Sami to wiecie najlepiej. – Zaśmiał się znowu. Z każdą sekundą odzyskiwał pewność siebie. A także, co dziwne, nagle nie wydawał się już taki zabawny. Tylko bardzo niebezpieczny. – Niestety, nie chciała grać według moich reguł, więc musiałem ją... cóż! Powiedzmy, że Anabel robi sobie małą

przerwę.

Nagle dostałam gęsiej skórki.

– Z takimi pacjentami trzeba zachować wielką ostrożność: duża inteligencja, wpływowy ojciec, wołałem nie ryzykować – ciągnął z niezmaconym spokojem senator Mort. Nasze zaszokowane milczenie wyraźnie mu się podobało. – Na szczęście, jako lekarz prowadzący, mam swoje możliwości i sposoby.

– Co pan jej zrobił? – wyszeptałam. Przed moimi oczami przewinęły się kadry z mnóstwa dołujących stereotypowych filmów

o psychiatrach: elektrowstrząsy, kaftany bezpieczeństwa i lobotomia. Widziałam Anabel przywiązaną do łóżka, wpatrzoną pustym wzrokiem w przestrzeń.

Doktor Martenson podszedł krok bliżej.

– Istnieją dobrze tolerowane środki nasenne, które nie dopuszczają do fazy REM – powiedział z wyższością. – Z tego właśnie powodu od tak dawno nie widzieliście tu Anabel. Może kiedyś wpadniecie ją odwiedzić? Jeszcze długo pozostanie na moim oddziale i jest taka samotna. – Klepnął się w czoło. – Ach, nie, to przecież niemożliwe, wprowadziłem zakaz odwiedzin. Oczywiście tylko dla jej dobra.

– Pan... – Z anielskiej twarzy Arthura odpłynęła krew. – Pan kłamie! Anabel jest zbyt sprytna, żeby się tak... O Boże.

Doktor Martenson uśmiechnął się triumfalnie.

– Nadal ją kochasz, prawda, aniołeczku? Przyznaję, jest wyjątkowo ładną dziewczyną, te jej niesamowite turkusowe oczy... – Zrobił małą przerwę i puścił oko do Arthura. – Doskonale cię rozumiem. Uwierz mi, ona nie jest dla ciebie.

– Ty potworze – wydusił z siebie Arthur.

– Jeśli nie przysłała pana Anabel, to czemu pan się koło nas kręci?

– zapytał Henry, marszcząc brwi. – Czego pan od nas chce?

Zadowolony śmieszek ustąpił miejsca irytacji.

– Nic od was nie chcę. Oprócz mnie jesteście jedynymi osobami, które wychodzą na te korytarze. Z kimś muszę przecież ćwiczyć!

– Wysunął podbródek. W jego oczach iskrzył się obłęd. – Anabel dużo opowiadała mi o was w trakcie terapii i muszę przyznać, że zna się na ludziach. Kiedy zobaczyłem was po raz pierwszy, miałem wrażenie, że spotykam starych znajomych.

Arthur zaciskał szczękę. Pewnie wyobrażał sobie, co Anabel naopowiadała swojemu psychiatrze.

– Na razie jeszcze jesteście lepsi ode mnie, ale wkrótce to się zmieni. – Doktor Martenson podniósł głos. – A wtedy, drogie dzieci, miejcie się na baczności!

Henry miał rację. Ten facet rzeczywiście cierpiał na manię wielkości. Sama miałam ochotę cisnąć w niego piorunem.

Do tego już jednak nie doszło. Rozległo się elektroniczne piszczenie, a kiedy zaczęliśmy się rozglądać za jego źródłem, senator Mort zniknął bez śladu.

– To jego pager – powiedział Henry. – Obudził się. Przynajmniej czegoś się dowiedzieliśmy. Wydawał się chętny do udzielania informacji.

Arthur wciąż sprawiał wrażenie zaszokowanego.

– Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotał i wskazał ręką swoje drzwi. – Może wejdziemy i obgadamy to u mnie? – Wpisał kod, oczywiście tak, żebyśmy nie widzieli, i drzwi puściły. – Chętnie posłucham, jak udało się wam ustalić, kim jest. I co powinniśmy teraz zrobić.

Ruszyłam za nim, ale Henry chwycił mnie za przegub dłoni i przytrzymał.

– My nic nie zrobimy, Arthurze – oznajmił. – Nie jesteśmy już jedną drużyną, zapomniałeś? I doktor Martenson w niczym tego nie zmienia.

– Henry... – Wzrok Arthura potrafiłby zmiękczyć kamień, ale Henry już się odwrócił. Pociągnął mnie za sobą, żelaznym uchwytem ściskając mój nadgarstek.

Poczułam na plecach spojrzenie Arthura, a potem usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi.



– Czego właściwie chciałaś od Arthura? – zapytał Henry zwykłym, gawędziarskim tonem. Mowa jego ciała sugerowała jednak co innego. Wciąż trzymał mnie mocno za nadgarstek, a ja z trudem dotrzymywałam mu kroku.

Nie odpowiedziałam. Choćby z tego powodu, że sama dokładnie nie wiedziałam. Zapewne nie byłoby trudno uwolnić się z uchwytu, ale pozwoliłam, by Henry doprowadził mnie do swoich drzwi. Gorączkowo sprawdziłam swój wygląd – nigdy nic nie wiadomo. Fryzura – OK. Ciuchy – OK. Plamy – znikły. Okularów – brak. We śnie i tak ich nie potrzebowałam, moje oczy funkcjonowały bez zarzutu.

Nie udało mi się jedynie uspokoić tętna. Byłam niemal pewna, że Henry słyszał moje dziko miotające się w piersi serce.

Puścił mnie i wyjął trzy klucze, żeby otworzyć drzwi. Na ich widok przypomniałam sobie, że kiedyś podarował mi duplikat jednego z nich. Z łańcuszkiem, żebym mogła powiesić go sobie na szyi. Wtedy myślałam, że to takie romantyczne. Teraz wydało mi się to czystym szyderstwem. Po co mi jeden klucz, skoro potrzeba było trzech, żeby wejść do jego snu?

– Wchodzisz?

Henry przekroczył już próg. Poszłam za nim – i aż zamrugałam, oślepią blaskiem słońca. Staliśmy w jakimś parku, pełnym kwitnących krzewów i wysokich drzew. Nie, chwileczkę, to nie był park...

– Cmentarz? Jakże to trafne. – Wsunęłam rękę do kieszeni dzinsów. Moje serce nadal wyczyniało, co chciało, ale całą resztę miałam pod kontrolą. Żadnej łzawej guli w gardle, przez którą mój głos mógłby zabrzmieć nie tak, jak powinien. – Z drugiej strony to trochę szkoda. Tak bardzo cieszyłam się na kąpiel w basenie z hydromasażem.

– To nie był mój sen – powiedział Henry.

– Ach, racja. To był sen twojej przyjaciółki B.

– To nie jest moja przyjaciółka.

– W takim razie kto? Twoja kuzynka lesbijka, z którą niestety możesz spotykać się tylko we śnie, ponieważ w prawdziwym życiu została uprowadzona przez talibów i od wielu lat jest przetrzymywana w jakiejś jaskini w Afganistanie?

Uśmiech przemknął po jego twarzy, ale zaraz zniknął.

– Przepraszam cię, Liv. Wiem, jak to musiało dla ciebie wyglądać. Ale miałem powody...

– Jak to musiało dla mnie wyglądać? Cóż, wyglądało to tak, jakby mój chłopak kąpał się w basenie z gołą kobietą. – Odrąciłam jego dłoń, którą chciał pogłaskać mnie po policzku.

Henry zmarszczył brwi.

– Ale wiesz, że to był tylko sen, prawda?

– Dla tej szmaty zrobionej na nimfę wodną może tak, ale nie dla ciebie.

Milczał przez chwilę.

– Kiedy odwiedza się kogoś we śnie, trzeba się dostosować do okoliczności – odezwał w końcu. – I właśnie to zrobiłem. I ty nie powinnaś... Co ty tam, do diabła, w ogóle robiłaś? Dlaczego mnie śledziłaś?

Zatkało mnie na moment, tak bardzo rozjuszył mnie sposób, w jaki odwrócił kota ogonem.

– Nasuwa się pytanie, jak bardzo byłeś gotów dostosować się do okoliczności.

– Nie, pytanie brzmi, dlaczego mnie śledziłaś.

– Akurat przypadkiem byłam niewidzialna, kiedy... – urwałam.

W żadnym razie nie mogłam się przed nim tłumaczyć. Z wysiłkiem wbiłam wzrok w swoje stopy. Głupio tylko, że ta przeklęta gula od łez znowu narosła mi w gardle. Z wielkim trudem i niezmiernie cicho udało mi się zadać jedyne pytanie, które miało jakiegokolwiek znaczenie:

– Czego ty szukałeś we śnie tej kobiety, Henry?

Nie odpowiedział od razu. Zadarłam głowę, żeby popatrzeć mu w oczy, choć sporo mnie to kosztowało. Tak bardzo się bałam, że znowu odnajdę w nich poczucie winy.

Zobaczyłam jedynie bezradność.

– To skomplikowane – rzekł.

– Więc mi wytłumacz.

– Niektórych rzeczy mogłabyś nie zrozumieć, nawet gdybyś chciała.

– Po prostu spróbuj.

Zacisnął usta.

– To dlatego, że pod pewnymi względami brakuje mi doświadczenia? – wyrwało mi się. Byłam na siebie zła, że moje słowa zabrzmiały tak pruderyjnie i wiktoriańsko, jakby zaraz miał wyrosnąć na mojej głowie czepek z koronką. Nie umiałam nawet mówić o seksie. Trudno, musiałam przez to przejść. – A może ma to coś wspólnego z męskimi potrzebami, o których nie mam pojęcia? – O Boże. Robiło się coraz gorzej. Zaczęłam się nienawidzić. Wydawało mi się, że rozpoznałam w spojrzeniu Henry'ego lekką konsternację.

– Co...? Nie. – Podszedł bliżej o krok i tym razem pozwoliłam, by dotknął mojego policzka. Ostrożnie przesunął palcami w górę skroni.

– To w ogóle nie ma nic wspólnego z tobą.

– A z czym? – Z całej siły próbowałam nie przytulić głowy do jego dłoni, jak to robił Spot, kiedy się go głaskało. Ale nie umiałam też odsunąć jego ręki, jak dyktował rozsądek.

Westchnął.

– Mówiłem już, to skomplikowane. Moje życie jest skomplikowane. Są pewne sprawy, o które muszę się troszczyć, bo inaczej nikt tego nie zrobi. – Jego palce powędrowały znowu w dół

i przejechały lekko po kości policzkowej i niżej do podbródka. – Nie zrozumiesz tego. W twojej rodzinie wszyscy sobie pomagają i pragną dobra dla każdego. U nas jest inaczej. Mój ojciec... Powiedzmy, że zaniedbał ojcowskie obowiązki. Byłoby mi to obojętne, gdyby dotyczyło tylko weekendów, w które powinien nas odwiedzać, choć w ten sposób notorycznie łamie serce Amy i Milo. Ale nie mogę dopuścić, żeby ryzykował przy tym ich przyszłość. On to nazywa robieniem interesów, w rzeczywistości przepuszcza po prostu mnóstwo pieniędzy. Pieniądzy, które nie należą do niego, tylko do Milo, Amy i mnie. Mój dziadek zlecił mu nad nimi nadzór powierniczy, dopóki nie osiągniemy pełnoletności. Ja poradziłbym sobie i bez tych pieniędzy, ale Milo zapewne nikt nie zaproponuje żadnego stypendium. Będą mu kiedyś potrzebne.

Słuchałam w napięciu i ledwie ośmielałam się oddychać, nie mówiąc o przerywaniu mu lub poinformowaniu, że nadal nie całkiem rozumiem związek.

– Mój dziadek zmarł cztery lata temu. Wiedział, co się stanie, jeśli pieniądze przekaże w spadku ojcu. – Wskazał głową na nagrobek niedaleko. Wzdrygnęłam się. Na pomniku, o zgrozo, wygrawerowane było imię i nazwisko Henry’ego. „Henry Harper – ukochany mąż i ojciec”. Dopiero kiedy zobaczyłam rok urodzenia, pojęłam, że Henry nosił imię po dziadku. – Dlatego postanowił, że przekaże majątek w zarząd powierniczy. W ten sposób chciał zabezpieczyć nam przyszłość. Między innymi dlatego, że wiedział... iż moja matka... nie jest w stanie się o nas troszczyć. – Mówił coraz bardziej mętnie, w końcu zamilkł.

– Wiem – szepnęłam. I to był błąd. Henry przestał mnie głaskać i zmarszczył brwi.

– Co wiesz?

– Że twoja mama ma problemy – powiedziałam.

– To mało powiedziane. – Cofnął się o krok. – Czytałaś o tym u Secrecy?

– Nie, tak mi się obilo o uszy, wyobraź sobie. Poza tym Grayson mi trochę... – O nie! Podkablowałam go. – Dał do zrozumienia

– zakończyłam nieporadnie.

– Ach, dał ci do zrozumienia? – Henry założył ręce na piersi i oparł

się plecami o nagrobek niejakiego Alfonsa G. Oppenheimera.

– Chciał tylko pomóc. Wzbudzić we mnie empatię – rzuciłam pośpiesznie.

– I co? Wzbudził? Współczujesz mi teraz? – Pod drwiną w jego głosie kryło się coś więcej, czego nie potrafiłam nazwać. Uraza? Złość?

– Owszem, współczuję – przyznałam, choć przeczuwałam, że akurat tego nie chciał usłyszeć.

Miałam rację. Wydał z siebie krótki, pozbawiony radości śmiech i przeskoczył przez grób Alfonsa G. Oppenheimera, by usiąść na szerokim marmurze następnego grobu.

– W takim razie powinienem być wdzięczny Graysonowi. Współczucie to wspaniała podstawa związku.

Wahałam się przez chwilę, ale w końcu podążyłam za nim. Mogiły omijałam szerokim łukiem, choć nie było to konieczne. Ostatecznie to był sen i nie miało najmniejszego znaczenia, co stanie się z bratkami na grobie Alfonsa

G. Oppenheimera.

Henry nie podniósł wzroku, kiedy do niego dołączyłam. OK, był zły, że mu współczułam. A przy tym chyba na całym świecie nie było nikogo, kto w tej sytuacji odczuwałby coś innego. Jak mógł mieć do mnie o to pretensje?

– Jeszcze nigdy nie zwierzyłeś mi się z czegoś tak osobistego – powiedziałam powoli. – Zdajesz sobie z tego sprawę? To pierwszy raz.

Żadnej odpowiedzi. OK, czyli jednak nie chciał mojego współczucia. Mogłam pójść na ustępstwo. Zmieniłam ton.

– Naprawdę nie chciałabym być niewdzięczna, jednak powinieneś chyba wyjaśnić mi nieco dokładniej, jaki jest związek między twoją historią a kobietą w basenie z hydromasażem.

Henry wykrzywił usta w sarkastycznym uśmiechu.

– Taaa. Mówiłem, że nie zrozumiesz. – Znowu skrzyżował ręce na piersi. Zrobiłam to samo.

– Dumam i dumam, ale jakoś nie chce mnie oświecić, dlaczego twoje sprawy rodzinne zmuszają cię do... flirtowania z gołą kobietą. Oczywiście zastanawiam się, co jeszcze byś zrobił, gdybym nie

chlupnęła do wody między was.

Jego oczy zwęziły się odrobinę.

– Wszystko, co konieczne – powiedział cicho, ale stanowczo.

– Przykro mi, jeśli cię to rani. Ja doskonale odróżniam sen od jawy. Ty najwyraźniej nie.

Wpatrywałam się w niego ze zdumieniem.

– Słucham? Henry, serio, co byś zrobił, gdybym to ja kręciła we śnie z innym?

Wzruszył ramionami. Jeszcze przed chwilą na jego twarzy odbijały się wszystkie możliwe emocje, teraz zrobiła się nieprzenikniona. Jakby nałożył maskę.

– Po pierwsze, nie wiedziałbym o tym, ponieważ nie śledzę cię jak jakiś zazdrosny smok, po drugie, nie widzę nic złego w tym, że ludzie mają przed sobą kilka tajemnic. Inaczej jest... nudno.

Przygryzłam wargę.

– Rozumiem. – Rozumiałam przede wszystkim to, że robił to z premedytacją. Nie pojmowałam tylko dlaczego. Jeszcze chwilę temu czułam, że bardzo zależy mu na pojednaniu. Teraz odnosiłam wrażenie, że za wszelką cenę chce mnie urazić. Zupełnie jak nie on. Coś tu się kompletnie nie zgadzało. – W takim razie mamy inne wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać związek – powiedziałam cicho.

Skinął głową.

– Obawiam się, że tak. – Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy sobie w oczy. Wreszcie rzekł: – Naprawdę bardzo cię lubię, Liv, ale w moim życiu są pewne sprawy, które po prostu nie powinny cię obchodzić.

– Na przykład spotkanie z B w basenie?

– Na przykład.

Ogarnął mnie całkowity spokój. Współczucie, obawa, złość – nie czułam już żadnej z tych emocji. Zupełnie jakby ktoś zdmuchnął we mnie wszystkie świece.

– Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy. – Niewiele brakowało, a zacytowałabym Mr Wu: „Jeśli nie ma zgody co do spraw zasadniczych, nie ma sensu snuć wspólnych planów”. Tym razem jego mądrość pasowała jak ulał. Mimo to nie powiedziałam jej na głos.

– Więc to koniec? – zapytał Henry.

Pokiwałam głową.

– Tak, to koniec. Jeśli to tego chcesz.

Jego twarz wciąż pozostawała nieruchoma. Patrzył na mnie, jak się odwracam i szukam drzwi na korytarz. Były nieopodal, zaraz obok kwitnącej ozdobnej wiśni. To miło z jego strony, że wybrał takie wiosenne otoczenie, by ze mną zerwać. A właściwie doprowadzić do tego, bym to ja z nim zerwała. Brakowało tylko odpowiedniego muzycznego akompaniamentu. Zmierzając do drzwi, prawie spodziewałam się, że w połowie drogi ugną się podę mną kolana i padnę na ziemię, wstrząsana spazmem, ale nic takiego się nie wydarzyło. Moje łyzy wyschły. W środku miałam wielką czarną pustkę.

Na progu nie mogłam oprzeć się pokusie, by nie odwrócić się jeszcze raz. Henry nie ruszył się z miejsca. Siedział na marmurowym nagrobku, tak nieruchomy, jakby sam był z kamienia.



Mia przewidziała to w swoim śnie: nikt, nawet ona, nie zorientowałby się, gdyby ktoś mnie podmienił i umieścił na moim miejscu klona. A jednak to ona była jedyną osobą, która od czasu do czasu patrzyła na mnie badawczo, jakby podejrzewała, że coś jest ze mną nie tak. Na szczęście na razie nie próbowała dusić mnie poduszką.

To był dziwny tydzień. Dziwny przede wszystkim dlatego, że przeżyłam go bez większego wysiłku. I nikt nie zauważył, że to nie była prawdziwa Liv, tylko upiorny klon, który co rano normalnie wstawał, wypijał sok grejpfrutowy, jechał autobusem do Frognał, jadł obiad z Persefoną, a po południu odrabiał lekcje. Prawdziwa Liv zabarykadowała się w mrocznej dziurze wraz ze swoim złamanym sercem, gdzie mogła umierać z żalu, rozmyślać o Henrym i utraconej miłości i wypłakiwać duszę z ciała.

Klon Liv dobrze mi służył, napisał nawet pracę z francuskiego na cztery plus. Zaletą klona było to, że niemal nic nie czuł. Na przykład w ogóle nie przejmował się miażdżącymi spojrzeniami Florence. A kiedy zadzwoniła Bochra i klon przypadkiem odebrał telefon, na co Bochra po prostu odłożyła słuchawkę, klon uśmiechnął się tylko i zbył to

wzruszeniem ramion. Opierał się nawet świdrującemu spojrzeniu detektyw Mii.

Każdego dnia czekałam, aż Secrecy obwieści na blogu, że przestaliśmy być z Henrym parą, ale to nie następowało. Czy to dlatego, że uczniowie ostatniej klasy (może i Secrecy?) pisali w tym tygodniu szereg ważnych zaliczeń i nie spędzali przerw obiadowych w kafeterii, gdzie być może rzuciłoby im się w oczy, że Henry i ja nie jesteśmy już razem? Czy wynikało to z tego, że mój klon nie uznał za konieczne podzielić się tą nowiną z kimkolwiek, i dlatego nikt nie mógł wypaplać jej Secrecy? Nikt o to nie pytał, nawet Grayson, który wiedział przecież, że się pokłóciliśmy. Ale ponieważ nie płakałam już i nie snułam się jako plamisty zombie (za to odpowiedzialna była prawdziwa Liv w swojej ciemnej norze), przyjął zapewne, że wszystko znów jest w porządku. A to oznaczało, że Henry również nikomu nie powiedział.

Widzieliśmy się z Henrym tylko raz, w połowie tygodnia, przy szafkach. Akurat w tym momencie, gdy przede mną wyrósł, klon Liv zawiódł i pałeczkę przejęła prawdziwa Liv. Poza ochryplym „Hej” nie zdołałam wydobyć z siebie ani słowa więcej, bo wszystko, co z powodzeniem wypierałam przez kilka dni, na widok Henry’ego powróciło. Poczucie przemożnego smutku po prostu odjęło mi mowę.

Henry jakoś nie miał podobnych problemów. Prawdopodobnie dlatego, że nie byłam dla niego pierwszą eks. Nawet się do mnie uśmiechnął.

– Wyglądasz na wyspaną – powiedział. – Do twarzy ci z tym.

Dzięki, chciałam wymamrotać, ale nawet tego nie mogłam z siebie wydusić. W ogóle czułam się tak, jakbym miała już nigdy więcej się nie odezwać. Klon Liv próbował z całych sił odepchnąć prawdziwą Liv, żeby nie dopuścić do tego, bym wybuchła płaczem. A Henry cały czas wesoło trajkotał, wyjmując rzeczy z szafki.

– Mam klasówkę z biologii, trzymaj kciuki – powiedział i puścił do mnie oko, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi.

I wtedy – wreszcie – po solidnym kuksańcu w bok, prawdziwa Liv schowała się w dziurze i klon Liv zwyciężył.

– Jasne, powodzenia – odparłam w samą porę, zanim Henry zdążył

zniknąć za rogiem.

Jak wspomniałam, to był dziwny tydzień. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę w stanie zasnąć, okazało się jednak, że sypiałam tak mocno, jakbym była pogrążona w śpiączce. Co wieczór czekałam, aż będę mogła wcześniej udać się do łóżka, uważając, by nikomu to nie podpadło. Chciałam tylko spać. Od swoich drzwi we śnie konsekwentnie trzymałam się z daleka. Niech sobie senator Mort ćwiczy z kimś innym – nie ze mną.

Dręczyły mnie tylko lekkie wyrzuty sumienia z powodu Anabel. Jasne, była wariatką, która próbowała mnie zamordować, ale przecież nie zasłużyła na to, by jej psychiatra izolował ją i faszrował Bóg wie jakimi środkami odurzającymi. Dlatego w minioną niedzielę wyszukałam w książce telefonicznej numer telefonu jej ojca i podając się za jej przyjaciółkę Florence Spencer, zadzwoniłam, by dowiedzieć się o jej stan. Pan Scott oznajmił, że tego dnia jestem już trzecią osobą, która dzwoni w tej sprawie, bo dopytywali się o nią również przyjaciele Anabel, Henry i Arthur, on zaś właśnie jest w drodze do kliniki, by naocznie przekonać się, jak się czuje córka, a mnie ulżyło.

Jeśli chodzi o Mię, to tak jak ja przesyiała każdą noc, a ja powoli zaczynałam się zastanawiać, czy za jej lunatykowanie rzeczywiście był odpowiedzialny ktoś trzeci, czy może jednak miało ono jakąś przyczynę naturalną. Jeżeli nie, to ten ktoś najwyraźniej zrezygnował z wdzierania się do snów mojej siostry.

Mia profilaktycznie zainstalowała w swoim pokoju skomplikowany system zabezpieczeń: sprytną konstrukcję złożoną z kabli, sznurków, pokrywek od garnków i szwajcarskiego krowiego dzwonka, która niechybnie wywołałaby przeraźliwy alarm, gdyby Mia opuściła łóżko, nie pozbywając się uprzednio sznurka wokół kostki. I właśnie o tę płataninę prawie się potknęłam, kiedy w sobotę wieczorem weszłam do pokoju siostry. W środku nastawiona krytycznie Lottie obracała się przed lustrem.

Dochodziła szósta, w domu panowało ożywienie, ponieważ Ernest tego dnia zamierzał świętować w restauracji swoje pięćdziesiąte trzecie urodziny, w gronie najbliższych, jak powiedział (nie mógł przecież wiedzieć, że do grona wkradł się klon). Co miłe, grono obejmowało

również Lottie, lecz niestety także Bochrę i Emily. I naturalnie Charlesa, co wprawiło Lottie w wielkie podniecenie. Żeby tylko nie zapomniała wytłumaczyć jej, że od niedawna miała przyjaciela imieniem Jonathan, na wypadek gdyby Charles chciał ją o to zagadnąć.

– Nie, to też się nie nadaje! – Lottie z wrogością wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. – Wyglądam jak ciotka Friederike w fartuchu. Jak ćwok ze wsi.

Wymieniłyśmy z Mią spojrzenia.

– To jedenasta sukienka, którą przymierza – wyszeptła. I wtedy znów się pojawił: ów świdrujący wzrok detektywa. – Wszystko w porządku?

Mia nie po raz pierwszy zadawała mi to pytanie. Ścisłej rzecz biorąc, robiła to po raz dwudziesty szósty (policzyłam). I kiedy tak świdrowała mnie wzrokiem przez okulary, marszcząc nos, prawdziwa Liv była o krok od tego, by wychynąć na powierzchnię. Nie mogłam do tego dopuścić, to było zbyt niebezpieczne.

– Oczywiście – odparł niedbale klon Liv. – Dzięki, że pytasz. – Zwróciłam się do Lottie. – Wyglądasz świetnie!

– Nie wyglądam – jęknęła.

– Ja bym włożyła tę zieloną, najładniej ci w niej – powiedziała Mia.

– Ale tę już zna ... eee... Tę miałam na sobie wiele razy. – Lottie westchnęła głęboko.

– Chyba jednak nie powinien myśleć, że wystroiłaś się ekstra z jego powodu, prawda? – odparła Mia.

– Zgadza się. – Lottie zdjęła fartuch ciotki Friederike. Wzięła zieloną sukienkę leżącą na łóżku Mii obok sterty innych ciuchów i włożyła ją. Pomogłam jej zasunąć suwak i popatrzyłam na nią z podziwem.

– Perfekcyjnie! – orzekła Mia. – Tylko jeszcze musisz coś zrobić z włosami, żeby wyglądało tak, jakbyś nic z nimi nie robiła.

O ile na to nie było już za późno: Lottie zastosowała wałki do włosów, które na jej naturalne loki działały mniej więcej tak, jak gaszenie wodą płonącego oleju.

– Może zwilżę je trochę wodą – rzuciła Lottie i popędziła do

łazienki.

– No. Albo całkiem zmocz – mruknęłam, zachodząc w głowę, jak i kiedy poruszyć temat Jonathana.

Mia odsunęła drzemiącą Buttercup na bok i uwalila się na swoim wielgachnym worku do siedzenia.

– Wszystko z tobą w porządku, Liv? Jesteś jakaś dziwna.

– Jeśli zapytasz o to jeszcze raz, poproszę Lottie, żeby zrobiła ci jedną z tych jej obciachowych fryzur á la wiejska dziewczucha. Najlepiej ten kosz z owocami, co ostatnio.

W takiej sytuacji Mia zwykle pokazałaby mi język, ale nie dziś. Czy mi się wydawało, czy właśnie zezowała na jedną z poduszek?

Na wszelki wypadek ulotniłam się z jej pokoju.

Zaproszenie Ernesta wszystkich nas zaskoczyło. A właściwie dzisiejsza okazja. Mama także nie wiedziała, że miał dziś urodziny. Nie do wiary. Nawet jeśli poznali się dopiero w lutym zeszłego roku, to przecież można byłoby przyjąć, że sprawdziła przynajmniej podstawowe dane, zanim zdecydowała się z nim zamieszkać, a do takich należała data urodzenia.

By uczcić okazję, upiekliśmy tort z ułożoną z mandarynek pięćdziesiątką trójką, Florence zaś zrobiła wyjątek od zasady nieprzebywania w jednym pomieszczeniu ze złymi morderczyniami drzew. Ernest wzruszył się do łez, że córka naprawdę gotowa była zjeść śniadanie z nami i tortem przy jednym stole.

Niestety, przed wyruszeniem do restauracji nie zdążyłam już poinformować Lottie o Jonathanie. Lokal znajdował się tylko kilka ulic dalej, ale Ernest zawiózł Lottie, mamę i Florence samochodem, bo ich buty nie nadawały się do chodzenia. Mia i ja poszłyśmy pieszo, a Grayson zamierzał przyjść do restauracji prosto z meczu koszykówki. Na miejscu mieliśmy spotkać się z Charlesem, Emily i Bochrą. Po paru dniach deszczu znowu zrobiło się przeraźliwie zimno, a na kałużach utworzył się lód, który Mia z zachwytem rozbijała na kawałki, wskakując w każdą obiema nogami.

– Kto by pomyślał, że w marcu skończysz czternaście lat
– powiedziałam.

– No weź, przecież to fajne! – zawołała, podskakując, Mia.

– I zmniejsza agresję.

Popatrzyła na mnie natarczywie. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że to mógł być test. Na próbę zgmiotłam podeszwą lodową taflę i musiałam przyznać, że siostra miała rację. To była tak samo satysfakcjonująca czynność jak zgniatanie pęcherzyków folii bąbelkowej. A w ogóle kto powiedział, na co się było zbyt starym, a na co nie? Przez chwilę jak oszalałe skakałyśmy od kałuży do kałuży i po raz pierwszy w tym tygodniu potrafiłam naprawdę się śmiać. Nie tym sztucznym śmiechem, którym śmiał się klon Liv, tylko prawdziwym.

Przestałyśmy dopiero, kiedy odkryłyśmy, że jesteśmy obserwowane. Był to Grayson na rowerze. Wpatrywał się w nas dziwnym wzrokiem i wyglądał, jakby sam pilnie potrzebował terapii likwidującej agresję.

– Przegraliście? – zapytała współczująco Mia.

– Lepiej nie pytaj – warknął, zeskoczywszy z roweru.

Restauracja znajdowała się po drugiej stronie ulicy, była bardzo elegancka, z czerwono-złotą markizą i odźwiernym, i chociaż między chodnikiem a jezdnią rozpościerała się najwspanialsza ze wszystkich lodowa kałuża, jakoś udało nam się z Mią dotrzeć do wejścia całkowicie po dorosłemu.

Przyszłyśmy ostatnie. Głupio wyszło, bo wszyscy siedzieli już przy stole. Mama pomachała do nas. Obok niej siedziała Bochra, zdradzająca oznaki zdenerwowania.

– Widzę trzy wolne krzesła na końcu stołu – dokonała błyskotliwej analizy Mia, zdejmując jednocześnie płaszcz i podając go kelnerowi. – Jedno obok Emily, jedno naprzeciwko Emily i jedno obok pustego miejsca obok Emily. Biorę to ostatnie. – I zostawiła nas, chichocząc złośliwie.

Grayson pomógł mi zdjąć płaszcz.

– Możemy się kłócić o pozostałe dwa miejsca – powiedział.

– Hm, co lepsze: dzuma czy cholera? – Klon Liv nie ukrywał, że nie cierpi Emily. Prawdziwa Liv nie byłaby tak bezpośrednia. Grayson tylko uśmiechnął się ponuro. – No wiesz, ponieważ ja nie podarowałam Emily symbolu nieskończoności z prawdziwego srebra, wolałabym siedzieć raczej obok niej niż naprzeciwko – stwierdziłam. – Wówczas

nie musiałabym na nią patrzeć.

Poza tym mogłabym wówczas siedzieć obok Lottie, z którą przecież musiałam pilnie porozmawiać. O ile nie było już za późno na wyjaśnienia. Była pochłonięta rozmową z Charlesem. Miałam nadzieję, że nie padło jeszcze imię Jonathana.

Grayson przekazał mój płaszcz czekającemu kelnerowi. Następnie zmierzył mnie wzrokiem, od włosów po kozaki.

– Wow! Wyglądasz super.

– Wiem – przyznałam. Wyjątkowo byliśmy tego samego zdania.

Wreszcie udało mi się znaleźć jakąś górę pasującą do krótkiej, kremowej spódnicy z kilku warstw tiulu – prezentu od mamy pod choinkę – w której nie wyglądałabym jak zabłąkana balerina albo fałszywa panna młoda: w zestawieniu z czarnymi sznurowanymi kozakami, eleganckimi szarymi rajstopami i maminy kaszmirowym swetrem spódnica wyglądała naprawdę odłotowo.

– Im późniejsza pora, tym piękniejsi goście – stwierdził Charles, kiedy podeszliśmy do stołu. Uśmiechnęłam się uśmiechem klona, obejmującym nawet Bochrę. Nie szkodzi, że go nie odwzajemniła, najważniejsze, że siedziała przy odległym końcu stołu. Trochę mi było tylko szkoda mamy. Grayson zajął krzesło naprzeciwko Emily. Na powitanie dał całuska Bochrze, a Emily musiała obejść się smakiem i z tego powodu jej kwaśna mina osiągnęła maksimum w dziesięciostopniowej skali.

– Mleczne proszę w sosie śliwkowo-piwnym. – Mia zagłębiła się w menu. – Do tego czarna kapusta i orchidee? Oni tak serio?

– Ta restauracja ma dwie gwiazdki w przewodniku Michelina – powiedziała zgryźliwie Emily. – Więc raczej nie znajdziesz w karcie hamburgera.

Bochra uśmiechnęła się z uznaniem z drugiego końca stołu.

– Możecie trochę ciszej? – wtrącił poirytowany Grayson.

Jedno miejsce dalej Charles popatrzył natarczywie na Lottie i zapytał:

– Jak tam, było się ostatnio w kinie? Warto coś obejrzeć?

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie w pełni, jakim męstwem wykazał się Ernest, gromadząc przy jednym stole wszystkich tych ludzi,

których nazywał rodziną. Można to było przyrównać do spotkania beczek z prochem i palącym się lontem. Bochra gardziła mamą, Mią, Lottie i mną. Mia i ja nie cierpiałymy Bochrę ani Emily, która jednak nie znosiła nas o wiele bardziej niż my jej. Najwyraźniej miała też jakieś niesnaski z Graysonem. Który z kolei pokłócił się z Florence. Florence najchętniej kazałaby publicznie wychłostać mnie i Mię. Mama bała się Bochrę bardziej niż trzęsienia ziemi i deklaracji podatkowych. Charles nienawidził matki za to, że narzucała mu swoją wolę. I tak dalej. A pośrodku nich siedział Ernest i lubił nas wszystkich. Kiedy uniósł swój kieliszek, tocząc wokół promiennym wzrokiem i dziękując nam za przybycie, po raz pierwszy wezbrał we mnie głęboki podziw dla niego i zrozumiałam, dlaczego mama, pomimo jego odstających uszu i łysiny, zakochała się w nim bez pamięci. To znaczy, prawdziwa Liv zrozumiała, a klon Liv z tego przejęcia usunął się do świata równoległego, z którego przybył.

Owładnęło mną niemal uroczyste uczucie, a jednocześnie zrobiło mi się niedobrze. Przez cały tydzień funkcjonowałam jak automat, byle przetrwać, nic nie czuć, nie myśleć, niczego nie pamiętać. Ale teraz, nagle, w obliczu wspaniałomyślności Ernesta i jego optymizmu, nie mogłam powstrzymać uczuć, które zalały mnie jak fala powodziowa. A wraz z nimi wspomnienia. Wszystko powróciło. I sprawiało niewypowiedziany ból. Oczyma wyobraźni zobaczyłam Henry'ego, który blady i spokojny siedział na marmurowej płycie i na mnie patrzył.

„Więc to koniec?” – usłyszałam jego głos.

Czy to był koniec? W każdym razie koniec mojej samokontroli. Rozpaczliwie próbowałam spokojnie oddychać, ale osiągnęłam coś wręcz przeciwnego. Badawcze spojrzenie Mii powędrowało w moją stronę. Tym razem nie wykręcę się od odpowiedzi na jej pytania, a wszyscy przy stole będą świadkami mojego załamania...

Ratunkiem dla mnie okazała się Emily.

– Ohyda, Liv! – Powachlowała się dłonią przed twarzą. – Co to za obrzydliwe babcine perfumy, którymi się spryskałaś? Aż się jeść odechciewa.

Mój oddech stał się miarowy. Nie, nie będzie załamania. Przetrzymam to, dla Ernesta.

– To wielka szkoda, bo przecież zaproszono cię na kolację – powiedziałam. – A jak ci poszły zaliczenia?

Mia się odprężyła.

– Całkiem dobrze. – Emily specjalnie mówiła przez nos.

– Wszystko to kwestia organizacji i dyscypliny. Niestety, niektórym ludziom z naszego rocznika wydaje się, że poradzą sobie bez dodatkowego wysiłku. Między imprezą a koszykówką...

– Może zamienimy się miejscami? – zaproponował Grayson i zmierzył ją zadziornym spojrzeniem. – Lubię perfumy Liv.

Już chciałam wyjaśnić, że w ogóle nie użyłam perfum, ale dwa miejsca dalej rozmowa toczyła się dalej.

– Mogę szczerze polecić film *Czas na miłość* – powiedziała Lottie do Charlesa.

– A Jonathanowi też się podobał? – zapytał Charles.

Pośpiesznie włączyłam się do rozmowy.

– Wiecie już, co zamawiacie? Bo ja miałabym ochotę na... eee...

– Otworzyłam kartę dań. Marynowaną surową kaczą wątróbkę w gorzkiej czekoladzie i piance z buraka za pięćdziesiąt funtów? Głowę cielęcą w winegrecie z mięty i rzodkwi, z aioli z kaparów za siedemdziesiąt pięć? Jezu, to nie była karta dań, tylko księga grozy. Przynajmniej udało mi się na razie zapobiec eskalacji, bo wszyscy zaczęli gorliwie studiować menu. Miało jedną pozytywną stronę: było dość przejrzyste.

Nadszedł kelner. Z dziką determinacją, by nie psuć Ernestowi wieczoru, zamówiłam tortelloni nadziewane mascarpone z truflami perygordzkimi. Był to, miałam nadzieję, w miarę bezpieczny wybór.

Mia poprosiła o spaghetti z rosółu cielęcego à la carbonara z kawiozem d'Aquitaine, ale bez kawioru.

Kelner nawet nie mrugnął, ale Emily nie mogła darować sobie komentarza.

– Kawior jest w tym przypadku głównym składnikiem potrawy, Mio.

– Daj jej spokój – rzucił Grayson.

– To będzie kosztowało twojego ojca siedemdziesiąt pięć funtów, a ona tylko rozgrzebie danie, rozpaczliwie szukając w nim klusek

– oznajmiła Emily i zwróciła się do kelnera. – Może mógłby pan po prostu przynieść jej danie dziecięce, pastę z jakimś neutralnym sosem. A dla mnie velouté z homara z karczochami i kolendrą.

– Jesteś... – zaczął Grayson.

– Brzmi niezmiernie apetycznie, Emily – weszłam mu w słowo.

– Też się nad tym zastanawiałam. – No dobra, zastanawiałam się, co to może być velouté.

Grayson posłał mi skonsternowane spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Lottie i Charles zamówili diabła morskiego à l'Armoricaine. To znaczy Lottie zamówiła, a Charles rzucił tylko „Dla mnie proszę to samo” i nachylił się ku niej.

– Ten Jonathan... – zaczął.

– Tak, diabeł morski brzmi bardzo smakowicie – zawołałam.

Wspaniale, jeśli pominąć ostrygi i sałatkę curry z jabłek i ogórków. Powoli zaczynałam oblewać się potem. To przypominało Wimbledon. Nie mogłam przecież mieć na oku wszystkich graczy w debla.

– Jasne, oczywiście, bardzo smakowicie – mruknęła Mia i pokazała na sąsiedni stolik, gdzie akurat podano rybę. W całości, łącznie z wyłupiastym okiem.

Przyszła kolej na Graysona.

– Dla mnie turbota, poproszę. Ale bez kompotu z małży wenus – zwrócił się do kelnera.

– Ale to przecież najlepsze w tym daniu – zauważyła Emily po odejściu kelnera. Grayson zdawał się tylko na to czekać.

– I z pewnością zaraz mi wytłumaczysz, dlaczego tak jest, pani superbelferko.

O Boże, już nie mogłam. Przecież nie dotrwaliśmy jeszcze nawet do przystawek. Bezradnie wodziłam wzrokiem od jednej beczki prochu do następnej. A to były tylko te, które mogłam słyszeć. Kto wie, co się działo nieco dalej przy stole.

– Małże wenus to jedyne tego typu, które można spożywać również na surowo, i są...

– Co to za Jonathan, o którym mówisz cały czas?

– Dlaczego właściwie sądzisz, że to kogokolwiek interesuje?

– Mnie powiedziałaś, że nie lubisz filmów akcji!

Może powinnam jednak rozważyć załamanie nerwowe – to przynajmniej odwróciłoby uwagę wszystkich od ich problemów, a potem mogliby powiedzieć, że to ja zepsułam im wieczór.

„Więc to koniec?” – usłyszałam gdzieś w tyle głowy głos Henry’ego.

W tym momencie Ernest postukał widelcem w swój kieliszek do wina i wszyscy zamilkli.

– Czekaając na jedzenie, chciałbym powiedzieć kilka słów, jeśli pozwolicie. Nie będę się rozwodził. – Uśmiechnął się do wszystkich. – Kiedy rok temu o tej porze świętowałem swoje urodziny, nawet nie marzyłem o tym, że za rok stanę tutaj – nieco niezdarnie odsunął krzesło i wstał – jako najszczęśliwszy człowiek na Ziemi. Bo poznałem ciebie, Ann.

Mama się zaczerwieniła.

– Pogodziłem się ze swoim życiem i nie sądziłem, że raz jeszcze zaznam wielkiej miłości. – Jego głos przybrał tak uroczysty ton, że aż dostałam gęsiej skórki. Nie tylko my, wszyscy w restauracji zdawali się przysłuchiwać, bo chociaż Ernest mówił dość cicho, to bez trudu można było go zrozumieć.

Bohra udała atak kaszlu.

Ernest jednak niewzruszenie ciągnął dalej.

– Nie zdawałem sobie sprawy, czego mi brakowało, ale teraz wiem, że nigdy więcej nie pozwolę, żebyś odeszła. Ann? – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej pudełeczko. Kiedy je otworzył i ukazał się pierścionek z błyszczącym kamieniem, mama wydała z siebie zduszony okrzyk. Bohra również.

Łzy napłynęły mi do oczu. Nie potrafiłam ich po-wstrzymać. Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi. Nie byłam zresztą jedyną osobą z powilgotniałymi oczami. Lottie wyrwało się nawet z piersi ciche westchnienie.

– Ann Mathews, czy chcesz zostać moją żoną? – zapytał Ernest.

Mama także walczyła ze łzami.

– Tak – wyszeptała. – Tak, chcę.



Instalacji antylunatycznej Mii jedno trzeba zapisać na plus: zdecydowanie spełniała swoją funkcję. Kiedy rozległ się łomot pokrywek, obudziłam się natychmiast. Chwilę potem zabrzączał krowi dzwonek, a ja wyprostowana jak struna usiadłam na łóżku. A kiedy wybrzmiało ostatnie brzdęknięcie, dawno już byłam na nogach.

Nie tylko ja zostałam wyrwana ze snu, obudzili się wszyscy mieszkańcy domu, nawet śpiąca na poddaszu Lottie. Jeden po drugim docieraliśmy do pokoju Mii. Mama i ja zjawiłyśmy się pierwsze. Weszłyśmy do środka i w okamgnieniu pojęłyśmy, że Mia była jedyną osobą w całym domu, która jeszcze spała. W pokoju panował przenikliwy chłód, okno było otwarte na oścież, a Mia siedziała plecami do nas na parapecie. Dokładniej mówiąc, na jego brzeżku, podczas gdy jej nogi dyndały na zewnątrz.

Mama wydała z siebie zduszony okrzyk i przyłożyła rękę do ust, a ja z trudem zdołałam stłumić jęk. Jeden fałszywy ruch i Mia wypadnie z okna. Wprawdzie to tylko pierwsze piętro, ale upadek z czterech metrów na wybrukowaną ścieżkę był wystarczająco groźny. Pytanie, co robić. Jeśli ją zagadniemy albo, nie daj Boże, dotkniemy, może obudzić

się i runąć w dół.

Przez głowę w ułamku sekundy przemknęły mi rozmaite upiorne scenariusze i wszystkie bez wyjątku pokazywały nieżywą Mię w kałuży krwi pośród ściętych mrozem rabatek. Tymczasem Ernest rzucił się naprzód, chwycił ją w pól i wciągnął z powrotem do pokoju, z prędkością i energią, o jakie nigdy bym go nie posądzała.

Odetchnęłam. I jeszcze raz, i znowu. Nagle cały pokój wydał mi się jaśniejszy i cieplejszy, choć naturalnie nic się w nim nie zmieniło. Jedynym źródłem światła była uliczna latarnia przed domem.

Ernest, który w poprzednim życiu musiał być strażakiem, zaniósł Mię do łóżka i ułożył ją ostrożnie. Mama już była przy niej i obejmowała ją jak zapaśnik sumo. Mia nieporuszenie i z pustym spojrzeniem wpatrywała się w sufit.

– Co się tutaj dzieje? – Florence przyszła ostatnia. Stała w drzwiach za Lottie, Buttercup i Graysonem i zaspana przecierała oczy. – Dochodzą stąd odgłosy, jakby dom się walił. – Z irytacją popatrzyła na ogromną kolekcję rozrzuconych po pokoju pokrywek i zatrzymała wzrok na sznurku nadal przywiązany do kostki Mii. Buttercup zaszczekała z ożywieniem – na szczęście dopiero teraz – Lottie zaś zapytała, czy przynieść termometr.

Grayson posłał mi długie i bardzo wymowne spojrzenie, które mogłam skwitować jedynie wzruszeniem ramion. Podszedł do okna i dokładnie je zamknął.

W ciasnych objęciach mamy Mia chwytała ustami powietrze. Jej powieki opadły wreszcie, a następnie się uniosły. I w końcu potrząsnęła głową, zdezorientowana.

– Mamo?

– Wszystko w porządku, skarbie, jesteśmy przy tobie – zapewniła ją mama i poluźniła nieco uścisk.

– Znowu... znowu lunatykowałam? – Mia usiadła na łóżku.

– Nawet nie pamiętam, co mi się śniło.

– Tak, za to twój alarm zadziałał bez zarzutu – oznajmiłam i zapaliłam lampkę nocną.

– Spróbuj przypomnieć sobie swój sen – powiedział bez ogródek

i ceregieli Grayson.

Mia wyglądała, jakby wciąż jeszcze była pogrążona w półśnie.

– Śniło mi się morze... – mruknęła. – I pomost. Siedziałam na nim i majtałam nogami w wodzie... – Przyjrzała się pokrywkom.

– I naprawdę było głośno?

– O tak. – Lottie roztarła ramiona. – Myślałam, że w dom uderzyła śmieciarka.

– Ale mnie to nie obudziło. Coś jest ze mną nie tak. – Mia opadła z powrotem na poduszki.

– Wczoraj był emocjonujący dzień. – Mama pogłaskała Mię po czole, patrząc przy tym na Ernesta. – Kiedy matka zamierza powtórnie wyjść za mąż, dla dziecka może to oznaczać szok, dramatyczne przeżycie... – szepnęła zwrócona do Ernesta, a jej słowa było wyraźnie słychać w całym pokoju. Potem zwróciła się do Mii. – Będę dziś spała u ciebie, dobrze, myszko?

Mia poszukała mnie wzrokiem. Wiedziałam, co myśli. Akurat, szok – już dawno go przezwyciężyłyśmy, kiedy mama i Ernest obwieścili, że chcą zamieszkać razem. Wtedy rzeczywiście byliśmy szczerze zaszokowane – natomiast oświadczyzny może były niespodzianką, ale miłą.

Mimo to nie miałam nic przeciwko temu, żeby mama spała tej nocy z Mią. Już przytuliła się do niej, przykryła kołdrą i przełożyła rękę przez jej biodro.

– Mamo, wszystko w porządku – powiedziała Mia. – Cieszę się, że pobieracie się z Ernestem. Ślub będzie odlotowy. Już sama perspektywa spotkania ciotki Gertrudy z Bochrą...

– ...nie mówiąc o ciotce Virginii – dodała Lottie.

– Mam złe przecucia – mruknęła Florence, a mama i Mia zachichotały zgodnie.

– No, to śpijcie dobrze. – Po Ernestie wyraźnie było widać, że mu ulżyło, kiedy razem z nami opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. – Wszystko w porządku – powtórzył słowa Mii.

Oczywiście nic nie było w porządku. Gdyby nie system alarmowy, moja siostra być może wyskoczyłaby tej nocy z okna.

Czułam na sobie spojrzenie Graysona. Nie odwzajemniłam go,

tylko wymamrotałam pośpiesznie „dobranoc” i zniknęłam w swoim pokoju.

O dziwo, zasnęłam bez problemów, a kiedy przeszłam przez drzwi na korytarz, poczułam się, jakbym nigdy go nie opuszczała. Zdumiało mnie, że drzwi Henry’ego wciąż są naprzeciw moich i w ogóle się nie zmieniły. Eleganckie, czarne, odpychające, z kołatką w kształcie głowy lwa o ponurym spojrzeniu.

Szybko odwróciłam wzrok i przyjrzałam się swoim własnym drzwiom. Właściwie spodziewałam się, że – tak jak ja – będą nieco sponiewierane, może zacznie łuszczyć się z nich farba, może pojawi się parę szczerb, może zmienią kolor na bardziej korespondujący z moim nastrojem niż pogodny miętowy. Ale moje drzwi były w nienagannym stanie. Jaszczurka puściła do mnie oko, po czym zwinęła się w połyskującą gałkę.

Drzwi Mii znajdowały się dzisiaj na prawo od moich, a Mr Wu zniknął bez śladu. Za to kiedy chciałam sięgnąć do klamki, ze środka ktoś wyszedł.

– Mama?

Mama położyła palec na ustach.

– Ćśś! Mia potrzebuje spokoju – szepnęła.

Patrzyłam na nią z mieszanymi uczuciami. Jakie to słodkie ze strony Mii, że tyle ufności pokładała w mamie jako strażniczce jej snów – i jakie nieefektywne. Moje obawy potwierdziły się, gdy mama uchyliła drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Ty oczywiście możesz wejść, Liv. Położysz się przy nas cichutko, policzymy razem owieczki.

– Nie, nie, tak nie można. Skąd wiesz, czy jestem prawdziwą Liv?

Mama pokręciła głową wyrozumiale.

– Prawdziwą Liv? Co ty za bzdury wygadujesz, skarbie? Jakbym nie umiała rozpoznać własnych córek. O, jest i Grayson.

Odwróciłam się do tyłu. Rzeczywiście, Grayson stał za mną w korytarzu, a jego drzwi właśnie zamknęły się z lekkim kliknięciem.

– Grayson, skarbie – odezwała się mama z lekką przyganą w głosie. – Mamy styczeń. Przeziębisz się, jeśli będziesz chodził półnago.

Grayson przypatrywał jej się podejrzliwie.

– To drzwi Mii? – zapytał mnie.

Pokiwałam głową. Co on tu robił? Czy nie zażegnywał się, że nigdy więcej nie wyjdzie na korytarz?

– Grayson, czy ty to sobie...

– Wiem, co myślisz – wszedł mi w słowo. – I nadal uważam, że powinniśmy trzymać się od tego z daleka. Ale dziś niewiele brakowało, a twoja siostra wyskoczyłaby z okna, i chciałem... – Pokręcił głową i nagle na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

– Co chciałeś?

– Chyba chciałem popilnować jej drzwi. Jakoś tak.

Ogarnęła mnie fala ciepła. Wzruszona uśmiechnęłam się do niego.

– Przeciąg! – Mama cmoknęła niecierpliwie. – To jak, Liv?

Wchodzisz czy wychodzisz? To bardzo słodkie owieczki, rasy Herdwick.

– Może później – odparłam. – Możesz spokojnie zamknąć.

Mama posłuchała, ale przedtem jeszcze raz poradziła Graysonowi, żeby coś na siebie narzucił. Wskutek czego Grayson ubrany był teraz w kurtkę puchową.

– Nieźle – pochwaliłam go. – Zważywszy, że wyszedłeś z wprawy.

Grayson, kręcąc głową, spoglądał po sobie, z czego wywnioskowałam, że chyba chciał wyimaginować sobie coś innego.

– Nie wspominałaś przypadkiem, że zainstalowałaś system zabezpieczeń? – zapytał rozeźlony. – Jakoś nieszczególnie niezawodny.

O, owszem. Mr Wu był bardzo niezawodny. Ale najwyraźniej funkcjonował z pewnymi ograniczeniami.

– Przecież w ten sposób każdy bez trudu może wejść do snu Mii – ciągnął Grayson. Popatrzył w półmrok korytarza i widać było, że czuje się nieswojo.

Westchnęłam. Niestety, miał rację. Z drugiej strony: jego pomysł, żeby pilnować drzwi Mii, był może chwalebny, ale w praktyce niewykonalny. Pozostawało tylko jedno wyjście.

– Obawiam się, że nie pozostaje mi nic innego, jak wtajemniczyć Mię – powiedziałam.

– Nie, Liv! Nie możesz jej w to wciągać.

– Ona tkwi w tym po uszy już od dawna. I sama musi pilnować swoich drzwi. Tylko tak będzie mogła zapobiec temu, że ktoś wchodzi do jej snów i popycha ją do lunatykowania i robienia różnych niebezpiecznych rzeczy.

– Gdyby tylko wiadomo było... – Grayson nie dokończył. W tym momencie usłyszeliśmy czyjś męski głos.

– Zatrzymaj się natychmiast, ty gadzino, bo oberwiesz!

– zagrzmiało w sąsiednim korytarzu. – Stój! Natychmiast stój!

Głos nie był mi nieznany. Niestety.

Grayson wzdrygnął się, a ja dopiero teraz uświadomiłam sobie, co przegapił. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek mu wytłumaczyć, zza rogu wyłoniła się postać zmierzająca w naszą stronę z karkołomną prędkością. Postać szczupła i drobna, która pomimo wyraźnego pośpiechu poruszała się z niewysłowioną elegancją.

Była nią Anabel.

Nie miałam czasu na przyglądanie się czy opanowanie zdumienia, bo pędziła prosto na nas. Po piętach deptał jej senator Mort w powiewającej pelerynie i kapeluszu z obwisłym rondem, klnąc i złorzecząc jej bez chwili przerwy, przy czym „gadzina” i „mała zdzira” były jeszcze najłagodniejszymi epitetami.

Anabel dopadła nas, a ja zareagowałam instynktownie.

Przepuściłam ją, zagrodziłam drogę senatorowi i stanęłam murem przed dziewczyną.

Wyhamował, sapiąc ciężko.

– To znowu ty! – warknął. – Powoli zaczynam mieć was dosyć, smarkacze!

– I wzajemnie – zapewniłam go. Dopiero teraz spostrzegłam, że stałam z ręką uniesioną do góry jak policjant. Cholera wie czemu. Dyskretnie ją opuściłam, nie odrywając spojrzenia od senatora.

Anabel stała za moimi plecami, a kiedy nagle zaczęła się śmiać, uświadomiłam sobie, jak śmieszna była moja domniemana akcja ratunkowa. Anabel była ostatnią osobą, która potrzebowała we śnie wsparcia. Z drugiej strony czułam ulgę, że wróciła. Wizja dziewczyny, zdanej w szpitalu na senatora Morta i jego medykamenty, doskwierała

mi bardziej, niż chciałam przyznać.

– Śmieję się, śmieję... ty mały szatanie – powiedział senator Mort.
– Już ja się dowiem, które drzwi są twoje. A wtedy... – Popatrzył spod zmrużonych powiek na Graysona. – Kim jest ten nowy?

– Ach, niech pan da spokój, doktoru. – Anabel stanęła obok mnie. Jej głos brzmiał słodko i niewinnie jak dawniej, wywołując dreszcz na moich plecach. Naprawdę powinnam czuć ulgę, że wróciła? Anabel Scott była najbardziej szaloną i niebezpieczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam – jak mogłam o tym zapomnieć? Jej powierzchowność nie zmieniła się, Anabel nadal wyglądała jak reinkarnacja Wenus Botticellego, nawet w zwykłych dżinsach i T-shircie. Jej złotoblond włosy opadały falami do pasa, a ogromne turkusowe oczy z miejsca urzekały każdego, kto w nie zaglądał. Była tak piękna, że prawie bolało, kiedy się na nią patrzyło. Pod tym względem istotnie idealnie pasowała do Arthura.

– Możesz już zamknąć buzię, Liv – rzekła uprzejmie, po czym spojrzała promiennie na Graysona. – Cześć, Grayson. Prawdę mówiąc, dziwię się, że cię tu spotykam. Myślałam, że odciąłeś się od tego wszystkiego.

– Aha. Aha. – Senator Mort pokiwał głową. – A więc Grayson Spencer. To ten głupawy, próżny, naiwny i dobroduszny w waszej paczce.

– Nie, geniuszu. Ten głupawy to Jasper Grant – sprostowała Anabel. – Grayson to ten ostrożny, rozsądny, odpowiedzialny i bez polotu w naszej paczce. Henry to ten, który ma problem z autorytetami, a Arthur to piękniś z rozbuchanym ego. – Puściła oko do Graysona.
– Przepraszam! On ma trudności z zapamiętywaniem imion.

Grayson nie odezwał się na razie ani słowem, tylko gapił się osłupiały to na Anabel, to na mnie, to na senatora Morta.

Anabel uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Jak zawsze masz wypisane na twarzy, co czujesz, Grayson. Dawno cię tu nie było, może więc powinniśmy zaserwować ci małą aktualizację. A więc tak: podczas gdy ty grzecznie siedziałeś w swoich snach i pragnąłeś zapomnieć, że uwolniłeś demona, Liv, Arthur i Henry poznali tutaj mojego psychiatrę. Doktora Ottona Martensona. Niestety,

nie jest koryfeuszem w swej dziedzinie. Za to idealnie nadaje się do moich celów.

– To jest... – Senator Mort wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć ze złości. Jeszcze chwila i zacznie ciskać błyskawice. – Nawet przez sekundę nie pozwoliłem ci sobą manipulować! Od razu cię przejrzałem.

Anabel przechyliła głowę.

– Wprost idealny – powtórzyła łagodnie.

– Nie rozumiem z tego ani słowa – powiedział Grayson. – Co to wszystko ma wspólnego z Mią? Dlaczego jej to robisz? Żeby się zemścić na Liv?

– Mią? – Anabel uniosła brew. – Młodszą siostrą Liv?

– Tak, do cholery, młodszą siostrą Liv – potwierdził Grayson.

– Żądam, żebyś zostawiła ją w spokoju. Boże, Anabel, naprawdę dosyć już namieszałaś.

Anabel wyglądała na szczerze zbitą z tropu.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o czym on mówi? Może ty, Henry?

Chciałam się szybko odwrócić, ale jakimś cudem udało mi się zrobić to w sposób niesłychanie powolny. Henry stał oparty o swoje drzwi, z rękoma założonymi na piersi i nogą ugiętą w kolanie, jakby tkwił tam już od wielu godzin.

Był jedynym z nas, któremu udało się odwzajemnić uśmiech Anabel.

– Miło znów cię widzieć – powiedział. – Już się o ciebie martwiliśmy.

Anabel kiwnęła głową.

– Wiem. Tata mówił, że dzwoniście. Jakie to słodkie. Naprawdę sądziliście, że ten doktorek pokonał mnie za pomocą tabletek nasennych? – Zaśmiała się perliście.

Senator Mort wyglądał, jakby zgrzytał zębami.

– Bo długo cię tu nie było – rzuciłam.

– Jesteś pewna?

O cholera. Oczywiście, że nie. Arthur miał rację: Anabel była zbyt sprytna dla senatora Morta. I dla mnie niestety też. Jeśli chodzi

o umiejętność śnienia, prześcigała nas wszystkich. Mogła bez trudu niepostrzeżenie przemieszczać się po korytarzach. W realnym świecie też nie wolno było jej lekceważyć. A ja głupia ze współczucia zadzwoniłam do jej ojca, podczas gdy ona bajerowała cały szpital.

Choć nie chciałam tego robić, przeniosłam wzrok na Henry'ego, tylko po to, by zauważyć, że jego spojrzenie spoczywało na mnie. Już tylko to wystarczyło, żeby wywołać u mnie skurcz serca.

– Ach, jak to miło znów z wami gadać – paplała Anabel. – Brakuje tylko Arthura i byłoby jak za dawnych czasów. – Z zadowolonym westchnieniem oparła się o ścianę obok Henry'ego. – Wprawdzie niewidzialny obserwator może się sporo dowiedzieć, ale to jednak trochę nudne. – Posłała mi uśmiech. – Przepraszam, że napędziłam ci strachu, Liv, ale nie mogłam się oprzeć. Jeden mały szelest, a ty podskakujesz do góry, jakby cię gonił sam diabeł.

– Bo gonił. – Dopiero teraz spostrzegłam, że Anabel ma nienaturalnie wąskie źrenice, jakby spoglądała w jasne światło. A przecież wokół zrobiło się ciemniej. I chłodniej. Byłam niemal pewna, że Anabel sprowadzi tu za chwilę swojego demona.

Ale ona pozostała przy nieco subtelniejszych efektach.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jak nijaka jest szpitalna codzienność. Gdyby nie sny, chyba umarłabym z nudów. Nie dałam sobie tego odebrać. Postarałam się tylko, by doktorek tak myślał, jednocześnie spokojnie studiując jego słabe punkty. A ma ich całkiem sporo, prawda, Ottonie?

– Jeśli sądzisz, że możesz mnie szantażować, to przeceniasz wiarygodność chorej psychicznie pacjentki – odparł senator Mort. – Nikt nie uwierzy komuś takiemu jak ty. Poza tym nigdy nie złamałem żadnych przepisów...

Anabel zaśmiała się ponownie.

– Szantaż! Już dawno wyrosłam z takich dzieciennych i czasochłonnych metod. Nie, mam wobec pana inne plany. Bez obaw, spodoba się panu.

W tym momencie rozległ się elektroniczny pisk, który kiedyś już słyszeliśmy.

– Pager – powiedziała Anabel, podczas gdy senator Mort zaczął

blaknąć i po chwili zniknął. – Pacjentka w sali 207, moja przyjaciółka. W zamian za deser wzywa go każdej nocy, kiedy on ma dyżur. Założę się, że doktorek zaraz wpadnie do mojej sali. – Ziewnęła. – Szkoda, tak tu z wami miło. Mogłabym tak gadać godzinami, zwłaszcza że ciekawi mnie ta historia z twoją siostrą, Liv.

– Co się dzieje z Mią? – Henry popatrzył na mnie pytająco.

Przyglądałam się uważnie swoim stopom.

– Liv nic ci o tym nie mówiła? – zapytał Grayson. – Mia lunatykuje.

– Nie, Liv nic mi o tym nie mówiła – odparł Henry. W jego głosie pobrzmiwała uraza.

Podniosłam głowę, by rzucić mu jeszcze bardziej urażone spojrzenie. Jeśli ktoś tutaj miał prawo uskarżać się, że jest niedoinformowany, to raczej nie on.

– Nie mam pojęcia jak, ale Anabel popycha we śnie Mię do tego, żeby robiła złe rzeczy. – Grayson stanął groźnie przed Anabel. – Mia próbowała ostatnio udusić Liv poduszką, a dziś w nocy o mało nie wyskoczyła przez okno.

Henry był wstrząśnięty.

– Od kiedy to się dzieje?

– Od kilku tygodni. W głowie mi się nie mieści, że Liv nie powiedziała ci o tym.

– Ja też tego nie pojmuję – odparł Henry. – Ale teraz przynajmniej rozumiem, o co chodziło z Mr Wu.

– Nie pojmujesz? – Z całej siły starałam się, by mój głos nie brzmiał piskliwie, lecz nie byłam pewna, czy mi się udało.

– Przypuszczalnie dlatego, że ty zasadniczo opowiadasz mi o wszystkim, nieprawdaż? Człowiek przecież automatycznie oczekuje tego samego od innych. Pomijam już fakt, że przestaliśmy być ze sobą, w związku z czym absolutnie nie muszę ci już o niczym mówić.

– Co? – wykrzyknął Grayson. – Nie jesteście już razem? Od kiedy?

– O, Henry ci nie powiedział? – powiedziałam z przekąsem. – No cóż, pewnie uznał, że to nie jest szczególnie ważne.

– Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. – Henry oderwał się od

drzwi. Z jego twarzy zniknęła cała nonszalancja. – Jeśli Anabel manipuluje snami Mii, to powinnaś mi o tym powiedzieć.

– Ach, kochani, nie skaczcie sobie od razu do gardeł – wtrąciła się Anabel. Akurat ona. – Ja w każdym razie nie mam z tym nic wspólnego.

– Więc kto? – rzucił wściekły Grayson.

Anabel uśmiechnęła się łagodnie.

– Jeżeli mam być szczerą, Grayson, to mam wobec was pewne plany, ale... nie, na pomysł, żeby sprowokować siostrę Liv do lunatykowania, rzeczywiście jeszcze nie wpadłam.

To było wariactwo, ale jej wierzyłam, pomimo błysku szaleństwa w jej oczach, pomimo triumfu i złośliwej satysfakcji na jej twarzy.

I zanim zniknęła, bo w szpitalu w Surrey rzeczywiście do jej sali wpadł rozjuszony senator Mort, dodała:

– Pomyślcie tylko. Może jest jeszcze ktoś, kto dotąd nie wyrównał rachunków z Liv?



Henry mieszkał w wolnostojącym domu z czerwonej cegły, z licznymi wykuszami, mnóstwem białych okien szprosowych i zielonymi drzwiami z półokrągłym świetlikiem. Budynek skrywał się za wysokim do ramion ceglany murem i w ogóle nie chciał wyglądać jak ponure, zaniedbane, przerażające domostwo rodem z horrorów, jakie sobie wyobrażałam. Frontowy ogródek był bardzo zadbane, zawiasy furtki ogrodowej dobrze nasmarowane. Po drodze do drzwi wejściowych wprawdzie minęłam jeźdźnik i piłkę do kosza, ale to tylko dodawało obejściu uroku, podobnie jak kot dachowiec drzemiący na wycieraczce obok pary wściekle kolorowych kaloszy. Co mnie zdumiało jeszcze bardziej, to fakt, że dotarcie tutaj zajęło mi dokładnie dwanaście i pół minuty. Pieszko. I szłam, nie biegłam. Co by nie mówić, przez kilka tygodni byłam dziewczyną tego kolesia, a nie miałam pojęcia, że mieszkał dwanaście minut marszu ode mnie. Jeszcze jeden powód, by się na niego wkurzyć.

Mimo wszystko chwilę wahałam się, zanim nacisnęłam dzwonek – mogłam po prostu pogłaskać kota i odejść, nie tracąc twarzy. Przemogłam się jednak. Ostatecznie to on wysłał mi SMS-a, nie ja jemu.

Dokładnie trzynaście i pół minuty temu. Dwa słowa, które sprawiły, że zapomniałam o minionej nocy i zmartwieniach, jakie miałam przez Mię i Anabel. Henry napisał: „Musimy pogadać”.

Miał całkowitą rację.

– Dobra, w takim razie gadajmy – powiedziałam, kiedy otworzył drzwi i popatrzył na mnie z bezgranicznym zdumieniem. Usiłowałam przybrać neutralny wyraz twarzy, co przychodziło mi niewyobrażalnie ciężko, bo moje serce wykonywało gwałtowne skoki. Czy kiedykolwiek będę mogła patrzeć na niego bez bólu? Czy kiedykolwiek będę mogła przebywać z nim w jednym pomieszczeniu bez uczucia, że za chwilę umrę z tęsknoty?

Przynajmniej nie otworzył nikt z rodziny. W głębi ducha odczuwałam ulgę z tego powodu. To mi pomogło zachować zimną krew, kiedy przypatrywałam się, jak Henry próbuje nad sobą zapanować.

– Ja... co...? – wyjąkał. Jak zawsze miał pod oczami głębokie cienie, a jego cera wydawała się niemal przezroczysta, co u każdej innej osoby wyglądałoby niezdrowo, ale nie u niego.

– To od ciebie ten SMS, prawda? – Podetknęłam mu komórkę pod nos. – A więc o czym chcesz rozmawiać? – Jak na razie wypadałam naprawdę spoko. Niestety, cały efekt zniweczyłam swoim trajkotaniem. – Nawiasem mówiąc, ładny dom. Ładne okna. Ładny... eee... zielony krzak. Ładne drzwi. Ładny kot. I ładne kalosze, i...

– Tak, wszystko ładne – powiedział Henry, a po ustach przemknął mu nikły uśmiech. Zaraz jednak ponownie zmarszczył czoło. – Słuchaj, Liv, to nie jest odpowiedni moment.

– To ty wysłałeś tego SMS-a – przypomniałam mu, szczególnie akcentując słówko „ty”.

– Tak, wysłałem. Nie sądziłem jednak, że minutę później będziesz pod moimi drzwiami. Musimy porozmawiać, ale nie teraz.

– Ponieważ?

– Ponieważ... – Rzucił nerwowe spojrzenie w dół ulicy, całkiem spokojnej w świetle zachodzącego słońca. W niedzielne popołudnie niemal nie było tu ruchu. – Ponieważ teraz nie jest odpowiedni moment.

Schyliłam się, żeby pogłaskać kota.

– No cóż, skoro już tu jestem, to możesz skorzystać z okazji

i zdradzić mi przynajmniej, o co chodzi.

Henry się zawahał.

– Chodzi o to, że... myślałem nad tym, co powiedziała Anabel.

Uniosłem gwałtownie głowę. Anabel? Chciał ze mną rozmawiać o Anabel?

– Wiem, kłamie jak najęta, ale w tym przypadku jestem niemal pewien, że... – urwał. Zza rogu wystrzeliła wypasiona terenówka, zdecydowanie przekraczając dozwoloną prędkość. Popołudniową ciszę przerwał ryk silnika, a kiedy samochód zahamował z piskiem opon przed furtką ogrodową, Henry przewrócił oczami. – Byłoby naprawdę miło, gdybyś teraz poszła, Liv. Zanim cię ktoś zobaczy... ach, cholera.

Pomijając fakt, że nie miałam pojęcia, w jaki sposób miałabym odejść, żeby nie zobaczył mnie ów ktoś, kto właśnie zaparkował przed furtką, i tak już było na to za późno. Od strony pasażera wysiadł wysoki mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, może nawet starszy, choć wciąż miał jeszcze wszystkie włosy. Był opalony, a oczy przesłaniały mu okulary przeciwsłoneczne. Odezwał się, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

– Idź po matkę. Muszę z nią porozmawiać – rzucił do Henry'ego bez słowa powitania. – Milo znowu ukradł. Zaprzecza, ale Biljana była świadkiem.

Otworzył tylne drzwi i pomógł wsiąść z fotelika dziecięcego młodej dziewczynce. Miała na sobie grube rajstopy w paski, krótką czerwoną spódniczkę i kurtkę puchową w kwiatki. Wielkimi oczami patrzyła promiennie na Henry'ego. Była to Amy, jego czteroletnia siostra, którą znałam z jej słodkich jak cukierek, kolorowych snów, w których czasem spotykaliśmy się z Henrym. Za nią z samochodu wygramolił się chłopak, w którym rozpoznałam młodszego brata Henry'ego: był jego miniaturową, węższą wersją. Miał na głowie takie same wicherki sprawiające, że jego włosy sterczały na wszystkie strony, i te same intensywnie błyszczące szare oczy. Brakowało mu jednak luzu typowego dla starszego brata. Wyglądał wręcz żałośnie.

– Nic nie ukradłem – odezwał się do Henry'ego i wydał wargi.

– Ona kłamie, żeby mnie oczernić. Pewnie sama to zwędziła. Au!

Ojciec (a przynajmniej sądziłam, że facet był ich ojcem) chwycił

go za kark i przytrzymał jak niesfornego kociaka. Amy otworzyła furtkę i w podskokach podbiegła bliżej.

– Ja nie kradnę – oznajmiła i popatrzyła na mnie z ciekawością.

– Milo też nie. A ty?

No cóż. Może jedną głupią czapkę – uszankę. Ale poza tym to nic. Henry jęknął.

– A co w ogóle u... eee... zniknęło?

– Rokokowa tabakierka dziadka Henry’ego. Ta z kolekcji J.P. Morgana. To już nie są żarty. To nie jest chłopięca psota. Zawołaj wreszcie matkę. – Ojciec Henry’ego przepchnął Milo przez furtkę. – Tak dalej być nie może.

– Mamy... nie ma – powiedział Henry. – Puść Milo.

Dopiero teraz otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i z samochodu wysiadła kobieta.

– To bardzo cenna tabakierka. – Wymawiała twardo „r” i miała wschodnioeuropejski akcent.

Do tej chwili stałam na schodach cichutko jak mysz, pragnąc stać się niewidzialna. I chyba mi się udało, bo nikt oprócz Amy nie zwrócił na mnie uwagi. Kiedy jednak zobaczyłam kobietę, niewidzialność przestała działać. Z mojej piersi wyrwało się sapnięcie. Albo jęk. Albo mieszanina jednego i drugiego.

To była B! Syrena z basenu z hydromasażem. Wyglądała równie olśniewająco jak we śnie, z tą różnicą, że teraz miała na sobie futro, dla którego, o ile nie było sztuczne, a ja raczej nie myliłam się w tych sprawach, poświęciło życie kilka jaguarów i które naruszało tym samym konwencję waszyngtońską. Oraz moją godność. Poczułam się osobiście dotknięta. Futro z jaguara? Serio? Już bardziej wymownie się nie dało.

Wydawanymi przez siebie odgłosami ściągnęłam na siebie uwagę ojca.

– A kogo my tu mamy? Czy to twoja przyjaciółeczka, Henry?

– Była przyjaciółeczka – sprostowałam.

– Powiedziałem: puść go. – Henry gniewnie zmarszczył czoło.

Trzema susami dopadł Milo i uwolnił go z uchwytu ojca, by samemu złapać chłopca za kark.

– Au – jęknął Milo. – Ja naprawdę nic nie zrobiłem.

– On nic nie zrobił – pisnęła Amy. Usiadła na jeźdźniku i wpatrywała się w nas swoimi wielkimi oczami. – A ja zrobiłam siku w majtki i Biljana na mnie nakrzyczała.

Henry, wzdychając ciężko, puścił brata. Milo z ulgą pomasaował kark.

Ojciec uśmiechnął się do mnie, odsłaniając oślepiająco białe zęby. Wyciągnął rękę w moją stronę i rzekł:

– Ron Harper.

– Eee... Liv Silver – wymamrotałam zbita z tropu. Uścisnął mocno moją dłoń.

– Bardzo mi miło, była przyjaciółeczko. – Ron Harper puścił do mnie oko. O Boże! Czy on mnie podrywał?

Zabrałam gwałtownie rękę, jakbym się poparzyła.

– Ronald! Tabakierka! – przypomniała mu B, prężąc się w drzwiach samochodu tak samo jak w basenie.

– Racja. – Ojciec Henry’ego przeniósł wzrok na Milo, który był już w połowie drogi do drzwi wejściowych. – Tym razem to będzie miało poważne konsekwencje. Pomijam już, że bardzo mnie rozczarowałeś.

– I nawzajem – odparł Milo i cofał się dalej, aż w końcu prawie na mnie wpadł.

– Moglibyśmy wezwać policję – zasugerowała B i wyjęła komórkę. – Albo przeszukajmy jego rzeczy.

Zauważyłam, jak Milo sięgnął ręką do kieszeni kurtki, i byłam niemal pewna, że miał w niej tabakierkę. Bo chociaż widziałam jego twarz tylko z profilu, to malowało się na niej poczucie winy, zupełnie jakby powiesił sobie na szyi kartkę z przyznaniem się. Zrobiło mi się go bardzo żal.

– Milo! Cokolwiek ukradłeś, po prostu to oddaj – powiedział Henry. Wydawał się nagle straszliwie zmęczony.

– Ale ja nie mam tej głupiej tabakierki – zaprotestował Milo, wyjmując rękę z kieszeni kurtki i chowając zaciśniętą pięść za plecami. Wszystko było jasne.

Na jego miejscu pewnie już wcześniej próbowałabym pozbyć się puzderka, na przykład dyskretnie upuszczając je na grządki. Ale teraz było na to za późno.

– Ojej, robi się ciemno – zawołałam z nagłą determinacją. – Muszę lecieć, bo dostanę... o! Tam! Wiewiórka!

I kiedy wszyscy skierowali wzrok we wskazywanym przeze mnie kierunku, a Amy zawołała „Gdzie? Gdzie?”, sięgnęłam ręką ku piąstce Milo i przejęłam schowany w niej przedmiot.

I zdziwiłam się, że tani chwyt z wiewiórką tak świetnie się sprawdził.

Milo przytomnie trzymał rękę schowaną za plecami i nawet nie mrugnął.

– Nie widzę żadnej wiewiórki! – poskarżyła się Amy.

– Uciekła – powiedziałam z żalem.

– Nienawidzę wiewiórek – oznajmiła B.

Tak, pewnie dlatego, że potrzeba by ich ze sto, żeby uszyć z nich jedno futro.

– My w Bułgarii mówimy, że mieszka w nich diabeł. Ron! Tabakierka! Odbierz mu ją po prostu. I powiedz, że więcej nie wolno mu nas odwiedzać. Nie mogę za każdym razem zamykać biżuterii pod kluczem.

– To na razie, Henry. – Ostentacyjnie powoli ruszyłam do furtki, chowając rękę w kieszeni płaszcza. Odwróciłam się jeszcze raz.

Ojciec Henry’ego westchnął.

– Milo! Dawaj to puzderko.

– Dlaczego zawsze wierzysz jej? – zapytał oskarżycielsko Milo.

– Nic nie ukradłem, przysięgam. To ona! Pewnie chce potajemnie sprzedać tę tabakierkę...

– Koleżko! – B postukała długimi paznokciami w dach samochodu.
– Widziałam na własne oczy!

– Milo, dosyć tego. – Henry potarł sobie czoło. – Daj mu tę tabakierkę. Miejmy to za sobą.

– Nie mam za...

– Dość! – Ojciec złapał Milo za rękę i wyciągnął ją zza pleców chłopca. Siłą rozchylił mu palce. Na widok pustej dłoni zdębiał. – Dobra – powiedział, zaciskając zęby. – Sam tego chciałeś. W takim razie zrewidujemy cię od stóp do głów.

W tym czasie dotarłam do furtki i wyszłam na chodnik. Z bliska B

nadal wyglądała olśniewająco, niestety. Może z wyjątkiem szminki. Poza tym jej czoło na pewno tylko dlatego było takie gładkie, że szprycowała się botoksem.

– To prawdziwy jaguar? – zapytałam.

B zaskoczona ściągnęła idealnie wydepilowane brwi.

– Tak! Większość osób myli jaguara z leopardem.

– Wiem. – Nie mogłam się oprzeć i jeszcze raz zerknęłam przez ramię, żeby popatrzeć na Henry'ego. Od chwili przyjazdu rodziny nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem, teraz jednak posłał mi smutny i zrezygnowany uśmiech, którego nie mogłam nie odwzajemnić.

Ojciec był zaprzątnięty rewidowaniem Milo. Klnąc pod nosem, ściągał z niego kurtkę. Chłopak nie wyglądał już jak kupka nieszczęścia. Łypnął ponad murem – i puścił do mnie oko!

Najwyższy czas wziąć nogi za pas.

– Muszę mieć jeszcze futro z pantery śnieżnej – rzuciła za mną B, dając mi znakomitą okazję, by przywołać moją ulubioną sentencję (choć w oryginale nie dotyczyła ona panter śnieżnych, tylko ocelotów).

Odwrociłam się po raz ostatni.

– Ach, nie łudźmy się – powiedziałam. – Tak naprawdę tylko pantera śnieżna musi mieć futro pantery śnieżnej.



21 stycznia

Nie mam dla was wiadomości szokującej, mam wiadomość łamiącą serca, ha ha ☐

Emily Clark i Grayson Spencer rozstali się.

Liv Silver i Henry Harper też się rozstali.

Ci, którzy podejrzewają, że między tymi wydarzeniami istnieją jakieś powiązania, ręka w górę ☐

A poważnie – w obu przypadkach koniec nie był niczym zaskakującym, prawda? Emily mówi,

że musiała zakończyć ten związek, ponieważ Grayson jest w jej oczach nie dość dojrzały, poza tym brakuje mu ambicji, dalekowzroczności i męskiej siły przebiccia.

Grayson nic nie mówi. Ale gdyby ktoś spytał mnie o zdanie, to facet ze złamanym sercem wygląda inaczej. W dodatku Grayson w zeszłym tygodniu dostał maksymalną liczbę punktów z angielskiego, a tym samym ma ocenę końcową o trzy czwarte stopnia (!)

wyższą niż Emily – może więc wcale nie potrzeba ambicji, jeśli jest się geniuszem?

Co było przyczyną rozstania Henry'ego i Liv?

Tu również mogę co najwyższej snuć przypuszczenia, ale myślę, że

seks należał do najważniejszych powodów. Seks oraz fakt, że Liv mieszka pod jednym dachem z bardzo atrakcyjnym od niedawna singlem o imieniu Grayson...

I tak dochodzimy do prawdziwie powalającej informacji: Jasper Grant zmienił status na Facebooku z „to skomplikowane” na „w związku”. Niestety, zapomniał napisać z kim, ale chyba się nie pomylę, jeśli poszukam tej osoby wśród czterdziestu czterech nowych znajomych, a dokładniej wśród dwudziestu ośmiu nowych znajomych płci żeńskiej. Może zabawimy się w zgadywanie? Poszperajcie w profilach i napiszcie w komentarzach, która z Francuzek waszym zdaniem jest nową dziewczyną Jaspera.

Dla osoby, która pierwsza odgadnie, nagroda.

Aha, a skoro już będziecie pisać, to może odpowiecie mi na pytanie, dlaczego one wszystkie wyglądają jak gwiazdy filmowe? I dlaczego ich imiona zawsze zaczynają się na L? Lola, Lilou, Lucy, Louise, Louanne, Lilly, Léa, Lina – coś jest zdecydowanie nie tak z tymi Francuzkami.

Widzimy się!

Wasza Secrecy



Kiedy następnego dnia przyszłam do szkoły, wszyscy oprócz mnie jak zwykle byli już po lekturze blogu Tittle-Tattle i gapili się na mnie. Dziś dla odmiany z litością.

Taa. Czyli informacje o końcu naszego związku wreszcie dotarły do Secrecy.

– Och, Liv, jakie to okrutne ze strony Henry’ego! Choć może to i dobrze, bo teraz możemy się wzajemnie pocieszać! – Persefona rzuciła mi się na szyję i zmoczyła łzami mój szkolny strój. Z tego, jak szlochała w moje ramię, wnosiłam, że Jasper znalazł sobie w dalekiej Francji nową przyjaciółkę.

– Myślałam, że ty i Gabriel...? – zaczęłam. A może to był Eric? Persefona na każdej przerwie flirtowała ile wlezie z jednym i drugim.

Oderwała głowę od mojego ramienia i pociągnęła nosem.

– Gabriel? On jest tylko dla odwrócenia uwagi! Żeby w ogóle jakoś przeżyła nieobecność Jaspera! Jasper był, jest i będzie moją wielką miłością! – Dramatycznym gestem otarła łzy, a ja dyskretnie poszukałam na zakiecie śladów smarków. – Tak samo jak Henry twoją!

Naprawdę wolałabym, żeby mówiła nieco ciszej, ale niestety nie

zrobiła tego dla mnie. Gorzej: wzięła mnie za rękę i na cały głos zadeklarowała:

– Założymy Klub Złamanych Serc.

Tak, ale tylko po moim trupie.

Z lekką nostalgią wspomniałam dawne czasy, jeszcze przed Henrym. Kiedy byłam tak jak Mia całkowicie odporna na chłopaków. Co się ze mną stało? To żałosne, jak wczoraj wpatrywałam się w komórkę i obgryzałam paznokcie w nadziei, że Henry się odezwie. Co nie nastąpiło.

Mimo że byłam w posiadaniu tabakierki o wartości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Kiedy wpisałam w wyszukiwarkę pojęcia rokoko, tabakierka i kolekcja Morgana, nieźle się wystraszyłam. Milo ukradł skarb. Maleńki skarb, który spoczywał teraz w szufladzie mojej szafki nocnej razem z czapką Charlesa. Naprawdę nie chciałam wsypać Milo, ale przecież nie mogłam zatrzymać tego puzderka dla siebie. Choćby dlatego byłoby dobrze, żeby Henry się odezwał.

I żeby wyjaśnić mi sprawę z B. Chociaż z drugiej strony – co tu było do wyjaśniania? Fakt, że kobieta, z którą baraszkował w basenie z hydromasażem, była przyjaciółką jego ojca, absolutnie nie poprawiał sytuacji. Raczej ją pogarszał, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Dlaczego wysyła mi SMS-a, skoro potem nie chce ze mną rozmawiać? Chyba z siedemdziesiąt razy sięgałam po komórkę, żeby go o to zapytać, ale potem rezygnowałam. Już i tak niedobrze, że sterczałam pod jego drzwiami. Przecież nie byłam jedną z tych, które prześladowały swoich byłych, dręczyły ich telefonami i nie potrafiły zaakceptować, że to koniec... Nie, byłam jedną z tych, które gapiły się w telefon i wyplakiwały sobie oczy.

O Boże, to czyniło ze mnie idealną członkinię Klubu Złamanych Serc Persefony.

– Może Grayson też się przyłączy – rzuciła Persefona.

– Grayson?

– No. Przecież chłopaki też mogą mieć złamane serce!

– Ale... – zaczęłam. Ach, to do niczego nie prowadziło. Niewiele myśląc, wyrwałam smartfon z ręki Persefony i poszukałam blogu Secrecy. A kiedy doczytałam do końca, gotowało się we mnie ze złości.

– Widzimy się zaraz na chemii – wysyczałam do Persefony i popędziłam do szafek, żeby złapać Graysona.

Kiedy zziębnięta dobiegłam na miejsce, właśnie zdejmował z półki podręczniki.

– Serio, Grayson? Cały dzień chodzisz nabzdyczony, że nie powiedziałam ci o mnie i Henrym, ale sam nie uważasz za stosowne poinformować mnie, że zerwaliście z Emily? – zapytałam. A właściwie wysapałam, co nikomu nie przeszkadzało, bo Grayson i tak mnie zrozumiał.

– Henry i ty przemilczaliście to przez ponad tydzień – odparł.

– A my z Emily zerwaliśmy dopiero w sobotę wieczorem. Po kolacji.

– Więc miałeś całą niedzielę, żeby mi o tym wspomnieć, zamiast patrzeć na mnie z urazą.

– Jeśli już, to patrzyłem z troską, nie z urazą. A poza tym prawie nie było mnie w domu, więc nawet nie miałem czasu, żeby ci powiedzieć.

– Nie zajęłoby ci to zbyt wiele czasu. Wystarczyłoby jedno zdanie. Ach, nawiasem mówiąc, Emily dała mi kosza. Mogłeś powiedzieć mi dziś w nocy...

Przymknęłam się.

Jak mogłam wkurzać się na Graysona? Był taki słodki, kiedy przejmował się Mią. Gdy dziś w nocy sprawdzałam korytarz, widziałam, jak siedział pod jej drzwiami. Niewiele brakowało, a ze wzruszenia rzuciłabym mu się na szyję. Nie dlatego, że rzeczywiście mógł cokolwiek zdziałać przeciwko intruzowi, ale liczyły się dobre chęci. To był taki rozkoszny widok, gdy tak siedział i usiłował wyglądać groźnie.

Wciąż zwlekałam z wtajemniczeniem Mii w całą sprawę, bo w gruncie rzeczy nie miałam jednoznacznego dowodu na to, że jej lunatykowanie nie ma naturalnej przyczyny. Poza tym nadal byłam skłonna wierzyć Anabel, kiedy twierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego. Co zapewne było głupotą z mojej strony, w końcu to Anabel.

Mniejsza o to. Tym razem to ja spałam z Mią, choćby po to, by nie musiała uruchamiać swojego alarmu. Siostra, o dziwo, nie miała nic przeciwko temu, lunatykowanie było dla niej czymś upiornym, a jej łóżko okazało się wystarczająco duże dla dwóch osób. Uparła się, by

skakanką związać nasze nogi w kostkach, tak abym musiała się obudzić, gdyby wstawiała z łóżka. Albo została z niego wywleczone. Nic takiego jednak się nie stało, Mia spała kamiennym snem, pod jej drzwiami nie pojawił się nikt podejrzany i dlatego dziś czułam się znacznie lepiej. U mnie również lunatykowanie ustało równie nagle, jak się zaczęło, i przy odrobinie szczęścia z Mią będzie tak samo. A na razie trzeba ją po prostu trochę wiązać...

– Dlaczego przestałaś na mnie warczeć? – Grayson, marszcząc czoło, spoglądał na mnie z góry. – Powinienem się martwić? A w ogóle to nie Emily dała mi kosza, tylko ja jej. Gwoli ścisłości.

– Ach tak? – Tym razem to ja się roześmiałam. – Secrecy jest innego zdania. A co z symbolem nieskończoności, który podarowałaś Emily?

– Widocznie to była jednak tylko leżąca ósemka – odparł sucho Grayson.

– Rozumiem. Mimo to Persefona chciałaby przyjąć cię do naszego Klubu Złamanych Serc. – Podeszłam do szafki po podręcznik do chemii.

– Co za zaszczyt – powiedział Grayson. – Ale o to lepiej zapytaj Henry’ego.

I zniknął za rogiem.

– O co powinnaś zapytać Henry’ego?

Ktoś objął mnie z boku ramieniem. Arthur. No świetnie, akurat za nim strasznie się ostatnio stęskniłam. Czy wiedział już, że spotkaliśmy Anabel i że to nie ona była biedną ofiarą senatora Morta, tylko odwrotnie?

Wywinęłam się z jego objęć.

– O nic, co cię powinno obchodzić – rzuciłam pośpiesznie.

Uśmiechnął się i powoli podszedł do swojej szafki.

– A tak w ogóle to przykro mi z powodu tego, co się stało, Liv. Mógłbym przysiąc, że między Henrym i tobą to była wielka miłość. Kiedy dziś w nocy dowiedziałem się o waszym rozstaniu, nie mogłem w to uwierzyć.

– Nie sypiasz po nocach, żeby czytać blog Secrecy? – zapytałam osłupiała. OK, mogłam podejrzewać go o różne rzeczy, ale nie o coś takiego.

Arthur się zaśmiał.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Nie. Wiem o tym od Henry’ego i Graysona.

Aha. No tak, jasne, ci trzej wciąż byli najlepszymi kumplami z piaskownicy, dzielili się foremkami i zwierzali się sobie ze wszystkiego.

Arthur zignorował wyraz niedowierzania na mojej twarzy.

– Spotkałem ich dziś w nocy na korytarzu. Siedzieli pod drzwiami twojej siostry, a ja przysiadłem się do nich na chwilę.

Nie wierzyłam w ani jedno jego słowo.

– I wtedy Henry przy wyśnionym piwku opowiedział ci, że ze mną to już koniec? A potem Grayson wyzalał ci się z powodu Emily?

– No, może niezupełnie tak – sprostował Arthur. – Grayson i Henry rozmawiali o tym, a ja do nich dołączyłem... – Przynajmniej był szczery. – Dawniej na pewno zapytałiby mnie o radę. Możesz mi nie wierzyć, ale w sprawach damsko-męskich zawsze byłem ekspertem w naszej małej paczce.

– Zanim podarowałaś serce wariatce, wierzącej, że musi sprowadzić na ten świat demona – wyrwało mi się.

Arthurowi zadrgała prawa powieka.

– Wiesz, ja naprawdę tęsknię za dawnymi czasami, kiedy siedzieliśmy razem i gadaliśmy. – Potarł podbródek, przypominając mi tym gestem kontuzję, której się nabawił przeze mnie. Specjalnie to robił?
– O dziewczynach i o tym, jakie skomplikowane jest życie. No i oczywiście o koszykówce. Takie męskie tematy. – Westchnął.
– Brakuje mi tego.

Korytarze wokół nas opustoszały. Zaraz zabrzmiał dzwonek.

– Mam ci współczuć? – zapytałam poirytowana. Głównie tym, że rzeczywiście znowu mu współczułam. To musiało być okropne, utracić takich dobrych przyjaciół. Mniejsza o to, nie tym powinnam się teraz przejmować. – Należało pomyśleć o tym, zanim ich okłamałaś i wciągnęłaś w tę paskudną historię – dodałam.

Arthur wyglądał, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał.

– Tak, należało – przyznał. – Z jakiegoś powodu było dla mnie oczywiste, że pozostaniemy przyjaciółmi, aż się zestarzejemy. Może

dzisiejsza noc to pewien krok do...

Krok do czego? Naprawdę sądził, że Grayson i Henry pojedną się z kolesiem, który zamierzał pozwolić, bym została ukatrupiona w jego rodzinnym grobowcu? Nigdy w życiu! Z drugiej strony, znali się przecież całe życie i niejedno razem przeszli. Za to ja nadal byłam tu nowa, no i byłam dziewczyną...

Dzwonek przerwał moje smętne rozmyślenia i tym razem wyjątkowo byłam rada z tego powodu.

– Taa – powiedziałam z ulgą. – Dobra, muszę lecieć. Może dowiem się czegoś o tych waszych męskich rozmowach z Tittle-Ta...

Urwałam. Do głowy przyszła mi myśl, która wydała mi się kompletnie absurdalna i logiczna zarazem.

– Zaczekaj – powiedziałam powoli, podczas gdy w moim umyśle zazębiały się małe trybiki. – Grayson i Henry dziś w nocy wyznali ci, że zakończyli swoje związki?

Arthur skinął głową.

– Przecież mówiłem. – Nagle wróciła cała jego wyniosłość, którą tak dobrze znałam.

– Co za zbieg okoliczności, że Secrecy akurat dzisiaj donosi o tym na swoim blogu!

Arthur wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, że podzielam zdanie Nietzschego: zwycięzca nie wierzy w zbiegi okoliczności.

On nie był zwycięzcą. Był tylko żalonym, małym zdrajcą. Był...

– Arthur, czy ty jesteś Secrecy? – wyrwało mi się.

Arthur zaczął się śmiać.

– O Boże, nie! Liv, ty to masz pomysły. Nie jestem Secrecy! Prawdę mówiąc, nie mam najblidszego pojęcia, kim ona jest. Kilkakrotnie coś podejrzewałem, ale za każdym razem to była pomyłka. Ona naprawdę jest cwana.

– Ale...

– Ale mam oczywiście adres e-mailowy Secrecy, jak wszyscy.

– Uśmiechnął się do mnie. Odniosłam wrażenie, że spodobało mu się, z jakim szokiem na niego patrzę.

– Czy to znaczy, że dostarczasz Secrecy informacji?

– No. – Arthur zdmuchnął kosmyk włosów ze swej anielskiej twarzy. – Od czasu do czasu. Z fikcyjnego konta. Już dawno potrafię to, co Secrecy. Wiesz, jestem idealnym informatorem. W snach sporo można się dowiedzieć. Rzeczy, o których nie wie nikt inny. O, nie patrz z taką moralizatorską przyganą. Pamiętaj, kto siedzi na dużym koniu, spada z wysoka. – Popatrzył na zegarek. – Wiesz, która godzina? Chyba już naprawdę pora na lekcje.

Zadarłam podbródek.

– Masz rację – rzuciłam, starając się przybrać jak najbardziej lodowaty i pogardliwy ton. – Muszę jeszcze tylko znaleźć jakąś umywalkę. Bo w trakcie tej rozmowy zachciało mi się rzygać.

Arthur wciąż się uśmiechał, ale był to wymuszony uśmiech. A spod niego wyraźnie przeziarała uraza. Tym już się jednak nie przejmowałam.

Ruszyłam do pracowni chemicznej. A po drodze, czy tego chciałam, czy nie, musiałam napisać kilka SMS-ów.



– Chodź do wody, chłopcze. – B prężyła się uwodzicielsko w basenie z hydromasażem. Tym razem miała również mieniący się wszystkimi kolorami tęczy rybi ogon, którym wywoływała fale.

Henry wahał się jeszcze. Spojrzał na mnie.

– Nie rób tego – chciałam powiedzieć, ale nie mogłam mówić. Byłam drzewem, a moje korzenie sięgały głęboko pod mozaikową podłogę. Bezradnie obserwowałam, jak Henry zdejmuje ubranie i zsuwa się do wody.

– To straszne – wyszeptał czyjś głos obok. Była to Anabel. Współczująco poklepała mnie po korze. – Że też musisz na to patrzeć. Ale Henry już taki jest. Kto traci serce dla kogoś takiego, sam jest sobie winien.

B podpłynęła do Henry’ego i zarzuciła mu na szyję szczupłe ramiona.

– Teraz pewnie marzysz o tym, by zamknąć oczy – szepnęła Anabel. – Głupio tylko, że jesteś drzewem.

Owszem, głupio. Henry i B zaczęli się całować, a ja nie mogłam nic zrobić. Nawet uciec.

– Masz tylko jedno wyjście, Liv – rzekła Anabel. – Musisz się obudzić. – Pokazała zdobioną złoceniami ścianę naprzeciwko, w której obok natrysku znajdowały się miętowozielone drzwi. Moje drzwi.

Bogu dzięki. To był tylko sen. Mój sen. Co absolutnie nie przeszkadzało Henry’emu i B w kontynuowaniu gry miłosnej. Przywarli do siebie. Henry jedną dłoń zanurzył we włosach kobiety, podczas gdy druga...

– Po prostu się obudź – powiedziała Anabel łagodnie. Tak zrobiłam. Dlaczego we śnie człowiek nie orientował się, że śni, nawet wtedy gdy był w nim drzewem? To przecież wariactwo. Serce waliło mi nienaturalnie szybko, a ja z ulgą przysunęłam się do Mii. Budzik wskazywał piątą trzydzieści, jeszcze godzina do pobudki. Mia oddychała miarowo i spokojnie. Również i tej nocy skakanką związała nasze nogi w kostkach i między innymi dlatego zasnęłam bez lęku. Na korytarzu pełnił straż Grayson, może nawet znów razem z Henrym. W końcu minionej nocy też dotrzymywał mu towarzystwa.

Na mojego SMS-a o treści „A. przyznał, że przekaz. inform. Secr. L.” (musiałam się streszczać ze względu na to potworne wklepywanie) odpowiedział „To mnie prawdę mówiąc nie dziwi. To w końcu A”. I uśmiechnięta buźka. Długo się zastanawiałam, czy mu odpisać, na przykład coś w rodzaju „Mam tabakierkę. Co mam z nią zrobić?”, ale w końcu zrezygnowałam. Po pierwsze, słowo „tabakierka” było tak długie, że wpisywałam je z godzinę. A po drugie, gdyby chciał, żebym odpisała, to zadałby jakieś pytanie. A nie zadał. Poza tym miałam inne zmartwienia. Dzięki Secrecy cała rodzina, uświadomiona łaskawie przez Florence, wiedziała już, że Grayson i ja należymy do Klubu Złamanych Serc.

Mama była mocno obrażona, że nie dowiedziała się o tym ode mnie, choć starała się tego nie okazywać.

– Wiem, jakie to uczucie mieć złamane serce, myszko – oznajmiła i pogłaskała mnie po głowie. – Ale wierz mi, doświadczysz tego jeszcze nie raz.

No to super. Jeśli to nie jest wspaniała pociecha, to już sama nie wiem. Graysonowi zresztą powiedziała dokładnie to samo i też pogłaskała go po głowie. Wyraz jego twarzy był bezcenny. Jeszcze teraz

chciało mi się śmiać na jego wspomnienie.

– Lubiłam tego chłopaka. – Lottie natychmiast rozpoczęła produkcję babeczek pocieszenia, wzięwszy się do roboty, zanim jeszcze mama skończyła nas głaskać. I też była odrobinę zła, że się jej nie zwierzyłam, bo przez to spóźniła się z pieczeniem o tydzień.

Przynajmniej w moim przypadku, bo u Graysona sprawa była jeszcze świeża. – I... eee... Emily też jest na pewno bardzo miła. Nawet jeśli nie daje tego po sobie poznać.

– Tak, istotnie, nieźle się z tym kryje – odparł Grayson. Wyglądał, jakby już sama woń czekolady podnosiła go na duchu.

Babeczki świadczyły o tym, że Lottie nie robiła z rozstania wielkiej tragedii. Gdyby rzeczywiście się martwiła, upiekłaby swoje całoroczne rogaliki waniliowe, przeznaczone na wyjątkowo trudne sytuacje wymagające szczególnego pokrzepienia.

– Jak mówiłam, lubiłam Henry’ego – oznajmiła, mieszając czekoladę, którą rozpuszczała w wielkim garnku na gazie. – Ale może to i lepiej. Mężczyźni tylko komplikują życie. Weźmy na przykład Charlesa. Po wielu tygodniach obojętności nagle koniecznie chce się ze mną umówić.

Co zawdzięczaliśmy oczywiście wyłącznie zazdrości o nieistniejącego Jonathana. Z jakiegoś powodu to owa zazdrość, w połączeniu z uporczywym zaprzeczaniem przez Lottie, jakoby znała jakiegoś Jonathana, wyjątkowo pobudziły Charlesa do działania. Mężczyźni rzeczywiście byli dziwni.

Mia poruszyła się lekko we śnie. Tylko ona naprawdę rozumiała moje milczenie.

– No nie, człowiek raz w życiu się zakochuje, a tu coś takiego – podsumowała. – Henry w sumie jest spoko, ale niestety musi być idiotą, skoro nie chce z tobą być.

I to wszystko, co miała do powiedzenia w tej kwestii. Przed pójściem spać ponownie wzięła pod lupę Secrecy. Powiedziała jej o Arthurze, o tym, że potwierdził, iż dostarcza informacji autorce blogu. Bardzo poufnych informacji, jak choćby tej o moim rozstaniu z Henrym. Mia wcale nie wydała się tym zdziwiona.

– No jasne, tym się przecież karmi ten blog. A wszyscy ci

uzależnieni od plotek, którzy go czytają, piszą do niej natychmiast, jak tylko sami się czegoś dowiedzą – zauważyła. – Może mają nadzieję, że wtedy sami nie znajdą się na jej celowniku. Zauważyłaś, tak na marginesie, że już od dłuższego czasu nie napisała nic wrednego o Hazel Pritchard?

– Owszem, zdaję sobie sprawę, że Secrecy dostaje mnóstwo wskazówek. Ale... jak odróżnia, kto mówi prawdę, a kto nie?

– Wpatrywałam się z namysłem w sufit. – Pomyśl tylko, dość często trafia w sedno, przynajmniej o ile jestem w stanie to ocenić. Skąd wie, któremu z niewątpliwie licznych informatorów można ufać? Zwłaszcza że niektórzy na pewno wystawiają ją na próbę, serwując jej zmyślane historyjki.

– Hm. – Mia również zapatrzyła się w sufit. – Dobre pytanie. Może współpracuje tylko z informatorami, których zna i o których wie, że może na nich polegać.

– Więc Arthur kłamał, twierdząc, że nie ma pojęcia, kim ona jest?

– Może. Chyba że zgadłaś i Secrecy to on. – Mia wsparła się na łokciu. – Chociaż... ostatnio przyszło mi do głowy, że Secrecy to więcej niż jedna osoba.

Całkiem niegłupi pomysł.

– Cóż, Watsonie, wygląda na to, że ta sprawa cię przerasta – powiedziałam mimo to, żeby trochę sprowokować Mię. – Czyż nie planowałaś rozwiązać jej do świąt?

– O nie, Sherlocku! Tylko mi nie wyjeżdżaj z czymś takim. Owszem, przyznaję, Secrecy to twardy orzech do zgryzienia. Ale nie zbyt twardy dla Mii Silver.

Tego nie byłam niestety taka pewna. Nie zdradziłam jednak Mii, w jaki sposób Arthur wszedł w posiadanie informacji przekazanych Secrecy.

– Nie patrz tak powątpiewająco. – Mia szturchnęła mnie. – Lepiej śpij! Wyglądasz na naprawdę skonaną... przepraszam, to pewnie przez miłosne zgryzoty. Modłę się do Boga, żeby coś takiego nigdy mnie nie spotkało. – Odwróciła się na drugi bok i natychmiast zasnęła.

Teraz leżała na plecach. W bladym świetle ulicznej latarni wpadającym do pokoju wyglądała dużo młodziej niż zwykle. Jej długie,

jasne włosy rozsypały się na poduszce, gdzie połączyły się z moimi i nie było wiadomo, gdzie kończyły się jej, a zaczynały moje. Nie wierzyłam, by udało jej się uniknąć zakochania, ale dla jej dobra życzyłam jej, by poczekała z tym jeszcze kilka lat. A jeszcze dłużej do pierwszego zawodu miłosnego.

Zaczęło świtać, zaćwierkał jakiś ptak, potem drugi i wschodzące słońce wyczarowało na ścianie delikatną siateczkę z cieni gałęzi i liści rosnącej w ogrodzie magnolii. Wyglądała prześlicznie, jak chiński rysunek tuszem. Pomieszczenie powoli wypełniło się złotym blaskiem poranka, coraz więcej ptaków śpiewało, a pośród ich gwaru dały się słyszeć pojedyncze krzyki gibbonów... Zaraz! Nagle usiadłam. Małpy? Liście? Słońce poranka? Byliśmy w Londynie, w samym środku zimy. O tej porze było jeszcze całkowicie ciemno i nie śpiewały żadne ptaki. A już na pewno nie wrzeszczały małpy! Omiotłam wzrokiem pokój. Mia spała jak kamień, wszystko wyglądało jak zawsze – z wyjątkiem miętowozielonych drzwi w ścianie.

Ale numer!

Wcale się nie obudziłam. Śniło mi się jedynie, że to zrobiłam, a w rzeczywistości nadal spałam.



Pośpiesznie wzięłam się za rozwiązywanie pętli wokół kostki, kiedy przypominałam sobie, że to wcale nie było konieczne. W końcu to był tylko sen, więc mogłam po prostu sprawić, by skakanka zniknęła. Nie miałam jednak serca wymazać także Mii, wyglądała tak błogo, śpiąc w złotym blasku poranka. Kiedy zamykałam za sobą drzwi, mały wcióż wrzeszczały.

W korytarzu wszystko było jak zawsze. Za każdym razem, gdy tam wychodziłam, wstrzymywałam na moment oddech, nie mając pewności, czy zobaczę drzwi Henry'ego, ale jak zawsze tkwiły naprzeciwko moich. Podniosło mnie to na duchu, prawdę mówiąc.

Grayson pełnił wartę, tak jak myślałam. Ubrany w dżinsy i T-shirt kuczał pod drzwiami Mii i kartkował jakąś książkę, którą na mój widok próbował szybko schować za plecami.

– Naprawdę jesteś geniuszem, skoro potrafisz czytać książki we śnie – powiedziałam. – O czym to?

– Podstawy genetyki – wyznał zakłopotany Grayson. – Myślałem, że mógłbym wykorzystać ten czas na naukę.

– Genetyki?

– Wiem, to tylko wyśniona książka, ale może da się jakoś oszukać mózg... – Potarł czoło. – Albo i nie – dodał.

– Wyglądasz na zmęczonego. Może cię trochę zastąpię?

– W żadnym razie! Dopiero przyszedłem i za żadne skarby nie chcę wracać do swojego snu. Śniła mi się Emily i jej koń, z którym mnie... w każdym razie śniła mi się także babcia, która znów potwornie zrzędziła...

– Tak jak dziś po południu? – zapytałam ze współczuciem.

– Gorzej – odparł Grayson.

Gorzej? Wydało mi się to niemożliwe. Babeczki właśnie wylądowały w piecu, kiedy otworzyły się drzwi i do domu wparowała Bochra, odziana jak zwykle w dyskretne odcienie beżów i ochry. Jej nozdrza były wydęte z furii.

– Proszę opuścić kuchnię, panno Whistlehooper¹ – poleciała bez ogródek (i bez powitania), nie zaszczyciwszy mnie nawet przelotnym spojrzeniem. – I proszę zabrać ze sobą tę młodocianą delikwentkę. Muszę poważnie porozmawiać z moim wnukiem.

Ale panna Whistlehooper i młodociana delikwentka nie mogły opuścić kuchni, ponieważ pilnowały babeczek, dlatego Grayson przeszedł ze swoją babcią do „salonu”, jak Bochra nazywała duży pokój. Co i tak lepiej oddawało stan rzeczywisty. Na szczęście mówiła na tyle głośno, że całkiem wyraźnie słyszałyśmy jej słowa. Przynajmniej wtedy, gdy cichutko jak myszki przytknęłyśmy uszy do drzwi.

Bochra była zła jak osa na Graysona, ponieważ popełnił „niewybaczalne głupstwo”, pozwalając odejść „*ex abrupto* takiej dziewczynie” jak Emily. Jakby nie miała (Bochra) dość zmartwień z tym idiotycznym kryzysem wieku średniego u Ernesta, to jeszcze i Grayson musiał zachowywać się do tego stopnia infantylnie.

– Chłopcze, musisz pamiętać o moim sercu – skarżyła się. – Mam swoje lata, a od soboty i tych... tych... zaręczyn – prawie wypluła to słowo – nie zmrużyłam oka.

Wydało mi się to dość imponującym osiągnięciem, wszak minęły już trzy dni. Nie wyglądała przy tym na szczególnie zmęczoną, wręcz

przeciwnie. Nader rześko i wojowniczo kontynuowała swoje *lamento*²: Emily była po prostu wszystkim, czego mógł pragnąć taki młody mężczyzna jak Grayson. Była mądra, ładna, pochodziła z dobrej rodziny i była skrajnie ambitna.

– Z taką żoną jak Emily u boku nic złego w życiu nie mogłoby cię spotkać – wołała. – Już ona by się postarała, żebyś się nie wykoleił.

Protesty Graysona, że ma dopiero siedemnaście lat i wołałby sam decydować o własnym życiu, zbyła argumentem, że jego dziadek też miał ledwie osiemnaście lat, kiedy ją poznał, i to było dla niego zbawienie. Niech Grayson z łaski swojej renonsuje te swoje certacje. Na co Grayson nie znalazł odpowiedzi (bo i jak, bez słownika wyrazów dawnych), Bochra zaś chwilę później wypadła z furkotem z domu.

– Babcia potrafi być czasem... dość ingerująca – rzekł Grayson z nieszczęśliwą miną i wyciągnął nogi.

– Masz na myśli subsydiarna? – próbowałam podnieść go na duchu.

– Nie, raczej supremacyjna – odparł ze zmęczonym uśmiechem.

– To było dość perfidne ze strony Florence, że poszła nakablować twojej babci. – Usiadłam obok niego na podłodze i oparłam się plecami o drzwi Mii.

– Nie poszła – zaprzeczył Grayson. Dopiero teraz udało mu się sprawić, że książka o genetyce zniknęła. – To właśnie jest w tym wszystkim najbardziej przerażające: babcia czyta blog Secrecy. I w ogóle opluła mnie we śnie. Za karę, że oblałam egzamin z biologii.

– Och. To rzeczywiście brzmi nieciekawie. Ale i tak nawet w połowie nie tak koszmarne jak mój sen – zauważyłam i popatrzyłam wzdłuż korytarza, którego białe, mleczone oświetlenie wydawało się dziś jaśniejsze niż zwykle. – Wyobraź sobie, że obudziłam się z naprawdę okropnego snu, z wielką ulgą, że leżę w swoim łóżku cała i zdrowa. A właściwie w łóżku Mii. I dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że wcale się nie obudziłam, tylko śnię, że się obudziłam, rozumiesz?

Grayson pokręcił powoli głową.

– Yyy... nie bardzo.

– Sen wewnątrz snu, można powiedzieć. – Naciągnęłam koszulę nocną na kolana, podziwiając delikatną koronkę na jej oblamowaniu. Miałam ją dziś na sobie po raz pierwszy i w gruncie rzeczy była nie w moim stylu, ale kiedy w grudniu odkryłam ją na zakupach z mamą w sklepiku z ubiorami w stylu vintage niedaleko Covent Garden, zapalałam do niej miłością od pierwszego wejrzenia. Taką właśnie sukienkę musiała mieć Śpiąca Królowna, kiedy została zbudzona ze snu pocałunkiem: kremową, z koronką, obszywaną haftem w malutkie różyczki. Zawahałam się, czy nie lepiej wyobrazić sobie czegoś praktyczniejszego, ale koszulka była po prostu zbyt śliczna.

Grayson przeczesał dłonią włosy.

– Potrójny sen? Brzmi skomplikowanie.

– To prawda. Ale czy to nie dowodzi, jak różnorodne jest samo zjawisko snów? W gruncie rzeczy nigdy nie możemy być pewni, czy żyjemy na jawie. Może wcale nie jesteśmy prawdziwi, tylko istniejemy wyłącznie w czyimś śnie?

– Przestań już – zażądał Grayson. – Dostałem gęsiejszej skórki. O, cześć, Henry! Miałeś już kiedyś sen we śnie?

Henry jak zwykle podszedł do nas zupełnie bezszelestnie. Pożałowałam, że nie miałam czasu, by duchowo przygotować się na jego przybycie i powitać go luzackim spojrzeniem. A tak powitanie nie wypadło idealnie, ale i nie najgorzej. W każdym razie byłam zadowolona z twarzowej nowej koszuli nocnej. Może tylko wydałam się sobie odrobinę zbyt wystrojona.

– I? Dzieje się coś? – zapytał Henry.

– Dopiero przyszliśmy – odpowiedział Grayson.

Henry przysiadł się do nas.

– Sprawdziliście, czy we śnie Mii wszystko gra?

– Ekhem... nie. Co masz na myśli? – Grayson popatrzył na niego zbity z tropu.

Henry westchnął i wstał z powrotem.

– To, że ktoś mógł wejść do jej snu przedtem. – Wyciągnął rękę, by nacisnąć klamkę. – Sprawdź.

– Czekaj! – zawołałam i zerwałam się na równe nogi. – Nie możesz przecież wchodzić tam tak po prostu. To jest sen Mii, ona z pewnością

nie życzyłaby sobie tego.

Henry puścił klamkę.

– To jak inaczej mamy się dowiedzieć, czy ktoś jej nie odwiedził?

– Możemy po prostu zaczekać – zaproponował Grayson. – Ten ktoś kiedyś w końcu będzie musiał wyjść. I wtedy możemy go dopaść.

Henry zmarszczył brwi.

– Kimkolwiek jest, na pewno jest zbyt cwany, żeby dać się złapać pod drzwiami. Poza tym wtedy może już być za późno.

W głębi duszy czułam, że miał rację, ale tkwiący we mnie uparciuch nie chciał tego przyznać.

– Może robimy z igły widły i to lunatykowanie jest czymś całkiem normalnym. To znaczy, pewnie Mia ma po prostu takie żywiołowe sny. A gdyby w tym momencie lunatykowała, to przecież dawno bym się obudziła. Mamy związane nogi. Skakanką.

Henry, który do tej pory unikał mojego wzroku, popatrzył na mnie niespodziewanie. Kąciki jego ust powędrowały do góry, a w oczach zabłyśły znajome iskry.

– Skakanką? – powtórzył z rozbawieniem. – Serio, Liv, czasami tęsknię... – urwał i przygryzł wargę. – Może najlepiej będzie, jeśli sama skontrolujesz, czy w środku wszystko w porządku. – Odchrząknął. – Jeśli tak, to wrócisz na korytarz i nam powiesz. A jeśli nie...

– ...to wrócę na korytarz i wam powiem – dokończyłam. Serce zabiło mi nieco mocniej, lecz nie z powodu snu Mii, tylko dlatego, że bardzo mnie interesowało, za czym dokładnie tęskni Henry. Ale nie mogłam go o to zapytać. Nie w obecności Graysona.

Odwróciłam się do drzwi i ostrożnie nacisnęłam klamkę. Nie były zamknięte. I tym razem nie było strażnika, nawet mamy. Nie rozumiałam podświadomości Mii – musiała przecież wyczuwać, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– To na razie – rzucił Henry. – A, Liv...

Obejrzałam się przez ramię.

– Bądź ostrożna. Choćby z powodu tej nowej koszuli nocnej. Naprawdę ci w niej do twarzy.

Stłumiłam uśmiech, zamknęłam za sobą drzwi i rozejrzałam się wokół. Wylądowałam w ogrodzie, było lato. Drzwi Mii idealnie

pasowały do stojącego wśród zieleni domku. Po sztachetowym płocie piał się kwitnący powój, a wąską ścieżynkę, prowadzącą do rozległej polany pełnej drzew owocowych, okalały nagietki i zioła. Za płotem w blasku słońca pasły się owce. Sielanka. Ucieszyłam się, że siostra miała takie piękne sny. Gdzieś z tyłu dobiegł jej śmiech. Już chciałam podbiec do niej, by ostatecznie przekonać się, że wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek przemieniłam się w ważkę, w razie gdyby ktoś się tu zakradł. Wprawdzie ważka boleśnie przypominała mi sen B, jednak w tej postaci byłam na tyle mała, by nie rzucić się w oczy, a zarazem na tyle duża, by nie zostać pożartą przez któregoś z licznych świergoczących na potęgę ptaków. Ostrożnie poleciałam wzdłuż sznura na białynę, na którym malowniczo suszyło się białe pranie, aż dotarłam do jabłunki, na której zawieszono sporą huśtawkę. Dokładnie taką, o jakiej zawsze marzyłyśmy.

Na szerokiej desce siedziała Mia. A obok niej – ja.

Nie wiadomo dlaczego ubrana byłam w sukienkę balową koloru przydymionego błękitu, którą miałam na sobie na jesiennym balu, i muszę przyznać, że wyglądała na mnie znakomicie. W ogóle przedstawiałyśmy z Mią bardzo ładny widok, kiedy roześmiane siedziałyśmy na huśtawce ramię w ramię. Usiadłam na liściu i przyglądałam się nam ze wzruszeniem.

– A gdybyś musiała zrobić listę dziesięciu najbardziej wstydlivych wydarzeń w moim życiu, to co byłoby na pierwszym miejscu? – zapytała Liv ze snu.

– O, to niełatwe – odparła Mia. – Tyle tego jest.

Zachichotałyśmy. Odrzuciłam zamasyście włosy przez ramię. Z lekkim zażenowaniem zaobserwowałam (to znaczy ja, ważka), jak kretyńsko to wygląda.

– Na pierwszym miejscu byłoby chyba tamto w Hajdarabadzie, kiedy nagle dostałaś w autobusie biegunki i myślałaś, że umierasz na czerwone. – Mia majtała nogami. – Owinęłaś się w ręcznik kąpielowy, żeby nikt niczego nie zauważył...

– O tak, to było straszne – powiedziała Liv na huśtawce, a na jej twarzy wykwitł diaboliczny uśmiech.

Nie wiadomo skąd nadleciał wróbel i zaczął przyglądać mi się

z przekrzywionym łepkiem, jakby się zastanawiał, czy jednak nie zmieszczę się w jego dzióbku. Nie zwracałam na niego uwagi. Nie przejmowałabym się nawet, gdyby był groźnym drapieżnikiem. Bo w tym momencie uświadomiłam sobie coś, co diametralnie zmieniało całą sytuację.

Ten uśmiech – to nie był mój uśmiech. I to nie moje spojrzenie omiatało ogród, by po chwili spocząć z powrotem na Mii.

Osoba siedząca obok mojej siostry na huśtawce nie była częścią jej snu.

Była kimś, kto się przede mnie podszywał.

Z trudem utrzymywałam równowagę. Im dłużej patrzyłam oczami ważki na Liv w sukni balowej, tym mniej wydawała się podobna do mnie. Ziściły się moje najgorsze obawy. Kim, do diabła, była ta osoba? Kto siedział obok mojej młodszej siostry i zadawał jej te wszystkie pytania?

Fałszywa Liv nachyliła się ku Mii i zachichotała.

– A na drugim miejscu?

Ten idiotyczny chichot sprawił, że przebrała się miarka.

Poderwałam się jednym wściekłym uderzeniem skrzydełek, i mijając głodnego wróbla, wystrzeliłam za najbliższą jabłonkę. Tam, ukryta za potężnym pnem, dokonałam metamorfozy.

Kiedy wyłoniłam się z cienia i stanęłam przed huśtawką, Mia i nieprawdziwa Liv popatrzyły na mnie zaskoczone.

– Sherlock Holmes! – zawołała Mia.

– Benedict Cumberbatch – stwierdziła Liv.

Obie miały rację. Byłam Benedictem Cumberbatchem w roli Sherlocka Holmesa.

– Hejka, Watsonie – rzuciłam.

– Hej – wyszeptała Mia w odpowiedzi. Fałszywa Liv musiała sądzić, że Mia wyśniła sobie Sherlocka, znudzona przebiegiem rozmowy. Uśmiechała się z wyraźną wesołością.

Zmierzyłam ją wzrokiem od stóp do głów.

– Kim jest ta osoba? – zapytałam. W normalnej sytuacji świetnie bym się bawiła, zwłaszcza że całkiem nieźle wychodził mi niepowtarzalny niski głos Benedicta Cumberbatcha, teraz jednak byłam

zbyt wzburzona. Kto to, do cholery,
był?

– To moja siostra. Liv. – Mia patrzyła na mnie promiennie.
Posłałam jej typowe spojrzenie Sherlocka.

– Wygląda jak twoja siostra. Prawie można się nabrać. – Wow, ten
głos był naprawdę seksowny.

– Co to ma znaczyć? – zapytała skonsternowana Liv ze snu.

– Ależ moje drogie! – Nabierałam pewności siebie. – Przecież to
widać z daleka. Te sztuczne gesty, głupawy chichot, afektowane
odrzućcie włosów: prawdziwa Liv jest
o niebo bardziej cool niż ty.

– A ty jesteś kompletnie przecenianym kiepskim aktorką
i beztalenciem! – wybuchła rozeźlona Liv ze snu. – Nie pojmuję, co
kobiety w tobie widzą, wyglądasz jak ryba. Gdyby nie ten głos, pies
z kulawą nogą by się za tobą nie obejrzał.

– Ależ Liv! – Mia wlepiła w fałszywą siostrę przerażone
spojrzenie. – Przecież ty jesteś jego największą fanką.

– Właśnie – wtrąciłam i przybrałam swoją prawdziwą postać.

Liv ze snu i Mia jednocześnie zachłysnęły się powietrzem
z wrażenia.

– Przypatrz się nam na spokojnie i powiedz, która z nas jest
prawdziwą Liv – powiedziałam. Niestety, już swoim własnym głosem.

– No, ja tu jestem cały czas – oznajmiła Liv ze snu ze
skonsternowanym uśmiechem. – Za to ty jeszcze przed chwilą byłaś
Benedictem Cumberbatchem.

– Racja – wymamrotała Mia.

– No dobrze – stwierdziłam. – Może nie komplikujmy sprawy: Liv,
pokaż swój *Chuenisbärgli*!

Fałszywa Liv parsknęła śmiechem. Rechotała jak nie ja,
jednocześnie się przepoczwarzając. Jej włosy wydłużyły się, pofalowały
i przybrały ciemniejszy, złotawy odcień, skóra zamieniła w czysty
alabaster, a kolor tęczy ze zwykłego niebieskiego stał się
niezwykłym turkusem.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Czy my nigdy nie
zmądrzejemy na tyle, by przestać nabierać się na jej niewinną minę?

Henry złapał się na jej sztuczki. I ja też jej uwierzyłam.

– Anabel – powiedziałam, mając nadzieję, że mój głos zabrzmiał odpowiednio cierpko do mojego samopoczucia. – Jak to szło? „Ja w każdym razie nie mam z tym nic wspólnego”?

Anabel zsunęła się z huśtawki i stanęła przede mną. Nadal miała na sobie moją suknię. Niestety, wyglądała w niej lepiej ode mnie.

– Naturalnie, że mam z tym coś wspólnego – odrzekła, a na dźwięk jej łagodnego głosu jak zwykle przeszły mnie ciarki. – Któż by inny?

No właśnie, któż by inny? Mia średnio dziwiła się przebiegiem swego snu. Nie wyglądała na zaszokowaną, raczej na zaintrygowaną.

– Ale... – Patrzyłam na Anabel. Jak ona to zrobiła? W jaki sposób dostała się do snu Mii? – Jesteś zamknięta w tej klinice. Daleko od Londynu. Jak weszłaś w posiadanie jakiegoś przedmiotu Mii?

Prawa powieka Anabel drgnęła.

– Dysponuję środkami i sposobami, o jakich nie masz pojęcia. – Czy ona zawsze była taka wysoka? – Zresztą jak na osobę, która tak doskonale opanowała metamorfozę, zdumiewająco mało wiesz.

– Uśmiechnęła się słodko. – Muszę cię skomplementować za Benedicta Cumberbatcha. Sama lepiej bym tego nie zrobiła.

Nie, nie, nie.

Coś było nie tak.

Wzrost. I coś jeszcze, jakiś drobiazg, który widziałam całkiem niedawno, to...

– Ty nie jesteś Anabel! – powiedziałam powoli. Lodowata pewność podpełzła mi do gardła, niemal je zaciskając. – Twoja powieka. Wczoraj, kiedy staliśmy przy mojej szafce, drgała w taki sam sposób...

Można było odnieść wrażenie, że umilkły nawet ptaki.

– Arthur! – wyszeptałam, a w nagłej ciszy jego imię zabrzmiało jak krzyk.

– Cholera – rzuciła Anabel głosem Arthura. – Jesteś naprawdę dobra.

Tym mianem uzupełniła o kolejną pozycję listę nazwisk, jakie przypisała Lottie. Aktualny stan listy: 1) Panna Eee, 2) Panna Whistlewhistle, 3) Panna Whistlepooper, 4) Panna Whistle-Hitler, 5) Panna „trudno-dziś-o-dobry-personel”, 6) Panna Whistlehooper. [\[wróć\]](#)

I niech mi ktoś powie, że rodzinna dysharmonia wpływa niekorzystnie na intelektualny rozwój dzieci: w naszym przypadku skutkowało ona gwałtownym wzbogaceniem słownictwa. [\[wróć\]](#)



Stał przede mną Arthur, piękny jak anioł. Nagle wydało mi się to tak oczywiste, że aż się zdziwiłam, że nie przejrzałam go od razu.

– Ach, Liv, chyba nie myślałaś poważnie, że znowu jesteśmy przyjaciółmi, co?

Owszem. Nie. Nie do końca. Uwierzyłam w rozejm.

– Więc to byłeś cały czas ty. – Nie potrafiłam ukryć, jak bardzo mnie to dotknęło, i za to byłam na siebie zła. Dodałam szybko:

– Zapomniałeś zdjąć sukienkę.

Z satysfakcją obserwowałam, jak Arthur z przestachem patrzy po sobie. Oczywiście nie miał już na sobie sukienki, tylko czarne dżinsy i czarny T-shirt z długim rękawem, w których wyglądał po prostu perfekcyjnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby na plecach rozwinął parę potężnych, czarnych anielskich skrzydeł.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – powiedział. – I, owszem, to cały czas byłem ja. Bez trudu dało się wyprowadzić w pole twoją siostrzyczkę. Nie ma szczególnie skomplikowanej osobowości, wręcz przeciwnie.

– Hej! – wykrzyknęła urażona Mia.

– To był komplement – zwrócił się do niej Arthur. – Jesteś

cholernie prostolinijna jak na dziewczynę. Pewnie z tego wyrośniesz.

Mia bez zachwytu zmarszczyła czoło.

– Więc szpiegowałeś ją, żeby pozyskiwać informacje dla Secrecy?
– Naprawdę starałam się włożyć w swój ton trochę wyższości, ale na próżno. Zdawałam sobie sprawę, że z całą pewnością nie był to jedyny powód.

Arthur uśmiechnął się, słysząc drzenie w moim głosie.

– Wiedziałem, oczywiście, że to cię zrani, kiedy cała szkoła pozna twoje tajemnice, ale to był tylko zabawny efekt uboczny.

– Lunatykowanie...

– Lunatykowanie... – przedrzeźniał mnie. – Tak, lunatykowanie. Genialne, co? Zajęło mi wiele tygodni, zanim wybadałem, jak to zrobić. I muszę powiedzieć, że to nie u każdego działa. Zdaje się, że konieczne są pewne wrodzone skłonności. Które u twojej siostry na szczęście występują. – Zrobił małą przerwę. Ptaki wciąż milczały, a słońce przykrył przymglony welon. – To przerażająca wizja, że mogłaby tak po prostu któreś nocy wstać i powiesić się w szopie na narzędzia, prawda?

Zacisnęłam kurczowo palce.

– Arthur, Mia nic ci nie zrobiła...

– No, to prawda. Biedulka. Musi cierpieć, bo ma za siostrę ciebie, co za pech. – Przypatrywał mi się uważnie, a w jego głosie zabrzmiała nienawiść. – Tę spryculę, małą, dzielną Liv, która owinęła sobie wokół palca Henry'ego i Graysona. I która tak im zaimponowała tym swoim kung-fu...

– Nadal jesteś na mnie zły.

– Zły? – wpadł mi w słowo. Nie wydawał się już rozbawiony, wręcz przeciwnie, jego oczy pałały czystym gniewem. Mimowolnie cofnęłam się o krok. – Zły? – powtórzył. – Może i byłbym zły, gdybyś zarysowała mi samochód. Albo gdybym pożyczył ci iPada, którego byś gdzieś posiała. Nie jestem na ciebie zły, nigdy nie byłem. Ja cię nienawidzę!

OK. Teraz wszystko jasne.

– Zniszczyłaś moje życie, Liv Silver. Unicestwiłaś wszystkie moje plany. To przez ciebie nie jestem już z Anabel, przez ciebie straciłem

wszystkich przyjaciół. I przez ciebie nadal mnie boli, kiedy jem.

To ostatnie zdanie prawie wykrzyczał. Całe jego opanowanie gdzieś się ulotniło, a Mia, zalękniona, aż się zsunęła z huśtawki i stanęła obok mnie.

– Złamałaś. Mi. Pieprzoną. Szczękę – ciągnął nieco ciszej, jakby nadal nie mieściło mu się to w głowie.

– Poważnie? Ty to zrobiłaś? – zapytała Mia. – Secrecy pisała, że to był wypadek.

– Tak. Wypadek imieniem Liv Silver – odparł cierpko Arthur.

Nie miało sensu przypominać mu okoliczności, które do tego doprowadziły. Słońce przysłoniła ciemna chmura. Za nią nad owczą łączką nadciągały kolejne. Zbierało się na letnią burzę. Z niepokojem obejrzałam się na domek. Chyba najwyższa pora wyjść na korytarz i powiedzieć o wszystkim Graysonowi i Henry’emu.

Przedtem chciałam się jednak dowiedzieć jednego.

– Jak...? – zaczęłam, ale Arthur nie dał mi dokończyć.

– Mam nadzieję, że nie chcesz zapytać dlaczego, Liv? To całkiem proste: zamierzam przestać dopiero wtedy, kiedy tobie będzie gorzej niż mnie. Dlaczego miałabyś mieć przyjaciół, skoro ja utraciłem swoich? Dlaczego miałabyś żyć w szczęśliwym związku, skoro ja nie mogę?

Z burzowej chmury na horyzoncie wystrzeliła błyskawica, a chwilę potem głośno zagrzmiało. Zawirowały liście. Nie było już widać owiec, a i ptaki gdzieś się pochowały. Dość już wysłuchałam. Odwróciłam się do wyjścia.

Nie uszłam daleko. Przede mną zapadła się ziemia i w ciągu sekundy powstał szeroki, głęboki dół.

– Trzęsienie ziemi! – krzyknęła Mia i chwyciła mnie za rękę.

Z zapadliny buchnęła gorąca para. Niebo całkowicie zaciągnęło się chmurami.

– To nie jest trzęsienie ziemi – stwierdziłam i popatrzyłam z wściekłością na Arthura. – Poważnie, Arthur? Apokalipsa? To wszystko, na co cię stać?

– Mnie tam się podoba. – Parsknął śmiechem. – Głównie dlatego, że z wielką radością patrzę na twoją porażkę. A to tylko sen. Jak myślisz, jak bardzo bezradna się poczujesz, kiedy utracisz siostrę w realnym

świecie? Kiedy wstanie nocą, żeby rzucić się pod rozpędzony samochód. Albo...

Wąwóz rozwierał się coraz szerzej. Jedna z jabłonek znikła w nim z głośnym trzaskiem i pociągnęła za sobą sznurek wraz z malowniczym białym praniem.

– Ach, czekaj. Chciałaś apokalipsy. – Arthur pstryknął palcami i z zapadliny wypęzł wielki żółty wąż. Mia wrzasnęła.

– Przestań – zaapelowałam i skupiając się maksymalnie, zamieniłam węża w cytrynowego motylka. Odleciał, trzepocząc skrzydełkami.

Arthur zaśmiał się krótko i wyczarował kolejne dwa węże. Tym razem nie zdołałam przeistoczyć ich w nic innego. Wystraszona Mia trzymała się mnie kurczowo. Tymczasem ziemia pękała, tworząc rozpadliny zbyt szerokie, by je przeskoczyć.

– Potrzebowałeś przecież jakiegoś osobistego przedmiotu...
– Skoro nie udawało mi się zapanować nad jego imaginacjami, to może przynajmniej zdołam odwrócić jego uwagę. Próbowałam oddychać spokojnie, co wcale nie było łatwe, bo na mojej skali grozy węże plasowały się tuż za pajakami. Gady, wijąc się, pełzły na nas, choć bardzo powoli.

Oczy Arthura zabłyśły.

– To było całkiem proste! – Uniósł rękę i pokazał rękawiczkę w szare kropki.

– Och – zdumiała się Mia, na chwilę zapominając o wężach.
– Moja ulubiona rękawiczka! Zgubiłam ją. – I na nowo skierowała uwagę na gady. – O ile się nie mylę, to są pytony tygrysie albinosy. Uciekamy na drzewo? Czy poleżą za nami?

– Akurat, zgubiła. Wyjąłem ją z jej kieszeni. – Arthur błysnął uśmiechem. – I prawie co noc wkładam ją do spania.

– Iiii – pisnęła Mia. – To takie... perwersyjne, nie sądzisz?

Kolejne drzewo owocowe z głośnym trzeszczeniem, pojękiwaniem i przy odgłosie łamanych gałęzi zapadło się w otchłań jaru, a po łące, na której staliśmy, sypnęło iskrami.

– Mogłabyś się teraz obudzić – powiedziałam do Mii, gorączkowo

zastanawiając się, co byłabym w stanie zrobić. Może przerzucić przez wąwóz jakiś most, po którym przeszłybyśmy do domku? Albo jeszcze lepiej, mogłabym zamienić się w wielkiego drapieżnego ptaka, capnąć Mię i...

– Jesteś dość kiepska, kiedy działasz pod presją, Liv – rzucił Arthur i stworzył kolejną rozpadlinę, tym razem przebiegającą dokładnie pomiędzy moimi nogami. – Muszę powiedzieć, że czuję się troszeczkę rozczarowany.

Uskoczyłam na bok, ale na nic się to zdało. Szczelina z ogłuszającym łoskotem rozwierała się centymetr po centymetrze, a nasza wysepka zmniejszała się coraz bardziej. Za chwilę nieuchronnie runę w przepaść. A Mia ze mną.

W tym momencie pojaśniało. Burzowe chmury odpłynęły tam, skąd przyszły, a na niebie ponownie zabłysło słońce.

Pęknięcia w ziemi zaczęły się zwierzać jedno po drugim.

W twarzy Arthura coś drgnęło. Widziałam, jak się koncentruje. Na moment jakby wszystko zamarło, zastygło w bezruchu, nawet węże znieruchomiały.

I sekundę później znikły, a na ich miejscu pojawiły się puchate żółte kurczaczki. Podreptały, popiskując, po łące, podczas gdy krawędzie jarów przesuwały się ku sobie, pokrywając się trawiastymi bliznami, jakby nigdy nie istniały.

– O, jakie słodkie – zaszczębiotała Mia. Odetchnąwszy z ulgą, rozejrzałam się dokoła.

– Henry! – warknął Arthur.

– Henry – zawtórowałam mu. Nie mogłam się powstrzymać, musiałam wypowiedzieć jego imię i już tylko to spowodowało, że poczułam się o wiele lepiej. Najchętniej uściskałabym go, kiedy tak stał na obsadzonej kwiatkami

ścieżce, z rękoma w kieszeniach spodni, jakby nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Uśmiechał się do mnie. Mogłabym go ucałować za te kurczęta. Co oczywiście nie wchodziło w grę.

– To był Arthur. To był cały czas on – poinformowałam go. Arthur zawtórował mi, małpując mój oskarżycielski ton:

– Tak, to był cały czas Arthur. I to Arthur sprawi, że Liv w końcu odejdzie ochota do śmiechu.

Henry podszedł o krok bliżej. Wyraz nonszalancji na jego twarzy ustąpił miejsca niekłamanemu napięciu.

– Żałuję każdej minuty, którą z tobą spędziłem, Arthur – powiedział powoli. – Tylko nie wyobrażaj sobie, że ufałem ci choćby przez sekundę. Co chcesz przez to osiągnąć?

– Nie zawsze we wszystkim musi być jakiś cel. – Arthur mierzył go nienawistnym wzrokiem. – Wystarczy mi satysfakcja. Kiedy Liv będzie cierpieć, tak jak ja cierpiałem. Kiedy straci wszystko, co kocha. – Zaśmiał się na bezdechu. – Chociaż w waszym przypadku wydarzenia potoczyły się idealnie, i to bez mojego udziału. Miło z twojej strony, Henry, że odprawiłeś ją z kwitkiem. Coś mi się zdaje, że mocno jej to dopiekło, prawda, Liv?

Tak. Miał niestety rację.

Henry zerknął na mnie, a potem odwrócił się z powrotem do Arthura.

– Kataklizmy... węże... Twój repertuar w ogóle się nie zmienił – powiedział. – A ja nadal mogę cię unicestwić we śnie.

On też miał rację. Brakowało tylko białego wierzchowca (jak wspaniale komponowałyby się z moją koszulą nocną).

Arthur skinął lekko głową.

– Może – przyznał. – Ale, Henry, wierz mi, ja to dokończę. Tak czy siak. Nikt nie odbierze mi mojej zemsty. – Wskazał na Mię, która wzięła do ręki jedno z piskląt i głaskała je wniebowzięta. Nie chciałam, żeby mówił dalej, ale nie wiedziałam, jak go przed tym powstrzymać. Uśmiechał się i był to najbardziej złowrogi uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam. – Popatrzcie na moją małą marionetkę – rzekł. –

Chyba zdajecie sobie sprawę, że nie możecie jej pilnować non stop, każdej nocy, prawda? Mogę z nią zrobić wszystko. Wszystko! W każdej chwili. – Poszukał wzrokiem drzwi Mii. – Mogę zakończyć to bardzo szybko, ale równie dobrze mogę jeszcze poczekać. – Niedbale prześliznął się po mnie wzrokiem. – Czekanie może być niekiedy strasznie nużące, Liv. Tak, myślę, że pokontempluję to trochę. – Zaśmiał

się znowu. – Prawdę mówiąc, już teraz kontempluję. Szkoda, że nie możecie widzieć swoich twarzy. Jak powoli, nieuchronnie zaczynacie uświadamiać sobie, że nie możecie nic, ale to nic działać przeciwko mnie.

Przygryzłam wargę. Miał rację – czułam się kompletnie bezradna i wyzuta z jakichkolwiek pomysłów. Nie dało się stawić czoła takiemu ogromowi zła.

– Z przyjemnością będę przyglądał się, jak cierpisz, Liv
– oświadczył uroczyście Arthur.

– A ja z przyjemnością udaremnię każdy twój krok – zripostował Henry.

– Żebyś się tylko nie przeliczył, mój przyjacielu. – Jednym susem Arthur przeskokczył łąkę i wylądował pod drzwiami Mii. – A teraz wybaczcie. Muszę jeszcze donieść Secrecy, jak Liv obsrała w Hajdarabadzie cały autobus.

Zaczekaliśmy, aż drzwi się za nim zamkną, i popatrzyliśmy po sobie.

– On jest obłąkany – powiedziałam. – Dokładnie tak jak Anabel.

– Nie jest – zaprzeczył Henry i podszedł bliżej. Przez chwilę myślałam, że zamierza mnie objąć, ale na szczęście w ostatniej chwili zreflektowałam się, że tylko chciał wyjąć z moich włosów listek. – Jest opętany żądzą odwetu egocentrykiem, który nie potrafi uczyć się na własnych błędach. Jego próżność nie może przeboleć, że został znokautowany jednym ciosem przez dziewczynę.

– Kopniakiem – sprostowałam.

Henry uśmiechnął się lekko.

– Niech będzie kopniakiem. – Wysupłał mi z włosów więcej liści, choć wcale ich tam nie było.

– Boję się – szepnęłam. – On chce, żeby Mia zrobiła sobie krzywdę. Widziałam, że to działa. Niewiele brakowało, a wyskoczyłaby z okna.

– Nie dojdzie do tego, Liv, obiecuję. Ja... my... – Sięgnął po moją rękę i ścisnął ją. – Coś wymyślimy.

Nie mam pojęcia, jak by się to skończyło, gdyby łąka nie zapadła się w tym momencie pod naszymi nogami i nie zapanowała ciemność.

Przez ułamek sekundy czułam jeszcze dłoń Henry'ego, a potem runęłam w otchłań bez dna.



Otworzyłam już co najmniej dziesiątę drzwi i przemierzyłam dziesiąty pokój. Tak jak w poprzednich pomieszczeniach, widziałam drzwi we wszystkich czterech ścianach i nie miałam pojęcia, dokąd właściwie biegłam.

Przystanąłam zdyszana. Moje serce biło tak mocno, że czułam je aż w krtani, dłonie były wilgotne od potu, a mięśnie nóg bolały. Chociaż dobrze wiedziałam, że to tylko sen. Tyle że nie mój, a Mii.

– Mia? – zawołałam, a mój głos odbił się echem od ścian. – Gdzie jesteś?

Bez odpowiedzi. Skądś dobiegł tylko cichy śmiech.

Wzięłam się w garść i ruszyłam przed siebie. Wybór drzwi naprzeciwko mógł być równie dobry lub równie zły jak każdego innych. Prowadziły do kolejnego pustego pomieszczenia z drzwiami, które prowadziły do następnych pomieszczeń z drzwiami i tak bez końca, o czym doskonale wiedziałam. Miałam poczucie, jakbym błądziła w tym labiryncie całą wieczność. Mijały drogocenne minuty, a ja niczego bardziej nie pragnęłam, jak tylko w końcu się obudzić. Ale nie potrafiłam, chociaż rozpaczliwie próbowałam.

Dlaczego w ogóle zasnęłam? Wcale tego nie chciałam. Miałam zamiar całą noc czuwać i pilnować Mii.

Wczoraj, kiedy jej sen się zapadł, a ja obudziłam się zdyszana i spanikowana, Mia patrzyła na mnie z nosem oddalonym od mojego zaledwie o parę centymetrów.

– Obudziłaś mnie – poskarżyła się. – Od kiedy tak się rzucasz we śnie?

Usiadłam. Światło latarni skąpo oświetlało pokój, wszystko wyglądało tak, jak powinno.

– Uszczypnij mnie – zażądałam.

– Co?

– Masz mnie uszczypnąć! – Podsunęłam Mii ramię.

– Z przyjemnością – powiedziała.

– Au! Nie tak mocno! – Będzie siniak. Bogu dzięki. Naprawdę nie spałam. Byłam w prawdziwym życiu w prawdziwym pokoju Mii. Na zewnątrz nie świeciło tropikalne słońce i nie wrzeszczały małpy.

– Au! Wystarczy już! – Mia zaatakowała drugi raz.

– To za to, że mnie obudziłaś. – Popatrzyła na budzik. – O nie, za pół godziny musimy wstawać.

– Pamiętasz, co ci się śniło?

– Zanim mnie obudziłaś tym miotaniem się? – Mia roztrzepała poduszkę, przywracając jej właściwy kształt, i ułożyła się wygodnie.

– Nie, nie do końca. Jakies bzdury z węzami... i ty chyba też...

– I Arthur, prawda?

– Arthur Hamilton? – powtórzyła Mia z oburzeniem. – Ten koleś, na którego widok wszystkie dziewczyny z mojej klasy wzdychają synchronicznie? Dlaczego miałabym o nim śnić? Wygląda jak ktoś, kogo zdjęcie w dzieciństwie o jeden raz za dużo pojawiło się w reklamie sucharków. Mogłybyśmy jeszcze chwilę pospać?

– Naprawdę nie pamiętasz swojego snu? Trzęsienia ziemi? Benedicta Cumberbatcha?

Mia zamknęła oczy.

– Przykro mi, jeśli śniło ci się trzęsienie ziemi. Jeśli to się powtórzy, spróbuj zapanować nad swoimi łokciami, dobrze? I nie miotaj się tak... – Jej słowa zniknęły w niewyraźnym mamrotaniu.

– Mia...

– Chcę spać. Wkurzasz.

Westchnęłam.

– Przepraszam. Ale jeśli przyśni ci się Arthur, to... to się natychmiast obudź, słyszysz?

Mia burknęła coś tylko. Sekundę później zaczęła pochrapywać.

Henry mówił, że nie ma się co zamartwiać. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Choć groźby Arthura z perspektywy dnia wydawały się już nieco mniej zatrważające, to zdawałam sobie sprawę, że on traktował to śmiertelnie poważnie. A my nie mogliśmy nic zrobić. Albo niewiele.

Nawet jeśli Henry był odmiennego zdania, według mnie Arthur powinien znaleźć się w szpitalu psychiatrycznym razem z Anabel. Tylko jak sprawić, żeby go tam zamknęli? Jeśli powiemy, że potrafił w snach sterować Mią jak marionetką, bo ukradł jej rękawiczkę, to sami trafimy do psychiatrii. Jediną osobą, która mogła nam uwierzyć, był senator Mort alias doktor Otto Martenson, ale on sam był psychopata.

Jeszcze o jednym nie pomyślałam: nawet gdyby Mii coś się stało, Arthura nie można byłoby o to obwinić. W końcu w tym czasie leżałby we własnym łóżku i spał. Nikt nie wpadłby na to, że to on maczał w tym palce.

Z drugiej strony, jeśli Mii coś by się stało, ta kwestia i tak nie miałaby znaczenia.

Grayson zbladł ze złości, kiedy dzisiaj rano w szkole opowiedzieliśmy mu, co się stało we śnie Mii. Jego pierwszą reakcją była chęć spuszczenia łomotu Arthurowi. Chwilę trwało, zanim przyznał, że niewiele by to pomogło – w końcu Arthur i tak mógłby dalej spać i śnić. I pałałby jeszcze większą żądzą zemsty.

Pomijając to, od wczoraj Arthur jakby zapadł się pod ziemię. Nie przyszedł na zajęcia, nikt go nie widział, a w jego telefonie włączała się poczta głosowa. To napełniało mnie jeszcze większym strachem.

– Mii nic się nie stanie – powtarzał Henry po raz setny, żeby mnie uspokoić, ale bez powodzenia. Każde wczorajsze słowo Arthura wciąż na nowo rozbrzmiewało w mojej głowie, jak natrętna piosenka, od której nie sposób się uwolnić. „Wszystko mogę z nią zrobić. W każdej chwili.

Kiedy wstanie nocą, żeby rzucić się pod rozpędzony samochód... To przerażająca wizja, że któreś nocy mogłaby tak po prostu wstać i powiesić się w szopie na narzędzia, prawda?”

Nie widziałam wyjścia z tej sytuacji. Nie mogłyśmy wiecznie spać związane niczym biedne robocze słonie w Indiach. I skąd pewność, że Mia nie rozwiąże skakanki, kiedy będę spała?

Najlepiej byłoby, gdybym czuwała bez ustanku. Tylko że wprowadzenie tego w życie było tak samo niemożliwe jak skierowanie Arthura do szpitala. Nikt na dłuższą metę nie mógł funkcjonować bez snu.

Ja w każdym razie, jak się okazało, nie wytrzymałam nawet jednej nocy pomimo trzech podwójnych espresso, które wypiałam przed dziesiątą, i pomimo że nie położyłam się spać razem z Mią, tylko usiadłam oparta plecami o jej łóżko. Pożyczyłam od Ernesta jakiś thriller, co jednak nie było dobrym pomysłem. Książka potwierdziła jedynie, jak bezgranicznie zły był ten świat. Kiedy trzecia ofiara seryjnego mordercy została pogrzebana żywcem, a ja czułam się tak samo bezradna i wiedziałam równie mało jak prowadząca śledztwo komisarz, Mia poskarżyła się na światło. Niechętnie, ale i z pewną ulgą zamknęłam książkę i zgasiałam lampkę nocną. I tak domyślałam się, jaki będzie koniec. Przepiękna młoda komisarz sama zostanie pogrzebana żywcem w skrzyni, ale oczywiście w porę ją uratują. Za to przez resztę życia będzie odczuwała lęk przed ciemnością.

Przyglądałam się na przemian śpiącej Mii i cyfrom budzika. Wreszcie, gdzieś między drugą dwadzieścia i drugą dwadzieścia dwie, musiałam chyba zasnąć. Bo inaczej nie błędziłabym teraz bezradnie po labiryncie pokoi, powoli popadając w desperację. Raz jeden wydało mi się, że rozpoznaję po rozmieszczeniu drzwi jakiś pokój, ale przecież byłam w labiryncie we śnie, więc przypuszczalnie i tak nie miało sensu doszukiwać się w nim logiki.

Dlaczego, na litość boską, nie mogłam się obudzić? Gdyby tak przyszedł Spot i wskoczył na łóżko. I dlaczego nie dzwonił budzik Mii? Nastawiłam go tak, by dzwonił co godzinę, na wypadek gdybym zasnęła.

Nie pamiętałam już dokładnie, o czym śniłam na początku, był to jednak w miarę spokojny sen o słoniach i małpach. Ale kiedy odkryłam

swoje zielone drzwi i uświadomiłam sobie, że kofeina nie zadziałała, w panice wypadłam na korytarz.

Uzbrojony w śrutówkę Grayson, stojący pod drzwiami Mii, podskoczył jak oparzony, kiedy trzasnęły za mną drzwi.

– Czy ty przypadkiem nie planowałaś, że w ogóle nie położysz się spać?

– Owszem – zawołałam z rozpaczą. – Mimo to zasnęłam, a teraz nie mogę się obudzić. Spoliczkuj mnie. Najmocniej jak potrafisz.

– Wątpię, czy to pomoże. Poza tym nie biję dziewczyn. – Grayson patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Uspokój się, Liv. Wszystko w porządku. Poszedłem spać na długo przed Mią i wierz mi, Arthura nie było. Za to w każdej chwili powinien zjawić się Henry. Umówiliśmy się pod drzwiami Mii. Powiedział, że znalazł pewien sposób, by powstrzymać Arthura, i to raz na zawsze.

Odetchnęłam głęboko.

– Gdybym umiał, wyimaginowałbym ci herbatkę na uspokojenie – rzucił Grayson.

– Dlaczego ten głupi budzik nie dzwoni? – Próbowałam przypomnieć sobie, na którą godzinę go nastawiłam. Na trzecią? A może wpół do czwartej? – Powinnam opowiedzieć o wszystkim Mii, żeby sama mogła się bronić.

– W żadnym razie. Nie pomogłabyś jej w ten sposób, tylko naraziła być może na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Nie pamiętasz, jak było z tobą? Jak długo trwało, zanim w ogóle zaakceptowałaś myśl, że to miejsce istnieje? I jeszcze dłużej, zanim byłaś w stanie sterować snami według własnych wyobrażeń? – Grayson westchnął. – Ja nie opanowałem tego do dziś. – Wskazał na śrutówkę. – To miał być czadowy karabin maszynowy. A wyszło mi to. Dziadek chodził z taką fuzją polować na kaczki, kiedy miałem dziewięć lat.

Nie mogłam powstrzymać nikłego uśmiechu.

– I Henry naprawdę ma jakiś plan?

– Tak, był dość zdeterminowany. Gdzie on się podziewa?

– No właśnie, gdzie? – Jęknęłam i popatrzyłam wzdłuż korytarza. Arthur miał rację: czekanie było najgorsze. Czekanie i niepewność. Były druzgocące.

– Na miejscu Arthura nie uderzyłabym tej nocy – powiedziałam bardziej do siebie niż do Graysona. – Jutro ani w przyszłym tygodniu też nie. Po co się śpieszyć? On może sobie czekać, aż wszyscy zwariujemy ze strachu.

– Nie znasz go wystarczająco dobrze. Cierpliwość nie należy do jego mocnych stron. Po co ma czekać i ryzykować, że Henry w tym czasie znajdzie jakiś sposób, by go unieszkodliwić.

– To prawda – usłyszeliśmy głos Arthura. Zmaterializował się nie wiadomo skąd tuż przed nami. Przeraziłam się tak bardzo, że nawet nie miałam czasu wstrzymać oddechu. – Poza tym kto powiedział, że od tej pory nie będę uderzał co noc?

– Po moim trupie – odrzekł Grayson i złożył się do strzału.

Arthur parsknął śmiechem.

– To były czasy, kiedy chodziliśmy z twoim dziadkiem polować na kaczki, co, Grayson? Pamiętam te kraciaste czapki, które kazał nam wkładać. Pamiętam też, że miałeś wtedy ogromne trudności z naciskaniem spustu, bo strasznie ci było żal kaczek. A ja nie jestem kaczką.

– Nie jesteś – zgodził się Grayson i wystrzelił. Śruciny nie poleciały daleko; wypełzły z lufy w superzwolnionym tempie, zawisły w powietrzu przed Arthurem i opadły na ziemię. Wymieniliśmy z Graysonem przerażone spojrzenia.

Gorączkowo przejrzałam w myślach nasze możliwości. Mogłam wyimaginować Mr Wu. Albo spróbować sama zaatakować Arthura. Miałam jeszcze raz złamać mu szczękę, tym razem we śnie? Mogłabym grać na zwłokę, dopóki...

– Gdzie się podziewa Henry, kiedy jest potrzebny? – zapytał Arthur. Widać było, że wyjątkowo dopisuje mu humor. Tak jak poprzedniej nocy ubrany był na czarno i odnosiło się wrażenie, że aż promienieje wewnątrz. O ile istniało coś takiego jak mroczne światło.

Mogłam też... skapitulować.

– Arthur, proszę – powiedziałam, wkładając w te słowa maksimum szczerości. – Przepraszam, że cię... że zrobiłam ci krzywdę. Przepraszam, że przeze mnie cierpiełeś ból... i miałeś przykrości. Jest mi bardzo przykro z powodu tego wszystkiego.

– Nie, nie jest – zaprzeczył Arthur i wyciągnął rękę.

Nagle w korytarzu powiało lodowatym chłodem. Ściany, podłoga i drzwi w ułamku sekundy pokryły się szronem, kryształki lodu osiadły nawet na moim T-shircie, a włosy Graysona poszarzały od szadzi.

– Ale i tak fajnie słyszeć, kiedy to mówisz. Lubię, jak tak skamlesz. Może powinnaś jeszcze paść na kolana?

Jak on to robił? Nawet nie poruszał rękoma. Był niesamowicie dobry.

Podłoga przypominała tor łyżwiarski. Zaczęłam szczekać zębami. Mój oddech przemieniał się w powietrzu w białe obłoczki.

Musiałam... gorąco... ogień... Boże, co za ziąb!

– Jesteś... – zaczął Grayson, ale nie dokończył. Lód w okamgnieniu wspiął się po jego nogach, pokrywając go grubą, szklistą warstwą, która kompletnie go unieruchomiła. Zastygł z wyrazem przerażenia na twarzy jak zamrożony posąg.

Arthur uśmiechnął się z zadowoleniem.

– A teraz ty – powiedział i zwrócił ku mnie swą anielską twarz. Naprawdę nie wierzyłam w istnienie demonów? Arthur może i nie miał pochodzenia starobabilońskiego, ale był demoniczny, bez dwóch zdań.

Jak mogłam dopuścić myśl o kapitulacji? Musiałam walczyć, to była jedyna odpowiedź na zło drzemące w Arthurze. Tylko że na to było już za późno, moje stopy zostały uwięzione po kostki w lodzie. Ziąb przenikał mnie do kości, na wskroś. Nie byłam w stanie nawet pomyśleć o ogniu.

Jedyne, co mogłam jeszcze robić, to gapić się na Arthura.

– Arthur, proszę cię – wyszeptałam zdrewniałymi, sinymi z zimna ustami. – Nie rób nic mojej siostrze. Nie rób jej krzywdy.

Tylko się zaśmiał.

– Możesz ogrzewać się gorącymi myślami, dopóki nie wrócę – rzekł, otworzył drzwi Mii i zniknął w jej śnie, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem.

Obok mnie zamrożony Grayson rozpadł się z paskudnym brzękiem na tysiące drobniusiękich odłamków lodu. Zaścięłały podłogę, lśnią w mętym świetle. Po Graysonie nie został nawet ślad.

O Boże! Musiałam coś zrobić! Liczyła się każda sekunda.

Usiłowałam wziąć się w garść i zebrać myśli, wmawiałam sobie, że imaginacje Arthura nie mogą mieć nade mną władzy teraz, kiedy sobie poszedł. Ułynęła co najmniej minuta, zanim w końcu udało mi się stopić lód i przywrócić ciału normalną temperaturę. Mijały drogocenne sekundy, podczas gdy Mia była narażona na niebezpieczeństwo, mnie zaś nie przychodził do głowy żaden pomysł. Wreszcie poczułam, że mogę poruszyć małym palcem, potem dłonią i w końcu całym ciałem. Henry'ego nadal nie było. W ślad za Arthurem wśliznęłam się do snu Mii.

I teraz w nim byłam. Biegałam z pokoju do pokoju przez niezliczone drzwi, a czas przeciekał mi przez palce.

Dlaczego nie mogłam po prostu się obudzić?



Apatycznie otworzyłam kolejne drzwi. Przestałam biec, nie miało już znaczenia, w jakim tempie gnałam przez sen Mii, to się nigdy nie skończy, obojętne, w którym kierunku pójdę.

Tym razem nie znalazłam się w kolejnym pustym pomieszczeniu, tylko w pokoju Mii.

Wycieńczona, przez jedną cudowną sekundę myślałam, że się obudziłam, ale szybko zdałam sobie sprawę, że wówczas nie widziałabym przy łóżku Mii siebie, na wpół siedzącej, na wpół leżącej.

Mia zajmowała miejsce u boku Liv i rozmawiała z kimś, kto stał przy oknie.

Grayson. Trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się ciepło do mojej siostry.

Zanim odwrócił głowę w moją stronę, wiedziałam już, że to nie Grayson. Oczywiście, że nie.

– Przychodzisz w samą porę – odezwał się Arthur głosem Graysona. Wyraźnie na mnie czekał. – Szkoda, że jesteś tylko obrazem na ścianie i nie możesz nic zrobić, a jedynie patrzeć.

– To nieprawda! – chciałam zaprzeczyć, ale słowa uwięzły mi

w gardle. Ze zdumieniem popatrzyłam po sobie. Moje ręce składały się z licznych drobnych pociągnięć pędzlem, farbą w cielistym kolorze. Byłam namalowana, a kiedy uniosłam głowę, moja postać znieruchomiała dokładnie w tej samej pozie jak przed chwilą, gdy zostałam skuta lodem. Tym razem zastygłam w farbie olejnej.

– Ciii! – Arthur-Grayson pokręcił z przyganą głową. – Obrazy nie mówią. Ale miło pracować z kimś, kto ma większą fantazję ode mnie.

Zaopatrzył mnie w grubą złotą ramę i powiesił na ścianie obok drzwi, a wszystko to zrobił, nie ruszając się ze swojego miejsca przy oknie. Odbyło się to błyskawicznie. Mia nawet na mnie nie spojrzała, ba, nawet nie zauważyła, że weszłam do środka.

– Hm. – Arthur przyglądał mi się karmelowymi oczami Graysona. – Bardzo ładnie. Jak go nazwiemy? *Dziewczyna w strachu*? Albo nie, lepiej tak: *Dziewczyna, pokonana*. Olej na płótnie. Wspaniale.

Nie jestem obrazem. W moich żyłach płynie krew. To tylko sen, mogę być, czym tylko zechcę. Nie jestem obrazem.

Ale byłam obrazem, pokonana i niezdolna do ruchu, skazana na słuchanie, jak Arthur zwraca się do Mii.

– Wiesz, piętro wyżej jest tajemny pokój – powiedział ujmującym tonem. – Poprzedni właściciele zostawili w nim kilka naprawdę zagadkowych przedmiotów. Nie mam pojęcia, do czego mogą służyć.

Mia zainteresowała się natychmiast.

– Mogę zobaczyć? – zapytała, chcąc wstać z łóżka.

– Uważaj. – Grayson wskazał na jej nogę. – Najpierw musisz rozwiązać skakankę, inaczej obudzisz Liv...

– A, racja. – Mia popatrzyła z powątpiewaniem na śpiącą Liv. – Ona też pewnie bardzo chciałaby zobaczyć ten pokój. Może ją obudzimy?

– Moglibyśmy – powiedział Grayson-Arthur i łypnął na mnie szyderczo. – Ale wygląda na skonaną. Może pozwólmy jej spać i pokażemy jej pokój później. Ty pierwsza zabezpieczyłabyś dowody...

O Boże. Naprawdę dobrze ją poznał w snach.

– Racja. – Mia zaczęła rozwiązywać supeł na kostce, a ja ani przez chwilę nie wątpiłam, że dokładnie to samo robiła na jawie, tylko z pustym spojrzeniem lunatyczki, a więc praktycznie ślepa. Zawiązałam

skakankę na dwa leżące jeden nad drugim węzły krzyżowe, ale ich rozsoplanie zajęło Mii zaledwie kilka sekund.

To oznaczało, że teraz nie byłyśmy ze sobą związane, więc nie obudzę się pod wpływem szarpnięcia sznurka. Arthur bez przeszkód mógł zwabić Mię na górę.

Dlaczego ten przeklęty budzik nie dzwonił? Intuicja mówiła mi, że upłynęła więcej niż godzina. Ale może się myliłam?

Próbowałam hipnotyzować budzik swymi namalowanymi oczami. To był błąd, bo Arthur zauważył, na co patrzyłam.

– Zaczekaj, Mia – rzucił. – Wyłącz budzik, bo jeszcze zbudzi cały dom.

– O. OK. – Mia poczłapała z powrotem i sięgnęła po budzik. Arthur posłał mi drwiące spojrzenie. Myślał o wszystkim.

– No, chodź już – niecierpliwiła się Mia. Arthur-Grayson przez chwilę napawał się wyrazem mojej twarzy, potem mrugnął do mnie i wyszedł za Mią na korytarz.

Próbując wyzwolić się spod jego mocy – tylko ja mam kontrolę nad sobą, to ja sama decyduję, czym jestem, nie jestem żadnym cholernym malowidłem – wmawiałam sobie gorączkowo, że nie ujdą daleko. W końcu byli jeszcze inni domownicy i ktoś z nich na pewno usłyszy, jak lunatykująca Mia staje na trzeszczącą deskę imienia ciotki Gertrudy. Albo Spot zapłacze się jej pod nogi. Albo Florence wstanie do łazienki...

Raz jeszcze włożyłam maksimum wysiłku w to, by się obudzić. Czułam, jak zalewa mnie fala nienawiści do samej siebie. Co ze mnie za siostra? Zbyt długo nie traktowałam tej sprawy wystarczająco poważnie. Grayson ostrzegał mnie, ale ja nie chciałam go słuchać. Zamiast tego włóczyłam się po korytarzach, rozszyfrowywałam głupie anagramy senatora Morta i ćwiczyłam przemianę w powietrze. Powinnam sensowniej wykorzystać ten czas, powinnam ćwiczyć, do ciężkiej cholery, jak budzić się ze snu w każdych okolicznościach i jak się bronić, kiedy ktoś chce zamienić mnie w sopel lodu albo obraz olejny. Powinnam przygotować się na Arthura.

– *Dziewczyna, pokonana*. Olej na płótnie – usłyszałam znów jego głos.

I wtedy pojęłam, że powiedział to umyślnie. On nie tylko chciał mnie zranić, nie, jego słowa miały na celu coś innego. Im bardziej w siebie wątpiłam, tym mniej mu zagrażałam. I prawie mu się udało. Marnowałam energię na roztkliwianie nad sobą i bezwładne wiszenie na ścianie. A przecież wszystko zależało tylko ode mnie.

Musiałam skupić się na złości, na rozpierającej mnie niewiarygodnej wściekłości na Arthura i na to, co chciał zrobić mojej siostrze. Czułam ją w sobie jak rozżarzoną czerwoną kulę, która tym bardziej rosła, im bardziej koncentrowałam się na Arthurze i swym gniewie. Złota farba odprysła od ramy obrazu, a on sam pękł na pół. Byłam wolna.

Rzuciłam się do drzwi tylko po to, by wpaść na Arthura, który jako Grayson stał u stóp schodów. Zupełnie jakby tam na mnie czekał.

Mii nigdzie nie było.

Wykrzyknęłam jej imię, ale nie otrzymałam odpowiedzi.

– Gdzie ona jest?

– Ćśś. – Arthur przytknął palec do ust Graysona. Drugą ręką wskazał na sufit. – Nie tak głośno, Mia jest na górze u Lottie. Mam nadzieję, że wasza niańka rzeczywiście sypia w masce i zatyczkach do uszu.

– Co ty... – Urwałam. Nie miało sensu z nim gadać, nie miało sensu o nic go pytać. Wiedziałam i tak.

Z mojego gardła wyrwał się głęboki, głuchy warkot. Byłam jaguarem, szykowałam się do skoku, gotowa rozszarpać Arthura na strzępy swymi ostrymi jak noże pazurami i potężnymi kłami. Podrywając się, zobaczyłam zaskoczenie w jego oczach. Nie spodziewał się tego, ale zareagował błyskawicznie. Drgnięciem powieki stworzył niewidzialną ścianę, przypominającą pole siłowe, które Henry rozpostarł swego czasu między mną a senatorem. Odbiłam się od niej.

Wzięłam kolejny rozpęd i coś raziło mnie prądem, odrzucając kilka metrów w tył.

Arthur zarechotał i przez chwilę nie był już Graysonem, tylko sobą.

– Daj sobie spokój, Liv – powiedział, wbiegając po schodach.

– Nie dorównujesz mi i tyle.

Prychnęłam.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie dopuszczę ponownie myśli o porażce. Nie mogłam przecież ulegać jego imaginacjom. Miał nade mną tylko tyle władzy, na ile mu pozwalałam. Dopóki wierzę, że jego pola siłowe są nieprzenikalne, rzeczywiście będą nie do przebycia. A poza tym on już zniknął na schodach, a kto powiedział, że Arthur potrafi utrzymać pole na odległość?

Nie traciłam więcej czasu na obmacywanie niewidzialnej bariery, napięłam wszystkie mięśnie i skoczyłam. Tym razem było tak, jakbym uderzyła o gumę. Przez króciutką chwilę sądziłam, że się od niej odbiję, ale potem poczułam się tak, jakbym zanurzyła się w gęstej duszącej masie. Będąc na wpół jaguarem, na wpół człowiekiem, zamłóciłam rękami. Moje płuca piekły, ale nie popuszczałam, musiałam pokonać barierę, musiałam ratować Mię! Ściana przepuściła mnie z cichym „plop”. Wylądowałam na najniższym stopniu schodów. Zdyszana wciągnęłam powietrze, podźwignęłam się i pognałam na górę.

Drzwi do sypialni były otwarte, a Lottie leżała w łóżku. Miała na twarzy kwiecistą maskę do spania, a jej ręka zwisała nad podłogą, gdzie zwinięta na kocyku spała Buttercup. Zapewne tak właśnie wyglądało to także w rzeczywistości. Miałam nadzieję, że Buttercup obudzi się i wyrwie wszystkich ze snu.

We śnie Mii zarówno Lottie, jak i pies chrapali na wyścigi. Mia, głośno szurając stopami, przeczłapała obok nich. Arthur – znowu jako Grayson – prawie nadepnął na ogon Buttercup.

Chciałam iść za nimi, ale znowu natrafiłam na niewidzialną ścianę.

– Przykro mi, kotom wstęp wzbroniony – powiedział Arthur, choć już dawno nie byłam jaguarem, lecz sobą. To oczywiste, że tylko czekał, aż się pojawię. – Ale możesz sobie popatrzeć, co się stanie z twoją siostrą. Zaraz będzie po wszystkim.

– Mia! – krzyknęłam, a raczej wrzasnęłam. Siostra zmierzała prosto do okna. – Nie słuchaj go. On kłamie. Nie możesz robić tego, co on mówi. Musisz się obudzić. To zasadzka!

Arthur przyłożył rękę do ucha.

– Sorry, Liv, ale nie słychać cię tu. Jeszcze nie opanowałem czytania z ruchów warg. Domyślałam się jednak, że wołasz coś w stylu: nie rób tego, Mia! – Zarechotał. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi

rzuciłam się na niewidzialną ścianę, która zdawała się tłumić nawet mój głos, i znowu nie udało mi się jej pokonać. Może obudzę się, kiedy ból stanie się szczególnie silny.

– Widzisz, jest tutaj. Sekretny pokój. – Arthur podszedł do Mii. Jego głos złagodniał. – Musisz tylko przejść przez okno i już będziesz w środku.

I rzeczywiście, za oknem widoczne było nie nocne niebo nad dachem sąsiedniego domu, tylko słabo oświetlone, kolejne pomieszczenie o nieotynkowanych ceglanych ścianach, ze starymi szafkami pełnymi szuflad, wyglądającymi, jakby skrywały mnóstwo tajemnych schowków.

– Obłęd. – Mia z trudem kryła zachwyt. – Że też wcześniej tego nie zauważyłam.

Arthur-Grayson wzruszył ramionami i rzucił mi przez ramię łobuzerskie spojrzenie.

– Zapewne żaluzje były spuszczone.

– Hm, pewnie tak – zgodziła się Mia. We śnie jakoś nie zwracała uwagi na brak logiki. Choć wiedziałam, że to nic nie da, jeszcze raz zawołałam ją po imieniu.

Arthur pokręcił głową.

– Liv, wielu ludzi przeżyło upadek z drugiego piętra – powiedział łagodnie. – No dobrze, może nie wielu, ale kilka osób na pewno...

Mia otworzyła okno.

Bez wątpienia zrobiła to też i w rzeczywistości. Może okno się zatnie. Może Lottie postawiła na parapecie jakiś kwiatek w doniczce, który Mia przypadkiem zrzuci. Może prawdziwa Buttercup już dawno się ocknęła i skakała, poszczekując, u jej nóg. Hałas obudzi Mię albo przynajmniej Lottie, a wtedy...

Siostra usiadła na parapecie i przerzuciła nogi na zewnątrz. Wyglądało to tak, jakby po prostu zamierzała przejść do drugiego pokoju. Wiedziałam, że w rzeczywistości jej nogi zawisły nad przepaścią, kilka metrów nad wybrukowaną ogrodową ścieżką prowadzącą wokół domu.

Myśl, Liv! Pokonaj Arthura jego własną bronią.

Coś uderzyło o pole siłowe.

– Cholera – odezwał się ktoś obok. Henry. – Co tu się dzieje?

Nie miałam czasu na wyjaśnienia. Na to było już za późno.

Arthur odwrócił się, zapewne po to, by kontemplować sytuację. Kiedy zauważył Henry'ego, zacisnął szczęki.

I to ten moment nieuwagi wykorzystałam.

– Na co czekasz? – warknął Arthur do mojej siostry. Nagle zaczęło mu się śpieszyć. – Idź już.

Mia niespodziewanie się zawahała. Pokój z ceglanymi ścianami zniknął. Zamiast niego widać było niebo. Szybko wyimaginowałam ogromny żółty księżyc i od cholery gwiazd, żeby przykuć uwagę Mii.

Trafiło mnie spojrzenie Arthura, gniewne, przepełnione nienawiścią, ale daleko mi było do tego, by odczuwać choć cień triumfu.

– Mia! Nie! – krzyczałam. Tym razem chyba dotarł do niej jakiś dźwięk. Siostra, zdziwiona, obejrzała się, jakby usłyszała coś, czego nie potrafiła przyporządkować.

W tym czasie Henry zajął się polem siłowym. Zrobił krok do przodu.

– Zmykaj stamtąd – powiedział cicho do Mii.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– Zmykaj? – powtórzyła.

Skoczyłam do przodu. Niemal równocześnie Arthur wykonał gwałtowny ruch ręką. Uderzyłam w niewidzialną przegrodę na wysokości łóżka Lottie. Henry jęknął za moimi plecami.

Arthur znów miał przewagę.

– Nie daj się zwieść – zagadnął przymilnie do Mii. Zawróciła i przechyliła głowę w stronę Arthura. Niebo i księżyc zniknęły, a za oknem znowu widniał pokój z nieotynkowanymi ścianami, jeszcze bardziej nęcący niż przed chwilą. – Ta tajemnica jest wyłącznie twoja, będziesz pierwszą osobą, która ją...

...odkryje. Tak zapewne chciał dokończyć zdanie. Jednak nie zrobił tego. Nagle coś się stało, wprost na naszych oczach: Arthur zniknął.

Tak po prostu, bez ostrzeżenia, bez żadnego „bum”. Chwila i już

go nie było.

– Co, do diabła...? – szepnął Henry i podszedł do mnie.

Skołowana przeszukałam wzrokiem pomieszczenie. Po Arthurze nie było ani śladu. Czy to jakaś nowa diabelska sztuczka? Czy naprawdę można było odetchnąć z ulgą?

– Musiał się chyba obudzić – orzekł Henry i pomógł mi wstać. Nawet nie zauważyłam, że nadal kuliłam się na podłodze, tam gdzie zatrzymała mnie ściana. Nie czułam łez, które płynęły mi po policzkach.

Pole siłowe Arthura zniknęło wraz z nim, tak samo jak iluzja pokoju.

Mia wciąż siedziała na parapecie. Gotowa do skoku. Zdezorientowana. I wtedy dotarło do mnie, że to wcale nie koniec.

– Musisz się obudzić i zabrać ją stamtąd – powiedział stanowczo Henry. – Natychmiast.

– Nie mogę! – Mój głos brzmiał tak histerycznie, że ledwie go rozpoznawałam. – Próbuję cały czas. – Z piersi wyrwał mi się szloch. – Muszę się obudzić, muszę...

– To zrób to – polecił Henry. – Liv, obudź się! – Chwycił mnie, obrócił ku sobie i pocałował mocno w usta.



Obudziłam się, na wpół siedząc, w łóżku Mii, zalana łzami, chwytając łapczywie powietrze. Nie tracąc czasu na sprawdzanie, czy naprawdę nie śpię, zerwałam się na równe nogi i puściłam biegiem. Po zaledwie pięciu krokach potknęłam się i runęłam jak długa, gdyż zapomniałam o skakance zawiązanej wokół kostki. Przynajmniej miałam pewność, że już nie śnię, kiedy porządnie rąbnęłam się w kolano.

Nie bacząc na domowników, wypadłam z pokoju, przecięłam korytarz, nadpetując na trzeszczącą deskę podłogową, i popędziłam schodami na górę do pokoju Lottie. Trzęsącą się ręką wymacałam włącznik i zapaliłam górne światło. Mia stała przy otwartym oknie i wpatrywała się w pustkę. Buttercup siedziała z wywieszonym jęzorem obok niej, a gdy mnie zobaczyła, ruszyła w moją stronę, merdając ogonem.

Okno było otwarte na oścież, do pokoju wpadało mroźne powietrze. Lottie, tak samo jak we śnie Mii, leżała w łóżku w masce do spania i pochrapywała.

Widząc, że Mia nie siedzi na parapecie, poczułam taką ulgę, że aż ugięły się przede mną kolana.

Chciałam zawołać ją po imieniu, ale z mojej krtani wydobyło się tylko rżenie.

Siostra jednak i tak nic nie słyszała. Dalej wpatrywała się tępo w przestrzeń. Miałam nadzieję, że rozmawiała z Henrym. Nie dopuszczałam myśli, że Arthur mógł wrócić, dokądkolwiek się udał. Na miękkich nogach jakoś dotarłam do okna. Zamknęłam je z hukiem. Buttercup drgnęła i postawiła uszy na sztorc, a Mia nadal gapiła się w nicość.

Lottie chrapała cichutko.

Pod wpływem impulsu sięgnęłam po szklankę stojącą na nocnym stoliku i chlusnęłam jej zawartością w twarz Mii. I wtedy wreszcie przestała wpatrywać się w przestrzeń. Wrzasnęła głośno.

Krzyk obudził Lottie (i pewnie poluzował kilka dachówek nad naszymi głowami), która zerwała z twarzy maskę i mrugała z przerażeniem, oślepią światłem.

Buttercup się rozszczękała. (Teraz szczekała? Teraz?! A co, przepraszam bardzo, robiła do tej pory? Merdając ogonem, odprowadziła Mię do okna i ziała z troską? To tyle w temacie krwi psów ratowników płynącej rzekomo w jej żyłach).

Rzuciłam się na przemoczoną, osłupiałą Mię, objęłam ją z całej siły i łkałam w jej włosy, bełkocząc coś niezrozumiale.

Nie mam pojęcia, ile tak stałam, płakałam i trzymałam kurczowo siostrę. W końcu Mia odsunęła mnie od siebie.

– Zdusisz mnie, Liv – powiedziała, szczękając zębami.

– A w ogóle to coś tu śmierdzi.

Lottie pociągnęła nosem.

– To moja waleriana – stwierdziła i popatrzyła na szafkę nocną.

– Stała... och!

– Jakoś przecież musiałam dobudzić Mię. – Głośno pociągnęłam nosem.

Lottie otoczyła mnie ramieniem i popatrzyła srogo na Mię.

– OK – rzekła. – Cokolwiek się wydarzyło, potrzeba wam jednego: gorącej czekolady Lottie.

– Ojej, kiedy mówisz o sobie w trzeciej osobie, to naprawdę musi być dramat – odezwała się speszona Mia. – A przecież ja tylko troszkę...

lunatykowałam? Tak? –

Dźgnęła mnie w ramię. – Trzeba było mocniej zacisnąć węzły!

– Zacisnęłam! To ty się...

– Pst – uciszyła nas Lottie. – Tylko bez kłótni. Najpierw czekolada, a potem się zobaczy. – Odwróciła się do szafy i podała Mii kwiecistą koszulę nocną. – Włóż to, w mokrym ubraniu przeziębisz się na śmierć. I to też wam się przyda. – Rzuciła w naszą stronę grube, własnoręcznie dziergane skarpety i wełniany koc.

Pięć minut później ciepło opatulone siedzieliśmy z Mią w kuchni na wyściełanej ławie pod oknem. Kuchenny zegar wskazywał, że do rana została cała wieczność, ale byłam zbyt skonana, żeby policzyć, ile czasu trwał ten koszmar. Na pewno krócej, niż mi się wydawało.

Lottie włączyła automat do kawy, żeby spienić mleko do kakao. Chociaż wrzask Mii był naprawdę przeraźliwy, nie pojawił się nikt z domowników. Bardzo mi to odpowiadało, bo nie wiedziałabym, jak stawić im czoła. Wciąż czułam się wycieńczona (i tak wyglądałam, co potwierdził rzut oka w lustro na korytarzu). Nie miałam pojęcia, czy kiedykolwiek będę w stanie sensownie wytłumaczyć komuś, co się wydarzyło.

Nawet Mii. Kiedy usłyszała, że znowu była o krok od wyskoczenia przez okno, pograżyła się w niezwykłym jak na nią milczeniu.

– Jak można być taką idiotką? – mamrotała, wyraźnie na siebie zła. – W dodatku z drugiego piętra!

Lottie szybko postawiła przed nią kakao, a potem, nie zważając na porę, wyjęła z lodówki masło i zaczęła szukać po szafkach mąki i cukru. Miała bardzo zatroskaną minę, a ręce lekko jej drżały.

– Upiekę rogaliki waniliowe – mruknęła. – A wtedy wszystko będzie dobrze, moje małe elfiki. Wtedy wszystko będzie dobrze.

– Z drugiego piętra! – Mia wciąż kręciła głową.

– To nie twoja wina – zapewniłam ją, rada, że nie wypytywała o więcej.

Twierdziła, że nie pamięta zbyt wiele ze swojego snu, tylko to, że był bardzo dziwny. I dobrze. Wystarczyło, że jedna z nas wariowała ze strachu.

Lottie zaczęła odważać składniki na ciasto, nucąc pod nosem

niemieckie kolędy, dla uspokojenia, jak przypuszczałam. Metoda chyba była skuteczna. Kiedy Lottie nacięła strąk wanilii i dotarła do *Kommet ihr Hirten*, ręce przestały jej drżeć. Co więcej, to działało i na nas. Mia przysunęła się do mnie troszkę bliżej i przytuliła do mojego ramienia.

– Przytulniasto, co?

Musiałam bardzo się hamować, żeby znów nie chwycić jej w ramiona. Chociaż jej włosy nadal intensywnie pachniały walerianą. Dopiero teraz, kiedy już prawie dopięłam kakao, byłam w stanie w pełni pojąć, co się przed chwilą wydarzyło. Uświadomiłam sobie, że gdyby Arthur w decydującym momencie się nie obudził, Mia przypuszczalnie leżałaby właśnie na ogrodowej dróżce z pogruchotanymi kośćmi. Kto powiedział, że jutrzejszej nocy nie spróbuje znowu? Tym razem z jeszcze bardziej perfidnym planem?

Jęknęłam cicho. Nie przeżyję kolejnej takiej nocy.

– Właściwie ciasto powinno odpoczywać godzinę. – Lottie niezdecydowanie wodziła wzrokiem między makutrą a nami. Jej brązowe kędziory sterczały w nieładzie na wszystkie strony. Wyglądała jak żona hobbita. Ogarnęło mnie uczucie tak głębokiej tkliwości, że aż bolało. – Ale w tej sytuacji w drodze wyjątku pominiemy dziś ten punkt.

Tak, byłam za tym. Sytuacja wymagała szczególnych środków.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi na taras. Drgnęłam tak gwałtownie, że Mia o mało nie spadła z ławy.

– Bez obawy. To przecież tylko He... Henry? – Lottie ze zdumieniem ściągnęła brwi i z niedowierzaniem utkwiała wzrok w Henrym, który stał za szybą i machał. – W nocy o... Która właściwie jest godzina? – Prychnęła. – Mężczyźni! Tego nie trzeba rozumieć, prawda? Mam go wpuścić, Liv? Zdaje się, że coś mu leży na sercu, i podejrzewam, że ma to związek z tobą.

Nie mogłam wykrztusić słowa. Bo i jak? Cokolwiek bym powiedziała, Mia i Lottie wzięłyby mnie za wariatkę.

– Ziemia do Liv! – Mia wyswobodziła się z koca i podbiegła do drzwi na taras, żeby je otworzyć. – Nie widzisz, że tam na zewnątrz zaraz ktoś zamrznie? On nie ma na sobie nawet kurtki. Wejdz, Henry. Mamy gorące kakao, a za dziesięć minut będą rogaliki pocieszenia

Lottie.

– Całoroczne – uzupełniła Lottie.

Mia pokiwała głową.

– Wyglądasz, jakbyś ich potrzebował. Najlepiej będzie, jak usiądziesz na ławie obok swojej byłej dziewczyny. – Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła znacząco. Potem minęła Henry’ego i stanęła obok Lottie, żeby podjadać ciasto z makutry.

Lottie dała jej po łapach.

– Weź te paluchy. Możesz mi pomóc w formowaniu rogalików.

Henry z głębokim westchnieniem usiadł obok mnie.

– Bogu dzięki – szepnął. – Zachowuje się całkiem normalnie.

Przyszedłem tak szybko, jak mogłem, kiedy zapadł się jej sen.

Tak, to widać. Nawet nie marnował czasu na włożenie kurtki. Miał na sobie tylko T-shirt i dżinsy. W milczeniu podsunęłam mu koc.

Mia obserwowała nas z przechyloną głową.

– Pamiętam – oznajmiła. – W moim śnie się całowaliście.

– Naprawdę? – Henry spojrzał na mnie z powagą.

Przełknęłam ślinę.

– To był tylko sen – powiedziałam. – To się nie liczy, Mia.

– Szkoda. – Mia odwróciła się z powrotem do ciasta, które Lottie zdążyła już w tym czasie uformować w długiego węża.

– Och, więc to się nie liczy? – zapytał cicho Henry. – A miałem wrażenie, że...

– Nie chcę słyszeć ani słowa o tym pocałunku – odparłam szeptem.

– Mamy dość innych problemów! Ja tego nie wytrzymam, Henry. On spróbuje znowu... Gdzie ty w ogóle byłeś tak długo?

– Coś... mnie zatrzymało. – Henry pokręcił żałośnie głową.

– Przepraszam. Ale obiecuję, że...

– Nie! – Zapomniałam o szepcie. – Nie obiecuj mi niczego, czego nie będziesz mógł dotrzymać. Kolejnej nocy być może znowu coś cię zatrzyma albo jeszcze kolejnej, a wtedy... – Byłam bliska płaczu. Lottie i Mia gapiły się na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami. Pewnie właśnie zachodziły w głowę, co zażyłam przed pójściem spać. – Wtedy Arthur wcieli w życie swoją groźbę – powiedziałam mimo wszystko, szlochając dramatycznie, co zagłuszył łomot przy drzwiach do kuchni.

– Nie, nie zrobi tego! – W drzwiach stał zadyszany Grayson.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, bo kompletnie o nim zapomniałam, odkąd roztrzaskał się w śnie na milion kawałków. Fajnie, że przyszedł. Teraz wszyscy byliśmy razem.

Podszedł bliżej i rzucił coś na stół.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał powoli Henry.

– Tak – odparł ponuro Grayson. – To jest to.

Przed nami leżała rękawiczka w szare kropki.

– Czy ty przychodzisz z dworu, Graysonie? – Lottie podparła się pod boki. – Czy to taki rodzaj zawodów? Kto najdłużej wytrzyma bez kurtki na mrozie? Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, jakie to lekkomyślne? Pomijam już fakt, że... macie jutro szkołę! – Kręcąc głową, wróciła do rogalików.

– Po co ci moja rękawiczka? – chciała wiedzieć skołowana Mia.

– Przecież jest na ciebie za mała. Poza tym nie ma pary. Drugą gdzieś zgubiłam.

– To właśnie jest ta druga – wyjaśnił Grayson i opadł na krzesło.

– Co? Serio? Gdzie ją znalazłeś?

Grayson już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale pośpiesznie weszłam mu w słowo.

– Mia, mogłabyś zrobić kakao dla Graysona i Henry’ego?

– Jasne. Ja też chcę jeszcze jedno. A ty, Lottie?

– Nie – odpowiedziała i odwróciła się do nas. – Ale bądź tak dobra, skarbie, i włącz piekarnik, dobrze? Nastaw na sto dziewięćdziesiąt stopni.

Zaczekałam, aż Lottie i Mia zajmą się swoimi sprawami, a automat do kawy zacznie wystarczająco głośno syczeć i bulgotać. Pochyliłam się ku Graysonowi i zapytałam

krótko:

– Byłeś u Arthura?

Skinał głowę.

– Miałem tego powyżej uszu. Naprawdę powyżej uszu.

– Zabrałeś mu rękawiczkę! – Po raz pierwszy tej nocy zobaczyłam uśmiech na twarzy Henry’ego. – Jesteś niesamowity. – Nadstawił rękę, a Grayson przybił piątkę.

– Jak to zrobiłeś? – rzuciłam bez tchu. – Co się stało?
Grayson odchylił się do tyłu.

– Poszedłem do niego i strzeliłem go w pysk. I koniec przedstawienia.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Zaczęłam się śmiać, a po tym całym płaczu było to dziwne uczucie, niemal bolesne. I przypuszczalnie histeryczne. Nie mogłam przestać.

To było takie... genialne! Podczas gdy Henry i ja walczyliśmy w śnie z jakimiś kretyńskimi polami siłowymi, Grayson zrobił jedyną właściwą rzecz. Nie miało sensu bić się z Arthurem w śnie, ale na jawie to co innego.

– Byłem taki wkurzony. – Grayson ściągnął gniewnie brwi. Tak samo jak Henry wyglądał na umęczonego, był rozczochrany i zziębnięty. Dysza do mleka nadal syczała na tyle głośno, że mogliśmy rozmawiać bez przeszkód. – Obudziłem się, kiedy ten gnojek zamienił mnie w cholerną rzeźbę lodową, i po prostu musiałem coś zrobić. Wziąłem rower, pojechałem do Arthura i przelazłem przez mur. Ze skrytki przy domku basenowym wyjąłem klucz do tylnych drzwi. Miałem gdzieś, że ktoś mógłby mnie przyłapać. Udawałbym po prostu, że jestem pijany. Arthur leżał w łóżku i spał. Bydlak! – Grayson wziął ze stołu rękawiczkę i potrząsnął nią. – Miał ją nałożoną. I uśmiechał się przez sen, przysięgam. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem taki wkurzony.

No, mogłam to sobie wyobrazić. I to doskonale.

– I co potem? – zapytał z napięciem Henry.

– Co potem? – powtórzył Grayson. – Jak mówiłem. Potem wziąłem i strzeliłem go w pysk. – Potarł lewą dłonią knykcie prawej. – No dobrze, prawdę mówiąc, więcej niż raz. Niewykłuczone, że zламаłem mu nos. – Uśmiechnął się szeroko. – Po czym chwyciłem rękawiczkę i wróciłem tak, jak przyjechałem. – Zerknął kontrolnie na zegar kuchenny. – Więc się nie zdziwcie, jeśli zaraz zjawi się tutaj policja i przytknie mnie za włamanie. I uszkodzenie ciała – dodał.

Henry wyglądał tak, jakby za chwilę miał ucałować Graysona. Wolalam zrobić to za niego. Wstałam, przyciągnęłam go do siebie i cmoknęłam mocno we włosy. I jeszcze raz. I kolejny.

– Jesteś moim bohaterem, wiesz?

– Moim też – zapewnił go Henry.

Oderwałam się od Graysona, który sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, i usiadłam z powrotem.

– Tylko co to znaczy?

– To znaczy, że Arthur na jakiś czas odczepi się od Mii. – Henry splótł ręce na karku. – Nie ma już żadnego przedmiotu, który by do niej należał. Co nie znaczy, że nie znajdzie sposobu, by wejść w posiadanie nowego.

– Albo należącego do kogoś innego... – zauważył Grayson. – Ja też myślę, że teraz nasz ruch. Choć będziemy musieli cholernie uważać na Arthura. I na nasze rzeczy. – Uniósł głowę i popatrzył w stronę piekarnika, do którego Lottie wsunęła pierwszą blaszkę. – O Boże, jak to bosko pachnie. Co to jest?

– Całoroczne rogaliki pocieszenia Lottie. – Mia postawiła na stole parujące kubki. – Tylko żeby było jasne: to ja je dostanę po upieczeniu, kilka będzie dla Liv za to, że się tak o mnie martwiła, aż się poryczała. Bo ja mianowicie znowu lunatykowałam i niewiele brakowało, a wyskoczyłabym z okna. I obudziłam się tylko dlatego, że Liv oblała mi głowę śmierdzącą herbatką z walerianą. – Usiadła i z wesołym uśmiechem popatrzyła po twarzach. – Więc jeśli nie macie żadnej historii, którą moglibyście mnie zakasować, to będziecie musieli przyglądać się, jak jemy.

Henry uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie mamy absolutnie nic, czym moglibyśmy cię zakasować – zapewnił ją. – No nie, Grayson?

Grayson pokręcił głową. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Nie, tego nie da się przebić. Ale jeśli nie dostanę rogalików, to niestety też się poryczę.

– Wystarczy dla wszystkich – orzekła Lottie i wsunęła do piekarnika drugą blaszkę.



– To nie do wiary – rzekła Mia, wpatrzona w kamienną, czarną, błyszczącą tablicę ustawioną w ogródku willi przy Elms Walk.

– No – zgodziłam się z nią. A więc na to Bochra wydała nasze oszczędności: na nagrobek dla Mr Snugglesa.

Oczywiście ona sama nie nazwała tego nagrobkiem, tylko tablicą upamiętniającą. Twierdziła, że chodziło jej wyłącznie o to, by przypomnieć przechodniom o ulotności piękna roślin i o niszczycielskiej sile niektórych ludzi, a także o powinności stanowczego przeciwstawiania się tejże sile.

– Pamięci Mr Snugglesa, bukszpanu wieczniezielonego (*Buxus sempervirens*), zmasakrowanego w ciągu jednej nocy po dwudziestu pięciu latach niezmordowanego wzrostu – przeczytała na głos Mia.

– Dobrze, że nie wygrawerowano tu jeszcze naszych nazwisk.

– Nie, Buttercup! Niedobry pies! – Pośpiesznie odciągnęłam suczkę od grządki, choć zabierała się właśnie do jedynej rzeczy, którą należało zrobić z tą tablicą. – Musimy poszukać sobie innej drogi do parku, wyprowadzając psa na spacer. Nigdy więcej nie spojrzę na tę tablicę, nie wspominając jednocześnie z żalem naszych smartfonów.

– Miałam cichą nadzieję, że Grayson dostanie nowego iPhone’a. Wtedy mogłybyśmy otrzymać w spadku jego stary telefon – powiedziała Mia.

Dziś były urodziny bliźniaków. Głębokie westchnienie Mii przypomniało mi, że nadal nie wiedziałam, co mam włożyć na imprezę. Florence wpadła na „zabawny” pomysł, by do zaproszeń dołączyć instrukcję odnośnie do stroju. Wszyscy goście spokrewnieni z Graysonem i Florence mieli przyjść ubrani na niebiesko, znajomi ze szkoły – na czerwono, a osoby, które Florence знаła ze swej działalności dobroczynnej (kuchnia dla bezdomnych) – na zielono. Na białe miały się odziać osoby towarzyszące, a na czarno wszyscy ci, którzy nie pasowali do żadnej innej kategorii.

Persefona odchodziła przez to od zmysłów. Nie dość, że nie mogła wystroić się w swoją nową niebieską spódnicę Missoni, to jeszcze była przekonana, że w czerwonym jest jej zupełnie nie do twarzy. Nastrój poprawił jej się dopiero wtedy, gdy wpadła na pomysł, że ubłaga Gabriela, by zabrał ją jako osobę towarzyszącą (Gabriel, nawiasem mówiąc, nie miał nic przeciwko temu).

Ja miałam inny problem: nie wiedziałam, który kolor jest właściwy w moim przypadku. Oprócz zielonego i białego w sumie pasowałyby każdy. Mia uznała, że Florence dostanie ataku szału, jeśli przyjdziemy w niebieskim. Z braku czerwonych ubiorów (Persefona miała rację: w czerwonym było do twarzy tylko nielicznym i ja do nich nie należałam) włożyłam w końcu czarną dzianinową sukienkę z gatunku „dobra na każdą okazję” i ożywiłam całość rajstopami w czarno-kolorowe prążki. Sukienkę tę ostatni raz miałam na sobie na pogrzebie sąsiadki, podczas pobytu w RPA, i wtedy sięgała mi do kolan. Teraz była mini, odrobinę bardziej obcisła, i dlatego może zbyt seksowna na pogrzeb, ale na dzisiejszy wieczór w sam raz.

Największym plusem kiecki była mała, naszyta z boku kieszonka idealnej wielkości, by pomieścić w niej rokokową tabakierkę.

Impreza miała rozpocząć się około ósmej wieczorem. O wpół do ósmej zeszałam na dół i stwierdziłam, że przyszło już całkiem sporo gości. Punktualnie zjawili się głównie ubrani na zielono pomocnicy z kuchni dla bezdomnych, niektórzy z nich już po południu, bo mieli

uprzątnąć meble z dużego pokoju i jadalni. Większość sprzętów przeniesiono do garażu i szopy na narzędzia, żeby zrobić miejsce na niewielką scenę dla zespołu coverowego, który Ernest zaangażował w ramach niespodzianki dla swoich dzieci. Zespół nazywał się The Chords, a Persefona twierdziła, że jest znany jako suport Avec, ale ani jedna, ani druga nazwa nic mi nie mówiła. Nieważne, byle fajnie grali. Zespół już przyjechał i rozpoczął tajemniczy i skomplikowany rytuał strojenia instrumentów, podczas którego wszyscy muzycy wyglądają, jakby od tego zależało ludzkie życie.

Grayson i Florence byli zajęci witaniem nieustannie napływających gości. Florence aż promieniała ze szczęścia. Wyglądała prześlicznie w nowej zielonej sukience, mającej chyba wyrazić solidarność z kolegami z kuchni dla bezdomnych. Grayson pomachał do mnie, a mi ulżyło, że był taki wyluzowany. I że dla świętego spokoju włożył jednak koszulę w niebieskie prążki zamiast białej. Po południu Florence zrobiła mu dziką awanturę z powodu tej koszuli. „Biała! Chcesz mnie dobić? Jeśli jej nie zmienisz, to wszyscy pomyślą, że jesteś tylko osobą towarzyszącą” – nakrzyczała na niego, a potem dodała dramatycznie: „Nie możesz choć raz zrobić czegoś tak jak ja chcę?”.

Najwyraźniej mógł. Wprawdzie niebieski też nie był idealny – z drugiej strony jednak Grayson przecież był spokrewniony z Florence.

Przeszłam wolnym krokiem do kuchni, gdzie zorganizowano wielki bufet. Potrawy dostarczono po południu. Mia właśnie nakładała sobie na talerz ogromną stertę jedzenia, zamierzając po kryjomu wynieść je na górę. Z ulgą stwierdziłam, że zamówili całkiem normalne imprezowe żarcie, a nie jakieś galaretowate pasztety z wodorostów kolorystycznie harmonizujące ze strojami zaproszonych. Po Florence (i Bochrze, która zafundowała catering) wszystkiego można się było spodziewać.

Ukradkiem rozejrzałam się za Henrym. Jakiś przystojny chłopak w niebieskim T-shircie (kuzyn Spencerów?) w przelocie wcisnął mi do ręki kieliszek szampana, który zaraz przekazałam Persefonie, a ta z kolei swojej starszej siostrze Pandorze.

– Bardzo rozsądnie, że rezygnujesz z alkoholu – zauważyła Emily, która niepostrzeżenie pojawiła się obok mnie. – Jestem pewna, że i na

trzeźwo uda ci się popełnić jakąś gafę. – Była ubrana w prostą, zapiętą pod szyję, ale za to przylegającą do ciała czerwoną sukienkę i musiałam przyznać, że należała do tych nielicznych osób, którym do twarzy było w tym kolorze.

– Wow – powiedziałam. – Wyglądasz super, Emily.

– Mam się czuć połamana? – Ruszyła dalej, posyłając mi pogardliwe spojrzenie. Natychmiast pożałowałam swego spontanicznego komplementu. Z drugiej strony w sumie zrobiło mi się jej trochę żal – było oczywiste, że uczyniłaby wszystko, by odzyskać Graysona. Bez powodzenia zresztą. Mimo że połączyła siły z Florence i Bochrą, które stawały na głowie, by ją w tym wesprzeć.

No cóż, może uda jej się dziś wieczorem. W takiej sukience...

Miałam nadzieję, że Grayson okaże siłę.

W tym czasie zespół rozpoczął już koncert. Z pokoju dochodziły dźwięki *Here comes the weekend*, a wokalistka brzmiała prawie tak samo jak Pink. Persefona zorganizowała dwie szklanki ponczu i dała mi jedną. Przecisnęłyśmy się do pomieszczenia, gdzie niektórzy zaczęli już tańczyć. Oparłyśmy się plecami o regały z książkami (z których mama na wszelki wypadek usunęła pierwsze wydania Oskara Wilde'a i Emily Dickinson), a Persefona wygładziła swoją białą sukienkę i westchnęła melancholijnie.

– Założę się, że Jasperowi jest teraz bardzo smutno w tej jego Francji – zauważyłam z uśmiechem, przekrzykując muzykę.

– Jakiemu Jasperowi? – wykrzyknęła w odpowiedzi Persefona i aż się sama roześmiała. – Dziś nawet Jasper jest mi obojętny. Dziś życie wyjątkowo jest piękne.

Owszem, bywało gorzej. Człowiek powinien być wdzięczny za tyle rzeczy.

Za to, że Grayson nie został aresztowany za włamanie i uszkodzenie ciała, z tego prostego powodu, że Arthur nikomu o niczym nie powiedział. I tak, byłam za to wdzięczna, bo inaczej Grayson obchodziłby swoje osiemnaste urodziny w kiciu. Albo u czubków.

Na blogu Tittle-Tattle można było przeczytać wzruszającą do łez historyjkę, jak to Arthur, próbując ratować dręczonego pieska, starł się z czterema kolesiami ze środowiska prawicowych radykałów. Mimo ich

przytłaczającej przewagi dzielny Arthur zdołał uratować psiaka – co przypłacił złamanym nosem, śliwą pod każdym z oczu i rozciętym łukiem brwiowym (Grayson naprawdę musiał być bardzo wkurzony).

Zdumiewające było to, że niemal każdy we Frognał bez żadnej refleksji wierzył w tę kiczowatą opowiastkę. Dzielny Arthur, wybawca małych piesków, został nowym bohaterem szkoły. A dziewczyny z klasy Mii wzdychały jeszcze głośniejsze, kiedy przemierzał szkolne korytarze.

A jednak trochę to trwało, zanim wszystkie rany po tamtej nocy się zabiły. Za każdym razem, gdy natykałam się na Arthura, odczuwałam pewną satysfakcję, że jego sińce bladły tak powoli. Choć przeczuwałam, że okrutnie odegra się za każdy z nich.

Rozmawiał ze mną tylko jeden jedyny raz, kiedy przez przypadek wpadliśmy na siebie pod pracownią chemiczną. W pierwszej chwili nie poznałam, kogo potrąciłam, i już zaczęłam go przeproszać, a wówczas chwycił mnie za rękę i ścisnął mocno.

– Tylko sobie nie wyobrażaj, Liv Silver. Jeszcze z tobą nie skończyłem – wyrzucił z siebie, patrząc na mnie z tak wielką nienawiścią, że gdyby to zobaczył jego dziewczęcy fanklub, natychmiast odwróciłby się od niego. Ale niestety, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ujrzeć prawdziwą twarz Arthura.

Jego słowa ani trochę mnie nie zaskoczyły. Zdumiało mnie za to, z jaką obojętnością je przyjąłem.

– Ja z tobą też nie – odparłam całkiem szczerze. Nigdy w życiu mu nie wybaczę, że próbował skrzywdzić moją siostrę. – A teraz puszczaj, jeśli nie chcesz, żeby Secrecy musiała wyssać z palca kolejną bajeczkę o napadzie.

We śnie Arthur pewnie uśmiechnąłby się perfidnie i spróbował zamienić mnie w kamień, ale to było prawdziwe życie, a w prawdziwym życiu to ja trenowałam kung-fu. Puścił mnie. Zwłaszcza że z za rogu wyłoniła się grupka uczniów.

– Jeszcze się zobaczymy – wyszczał do mnie na odchodne.

– Ach, Arthur? – zawołałam za nim. – Chciałam cię jeszcze zapytać o jedno: co się właściwie stało z tym biednym, dręczonym pieskiem?

Rzeczy, za które powinnam być wdzięczna, było o wiele więcej:

choćby fakt, że Mia przestała lunatykować. I nie pytając o powody, obiecała, że będzie pilnowała swoich rzeczy jak oka w głowie, szczególnie w szkole. Poza tym byłam wdzięczna, że na powrót potrafiłam rozmawiać z Henrym, nie wybuchając od razu płaczem ani nie krzycząc na niego – znów całkiem dobrze się dogadywaliśmy. Może dlatego, że starannie unikaliśmy wszelkich niebezpiecznych tematów.

Aha, i do pewnego stopnia byłam też wdzięczna za to, że Charles i Lottie właśnie stanęli na parkiecie, patrząc sobie w oczy jak zakochani. Ładna z nich była para. No dobra, Lottie owszem, a Charles... to po prostu Charles. Najważniejsze, że byli szczęśliwi. Mimo wszystko nie miałam pewności, czy zniosę jeszcze więcej miłosnych fluidów w tym domu, bo Ernest i mama produkowali obecnie tyle ociekającej kiczem szczęśliwości, że Mia zaczynała rozważać wyprowadzkę. Nawiasem mówiąc, zadeklarowali dzisiaj, że popilnują u Lottie na piętrze Buttercup i Spota. Pewnie się właśnie obściskiwali na kanapie, a zwierzaki ze wstydu zasłaniały ślepia łapami.

Bochra nadal nie mogła pogodzić się z zaręczynami najstarszego syna i pewnie nigdy tego nie zaakceptuje. Przy każdej okazji podkreślała społeczną degradację, na jaką godził się Ernest, planując nowe małżeństwo, w końcu jego pierwsza żona była numerem 201 na liście sukcesji do brytyjskiego tronu. Ale oczywiście nie to było powodem, dla którego Bochra postanowiła zostać dziś w domu. „To prywatka młodych, nie należy im przeszkadzać”, skwitowała skromnie zaproszenie Florence, choć ja byłam pewna, że odmówiła tylko dlatego, iż nie do twarzy było jej

w niebieskim. Gdyby krewni mieli przyjść w beżach, przygnałaby pierwsza.

– Henry przyszedł! – Persefona szturchnęła mnie łokciem w bok. – Niewiarygodne, ten facet wygląda świetnie nawet w koszuli drwała.

– To nie jest żadna koszula drwała, tylko po prostu w kratkę – sprostował Henry. – Ale też uważam, że jest okropna. To jedyny czerwony ciuch w mojej szafie, pomijając sweter norweski w jelenie. Za to twoja sukienka jest nie do pobicia, Persefono.

– Wiem! Wygląda super, co? I popatrz, jak faluje! – Obróciła się wokół własnej osi i posłała nam ręką buziaka. – Idę poszukać Gabriela!

Henry zajął jej miejsce pod regałem z książkami i odprowadził ją wzrokiem.

– Zdumiewające podobieństwo do torcika bezowego.

Niewydarzonego torcika – oznajmił w przerwie między piosenkami.

– To tyle, jeśli chodzi o szczerść twoich komplementów.

– Westchnęłam.

– Więc jeśli ci powiem, że wyglądasz dziś prześlicznie, to mi nie uwierzysz? – Uśmiechnął się, a ponieważ byłam w świetnym nastroju, odpowiedziałam mu tym samym. Ostatnio sprawiał wrażenie znacznie bardziej odprężonego i wyspanego niż w ciągu minionych tygodni.

W pokoju zaczęło robić się ciasno, ktoś otworzył drzwi na taras i do środka wpadało przyjemnie chłodne nocne powietrze. Zespół zaintonował *Narcotic Liquido*. Wzięłam Henry'ego za rękę i poprowadziłam go na korytarz. Usiedliśmy na schodach, skąd obserwowaliśmy imprezę.

– Wyglądasz jakoś tak... szczęśliwie – powiedziałam po chwili milczenia. I przepięknie. (To już oczywiście tylko pomyślałam).

– Bo jestem. – Musnął spojrzeniem moje usta. – No dobrze, może niekoniecznie jestem szczęśliwy. Ale na pewno mam jedno zmartwienie mniej.

Ostrożnie wymacałam w kieszonce tabakierkę.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– W domu jest w tej chwili ... – Urwał. – No wiesz, mówiłem ci, że miałem problemy z ojcem. Delikatnie mówiąc. Ze względu na nasz majątek, którym on zarządza.

Tak. Wspominał o tym.

– Rozpłynęło się to w powietrzu.

– Majątek się rozplątał? – zapytałam z miną niewiniątka, choć oczywiście wiedziałam, o co chodzi.

– Nie, problemy. Ojciec zrezygnował z tej niepewnej inwestycji. Z dnia na dzień.

– To brzmi bardzo rozsądnie – powiedziałam, uchylając się przed czymś zielonym łokciem, torującym sobie drogę do łazienki. Wciąż napływali pojedynczy goście.

Zastanawiałam się, ile osób zaprosiła Florence. I ile mogło pracować charytatywnie w jednej jedynej kuchni dla bezdomnych.

– Prawdę mówiąc, w życiu bym się nie spodziewał, że mój ojciec zmieni zdanie. – Henry odchylił się do tyłu. – Nieźle się ścieraliśmy z tego powodu.

– Może po prostu potrzebował kogoś, kto wreszcie przemówi mu do sumienia – stwierdziłam i wręczyłam Henry’emu tabakierkę. – Masz. Zdaje się, że to należy do was.

Znałam go już dość długo, ale jeszcze nigdy nie widziałam go tak zbaraniałego. I o ile wiem, nigdy przedtem się nie jękał.

– Czy... czy... czy... to jest...?

– Tabakierka, którą Milo pożyczył od twojego ojca – oznajmiłam, ciesząc się skrycie z wyrazu jego twarzy. – Zatrzymałabym ją, ale nie zażywam tabaki.

Nadal siedział z lekko rozdziawioną gębą. Na zmianę patrzył to na mnie, to na tabakierkę.

– To byłaś ty... jak ty to...?

Pozwoliłam sobie na tajemniczy uśmiech.

– No wiesz, w końcu czegoś się od ciebie nauczyłam. Jak wspomniałam, twojemu tacie trzeba było wyjaśnić pewne podstawowe kwestie. To było całkiem proste.

Ha, akurat, proste! Zmarnowałam kilka dni, zanim w ogóle znalazłam drzwi jego ojca. Wbrew moim przypuszczeniom nie znajdowały się, niestety, w najbliższym sąsiedztwie drzwi B (właściwie czemu?), tylko w bocznym korytarzu, na straszliwym wygwizdowie. I znalazłam je tylko dlatego, że widniały na nich wyrzeźbione w drewnie inicjały R.H. jak Ronald Harper.

A to dopiero początek wyzwania: Harper nie był człowiekiem przyzwalającym na wtrącanie się w jego interesy. Nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować z zainwestowania powierzonego mu majątku dzieci w ryzykowny fundusz hedgingowy firmowany przez jakieś podejrzanе wschodnioeuropejskie banki. Musiałam używać wszelkich środków, przez cztery noce z rzędu. Ugiął się dopiero, gdy nawiedziłam go jako „duch przyszłych świąt Bożego Narodzenia”. Wolałabym wprawdzie spróbować z wersją zmarłego Henry’ego

Harpera seniora, który powiedziałby synowi do słuchu, lecz pomysł ten spalił na panewce ze względu na moją kompletną nieznajomość wyglądu i charakteru dziadka Henry'ego. Chcąc nie chcąc, musiałam zadowolić się postacią z *Opowieści wigilijnej* Dickensa, którą dość dobrze znałam, bo trzy lata temu grałam ją w przedstawieniu świątecznym w Berkeley. Pomijając jedną małą wpadkę (potknęłam się o własny upiorny płaszcz z kapturem), uważam, że odegrałam swą rolę wyśmienicie. No i nic nie odciska głębszego piętna, jak oglądanie własnego grobu, pokazanego w celu unaocznienia bezsensu życia. Chwała Dickensowi.

Byłam bardzo dumna, że mój wysiłek się opłacił. I niech no tylko ktoś powie, że sny nie potrafią zmieniać rzeczywistości.

Henry wsunął tabakierkę do kieszeni dżinsów i obdarzył mnie swym specjalnym uśmiechem, przeznaczonym wyłącznie dla mnie – i sprawiającym, że ugiwały się podę mną kolana.

– Przysięgam, kiedyś nakłonię cię do tego, byś opowiedziała mi tę historię od początku do końca – rzekł, wstał i podał mi rękę. – Ale na razie wystarczy, że ze mną zatańczysz.

Chwyciłam jego dłoń z uśmiechem. Zespół grał właśnie *Dream on* Aerosmith. To nie mógł być przypadek.



18 lutego

Jedenaście minut! Status Jaspera Granta na Facebooku ledwie od jedenastu minut był zmieniony na „wolny”, a już Persefona zerwała z Gabrielem. Szybka jest.

Niestety, trochę za szybka, jak się okazało. Bo w dwunastej minucie na profilu Jaspera znów pojawił się status „w związku”.

Adieu, Lily, bienvenue, Louise. Znakomity wybór, wzięwszy pod uwagę fotki w bikini na jej profilu. A jeśli willa, basen i palma, widoczne na drugim planie, są własnością rodziców Louise, to trzeba pogratulować Jasperowi. Korzysta z okazji,

by pozyskiwać przyjaciół z domem na Lazurowym Wybrzeżu – to przecież o wiele ważniejsze niż dobra ocena końcowa z francuskiego.

Persefona do Wielkanocy będzie pewnie walić głową o ścianę. Gabriel, nie łam się, zasłużyłeś na coś więcej.

Ale przejdźmy do newsa dnia: jak się właśnie dowiedziałam, Anabel Scott w piątek została wypisana z kliniki psychiatrycznej. Okazuje się, że nagle wielopostaciowe zaburzenia psychotyczne można leczyć, a schizofrenię zapewne błędnie u niej zdiagnozowano. Tak czy siak: Anabel is back! Ma atest, że jest zdrowa. Zanim wróci na studia, zapewne zażyje jeszcze odpoczynku w domowych pieleszach. Możemy

tylko spekulować, czy ponownie zwiąże się z Arthurem – w końcu stanowili najpiękniejszą parę w historii Frognał, co ja mówię, najpiękniejszą parę, jaką widział świat. Życzę im, by im się udało. Choć po tak długim czasie to z pewnością nie będzie łatwe.

Pożyjemy, zobaczymy.

Widzimy się!

Wasza Secrecy

PS Jeśli czekacie na informacje na temat skandali na imprezie urodzinowej Florence i Graysona, to sorry! Party było kompletnie wyprane z ekscesów. Smaczne żarcie, superkapela, rewelacyjna atmosfera – impreza była jak Florence: po prostu doskonała.



Tej samej nocy...

Anabel miała na sobie czarną krótką sukienkę i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Powolnym krokiem szła nam na spotkanie. Rozproszone światło korytarza igrało na jej szczupłym ciele, brakowało tylko odpowiedniego muzycznego podkładu, a występ w roli upadłego anioła byłby perfekcyjny.

– Jak się udała impreza? – Przechyliła głowę i się uśmiechnęła.
– Jaka szkoda, że nie znalazłam się na liście zaproszonych.

Idiotka ze mnie. Cholerna idiotka. Wieczór był tak cudowny, że chciałam tylko troszkę go przedłużyć. Po krótkim wahaniu wymknęłam się przez zielone drzwi na korytarz pod pozorem skontrolowania, czy u Mii wszystko w porządku, tak jak to mieliśmy w zwyczaju. Komu ja chciałam zamydlić oczy?

Na pewno nie Henry'emu, który już na mnie czekał.

– Co powiesz na wycieczkę do Amy? – Uśmiechnął się na mój widok. – Mogłabyś mi w spokoju opowiedzieć, jak ci się udało przekabacić mojego ojca.

Ani myślałam to robić. Choć w kolorowym, sielankowym świecie snów Amy wszystko było możliwe. Nawet to, że my...

– OK – zgodziłam się szybko.

I dokładnie w tym momencie musiała nadejść największa miłośniczka demonów w Londynie, świeżo wypuszczona z wariatkowa, z zaświadczeniem niewątpliwie i jednoznacznie potwierdzającym jej psychiczne zdrowie i wystawionym przez lekarza, który albo był równie nienormalny jak ona, albo został niezle omotany we śnie.

– Anabel! – Skrzyżowałam ręce na piersi. – Jak ci się udało przekonać doktora Martensona, żeby cię wypuścił?

– Doktor Martenson? – Anabel uniosła brew. – Ależ on nie ma nic wspólnego z moim wypisem. Nie, poczciwy doktorek śpi – wyjaśniła wesoło. – Śpi... cóż... snem wiecznym, obawiam się.

– Nie żyje? – zapytałam z przerażeniem. Przypomniałam sobie groźby Anabel podczas naszego ostatniego spotkania i to, że senator Mort od tamtej pory zniknął bez śladu. Wyglądało na to, że Anabel wcieliła swe słowa w czyn. Zdjął mnie chłód.

Anabel się roześmiała.

– Ależ nie! Naprawdę śpi. A najlepsze jest to, że sądzi, że nie śpi.

O Boże, skądś to znałam. Całe moje ciało pokryło się gęsią skórką.

– Zamknęłam go w jego własnym śnie – ciągnęła Anabel. – Śpi już od bitych dwóch tygodni i nikt nie może go dobudzić.

– To naprawdę... – mruknął Henry. Poszukałam jego ręki.

– ...genialne – dokończyła Anabel. – Wiem. Lekarze nie potrafią wytłumaczyć, co się z nim stało. Wszystkie funkcje życiowe są bez zarzutu. OK, nie wszystkie. Trzeba go sztucznie karmić, ale on nie zdaje sobie z tego sprawy. Leży sobie spokojnie w łóżku i myśli, że jego życie toczy się dalej. Nawet nie wie, że nadal śni.

Z piersi wyrwał mi się jęk. Dlaczego musieliśmy tutaj przychodzić? Dlaczego nie zadowoliliłam się pięknem tego wieczoru, kiedy oddawałam się iluzji, że wszystko jest w najlepszym porządku?

Anabel obrzuciła mnie wyrozumiałym spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że mu nie współczujesz, co? Nie zasłużył na to. W przeciwieństwie do twojej siostry. – Popatrzyła na niezapominajkowe drzwi Mii, pod którymi tkwił, spoglądający ponuro Mr Wu. – To, co zamierzał zrobić Arthur, było naprawdę perfidne. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że on nie przestanie.

– Owszem – odparł z westchnieniem Henry. – Arthur jest tak samo uparty jak ty.

– Z tą różnicą, że on działa z chęcią zemsty – powiedziała Anabel. – Ze mną też ma porachunki. Obawiam się, że teraz, kiedy zostałam wypisana ze szpitala, będzie chciał, żebym je wyrównała.

Wymieniliśmy z Henrym spojrzenia. Czy on też pomyślał o tym, co i mi właśnie przyszło do głowy? Że dobrze byłoby, gdyby Anabel i Arthur nawzajem się unicestwili?

– Widzieliście, do jakiej perfekcji opanował śnienie – mówiła dalej Anabel. – Ale ja jestem lepsza. I byłoby mądrze z waszej strony, gdybyście ze mną współpracowali. Razem moglibyśmy... trzymać Arthura w szachu.

Henry ścisnął mnie mocniej za rękę. Czy Anabel na serio proponowała nam układ?

– Może... – zaczęła Anabel, ale przerwało jej piszczenie zawiasów. Obejrzelismy się do tyłu. Dźwięk dobiegł od drzwi Graysona, które wymagały pilnego nasmarowania. Lecz to nie Grayson wyszedł na zewnątrz, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

– Emily? – zawołałam z niedowierzaniem. Nie, to niemożliwe. To musiał być Arthur podający się za Emily.

Emily zatrzymała na nas przestraszony wzrok. Wyglądała jak dziecko przyłapanie na plądrowaniu schowka z łakociami.

– Och, to wy – mruknęła. – Anabel... nie wiedziałam nawet, że ty też... – Zmitygowała się i przybrała minę aroganckiej guwernantki. – Skoro już tu stoicie i gapicie się głupio, to moglibyście mi podpowiedzieć, gdzie znajdę drzwi babci Graysona.

To naprawdę była ona. Wiedziała o korytarzach. I była we śnie Graysona, bestyjka! Pewnie nie po raz pierwszy.

– Ty... – zaczęłam, ale Henry puścił moją dłoń i wszedł mi w słowo.

– Drzwi pani Spencer? Dwa razy w lewo, potem w prawo. Przynajmniej tam były ostatnio. Takie w kolorze ochry ze złotymi okuciami. I z bukszpanem w donicy.

– Ach, świetnie, dzięki. – Emily odrzuciła błyszczące włosy do tyłu i odmaszerowała dumnym krokiem.

Popatrzyłam za nią w osłupieniu.

– Dlaczego pozwoliłeś jej odejść? I jak...?

Anabel znowu się roześmiała. Owinęła wokół palca kosmyk złocistych włosów.

– Arthur jest cwany. Pozyskuje sojuszników. Każdy powinien tak robić. Wtajemniczenie Emily to całkiem niezły pomysł. Może nie ma za wiele fantazji, za to niewątpliwie sporą motywację. Choćby ze względu na Graysona.

– Arthur i Emily? – upewniłam się.

– Na to wygląda – powiedział Henry. – Ciekawe, kogo jeszcze tu spotkamy.

Anabel odwróciła się, by odejść.

– Też tak twierdzą. Czas na wytyczenie linii frontu. Przemysłcie moją propozycję. Jak to mówią? Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. – Odwróciła się raz jeszcze i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. – A to dopiero początek.



Załącznik

Reguły śnienia

Chciałbyś odwiedzić znajomych we śnie? Żaden problem. Zasady są całkiem proste:

1. Potrzebujesz osobistego przedmiotu osoby, którą chcesz odwiedzić. Kładąc się spać, musisz mieć ten przedmiot przy sobie. (Dlatego warto wziąć coś małego. Czyli raczej nie rower ani coś w tym stylu, bo będzie wam ciasno w łóżku. I nieprzytulnie).
2. Musisz poszukać w śnie swoich osobistych drzwi. Tylko ty wiesz, jak wyglądają. To trochę problematyczne, bo dopiero kiedy uda ci się ich dotknąć, zyskasz pewność, że śnisz. Ten stan nazywa się „snem świadomym” albo „snem jasnym”.
3. Odtąd wszystko zależy od ciebie: czy odważysz się przejść przez drzwi? Znajdziesz się wówczas w korytarzu, na który wychodzą drzwi w snach wszystkich ludzi na świecie. Korytarz ten ma nieskończenie wiele odnóg i rozgałęzień, uważaj więc, żeby się nie zgubić. (I zapamiętaj, jak wyglądają twoje drzwi!).

4. Teraz musisz znaleźć drzwi osoby, którą chcesz odwiedzić. Choć drzwi często zmieniają swoje położenie, drzwi bliskich nam ludzi zwykle znajdują się niedaleko naszych. I zazwyczaj odzwierciedlają prawdziwy charakter właściciela – okaże się zatem, jak dobrze znasz swoich przyjaciół.

5. Jeśli znalazłeś już właściwe drzwi, musisz pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Nasza podświadomość ma potrzebę chronienia wejścia przed intruzami. Ale jeżeli dobrze kogoś znasz, z łatwością pokonasz tę barierę. Co innego, gdy śniący chroni drzwi świadomie, co zaleca się i tobie. Nigdy nie wiadomo, kto krąży po korytarzach, a chyba nie chciałbyś mieć w swoich snach nieproszonych gości, prawda?

6. W śnie – czy to swoim, czy cudzym – możesz przybrać dowolną postać. Jeśli jesteś w tym wyjątkowo dobry, będziesz mógł nawet stać się kompletnie niewidzialny. Możesz być sobą i robić wszystko to, czego nie ośmielasz się robić na jawie. Po zbudzeniu się śniący zwykle nie pamięta snu, zapamiętujemy bowiem tylko niewielki ułamek naszych snów. Uwaga: kiedy śniący obudzi się, podczas gdy ty będziesz przebywać w jego śnie, okaże się to nieprzyjemne. Sen zapada się, a ty wpadasz w coś w rodzaju czarnej dziury i nie możesz złapać oddechu, dopóki sam się nie obudzisz.

7. Naturalnie nie jest zbyt uprzejmie szpiegować kogoś we śnie. Grzeczniej jest umówić się na korytarzu i uzgodnić, do czyjego snu się idzie. A najlepsze, że we śnie możecie podróżować w dowolne miejsca na świecie, a nawet samemu wymyślać rejony nieistniejące w rzeczywistości. I możecie robić, co tylko zechcecie.

8. Miłej zabawy! Ale nie przesadzajcie: sen świadomy nie przynosi wypoczynku, a jeśli będziecie robić to całą noc, może się zdarzyć, że zaśniecie w szkole i obślinicie podręcznik do matmy – a tego chyba nikt nie chce.

9. Ach tak, a gdybyście spotkali kiedyś Anabel albo Arthura – zmykajcie, ile sił w nogach.



Całoroczne waniliowe rogaliki pocieszenia Lottie

Składniki (wystarczą na 40 małych rogalików)

200 g masła

100 g cukru

1 laska wanilii

100 g mielonych migdałów

250 g mąki

cukier puder i cukier waniliowy do posypania rogalików

Masło ucieraj z cukrem na jednolitą masę. Strąk wanilii natnij wzdłuż, wyskrob miąższ i dodaj do masy maślanej. Mąkę przesiej przez sito i dodaj do masy razem z mielonymi migdałami. Wyrabiaj ciasto, najlepiej rękoma, po czym uformuj z niego kulę i zawiń w folię. Włóż na godzinę do lodówki. (Bez schłodzenia formuj tylko w sytuacjach podbramkowych). Uformuj z ciasta wałek i pokrój go na kawałki o szerokości ok. 2 centymetrów. Formuj z nich rogaliki i kładź na blachę wyłożoną papierem do pieczenia.

Rozgrzej piekarnik do 190°C. Piecz rogaliki ok. 10 minut, aż się zrumienią. Wymieszaj cukier puder z cukrem waniliowym i posyp nim gorące rogaliki. Ostudź na blaszce, rogaliki są

bardzo kruche.

A potem szybko nakarm nimi wszystkich, którzy potrzebują pociechy, najlepiej mówiąc przy okazji: „Wszystko będzie dobrze” i „Mamy jeszcze siebie!”.

(Możesz też przełożyć rogaliki do pojemnika, wtedy pozostaną chrupiące i będą pocieszać jeszcze przez kilka tygodni).

Smacznego!



Spis osób:

- Liv Silver – nadal ma kolorowe sny
- Mia Silver – młodsza siostra Liv, nie zdaje sobie sprawy, co się dzieje w jej snach
- Ann Matthews – matka Liv i Mii
- Lottie Wastlhuber – niania Liv i Mii
- Ernest Spencer – chce poślubić Ann
- Grayson Spencer – syn Ernesta i brat bliźniak Florence
- Florence Spencer – córka Ernesta i siostra bliźniaczka Graysona
- Charles Spencer – brat Ernesta, stomatolog
- Bochra – znana również jako pani Spencer albo zła macocha Królowy Śnieżki trzydzieści lat później
- Henry Harper – śni najchętniej z Liv (zazwyczaj)
- Milo Harper – młodszy brat Henry’ego
- Ron Harper – ojciec Henry’ego
- B – naga kobieta w basenie z hydromasażem
- Biljana – modelka prezentująca bieliznę i kochanka ojca Henry’ego
- Arthur Hamilton – były chłopak Anabel Scott oraz przyjaciel

Henry'ego i Graysona

Persefona Porter-Peregrin – postanowiła zostać najlepszą przyjaciółką Liv

Anabel Scott – była dziewczyna Arthura Hamiltona, od zakończenia pierwszego tomu w szpitalu psychiatrycznym

Emily Clark – dziewczyna Graysona i pokrewna dusza Bochry

Senator Mort – mężczyzna w kłapciastym kapeluszu, mówiący anagramami

Księżniczka Buttercup – pies rodzinny

Spot – kocur Spencerów

Mr Snuggles – obecnie kupa drzazg, niegdyś paw z bukszpanu

I oczywiście Secrecy

... Krótki gościnny występ mieli: Sam, młodszy brat Emily; jego przyjaciółka Himpusia, której prawdziwe nazwisko pozostaje nieznane; kelner, którego nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi; pani Lawrence, nauczycielka francuskiego, którą wiele jest w stanie wytrącić z równowagi; Eric & Gabriel, kumple z przerwy obiadowej; Jasper Grant, tym razem przebywający za granicą; Mr Wu, prawdziwy bohater, choć tylko przez krótki czas; Amy Harper, młodsza siostra Henry'ego, strasznie słodka; oraz rozmaite zwierzęta (niezbyt słodkie, lecz obrzydliwe, jadowite, ośmionożne lub kolczaste. Miejmy nadzieję, że na zawsze zamknięte w królestwie snów. Choć któż to wie?).



Witajcie, wszyscy Śniący!

Mam nadzieję, że zamknęliście tę książkę z zadowoleniem, choć to wkurzające, że Anabel na zakończenie mówi zawsze to samo. Mimo to ma rację: tak naprawdę to dopiero początek. W tomie pierwszym zdradziłam Wam co nieco na temat zawartości tomu drugiego. Szkoda tylko, że niektóre z ujawnionych wątków wcale się nie pojawiły: nie było ani klątwy, ani weterynarza. Tak to bywa: mam zamiar napisać o czymś konkretnym, a potem... piszę o czymś zupełnie innym. (Choć nadal nie zrezygnowałam jeszcze z weterynarza). Dlatego tym razem zdradzę jedynie, że w trzeciej księdze snów na pewno odbędzie się wielkie wesele. A do znanych już śniących dołączy kilkoro innych, na korytarzach będzie się zatem działo. I... nie, więcej nie powiem. Jedno jest pewne: na zakończenie tomu trzeciego na pewno dowiecie się, kim jest Secrecy. Jestem bardzo ciekawa, czy dobrze zgadywaliście.

Do zobaczenia!
Wasza Kerstin Gier

